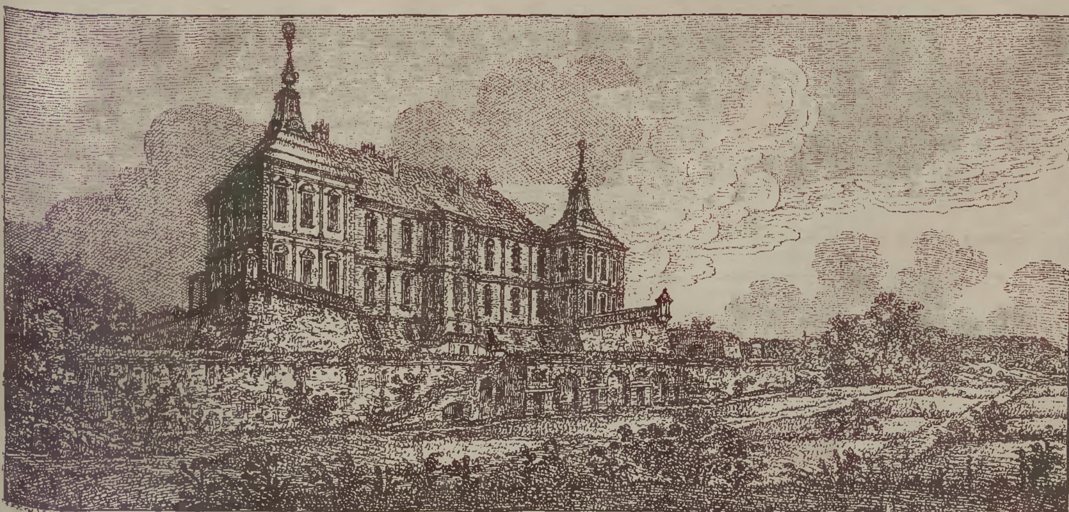


LAMUS

Zeszyt czwarty

Jesień 1909

TREŚĆ ZESZYTU CZWARTEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

Część druga — Wczoraj:

Treść trzech poprzednich zeszytów w załączonym prospekcie.

Lamus wychodzi cztery razy do roku w zeszytach objętości łącznej 40 arkuszy druku. Każdy zeszyt zawiera kilka plansz jedno- lub wielobarwnych. Prenumerata wynosi rocznie: w Galicyi K. 12·—, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem M. 10·50, w Królestwie Polskiem R. 5·—. Cena zeszytu pierwszego oddzielnie K. 3.50, M. 3·—, R. 1·40; następnych po K. 4·—, M. 3·40, R. 1·60.

Redaktor: Michał Pawlikowski, (Lwów, Trzeciego Maja 5); * Nakładem A. Altenberga i J. Mortkowicza. Składy główne w księgarniach: H. Altenberga we Lwowie i G. Centnerszwera w Warszawie. * Własność Redakcyi.

* Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

Część pierwsza — Dzisiaj.

Poezye.

I. O WAS MÓWIĘ, GDY MÓWIĘ O SOBIE.

O was mówię, gdy mówię o sobie, gdy z wnętrza
Wyławiam ból czy radość, tak rzadko — niestety! —
Garnącą się w me sieci... Jednakie zalety,
Jednakie mamy błędy. Ta sama się spiętrza,

Ta sama w nas się kładzie fala morza. Prędsza
Nie bywa ma nadzieja od waszej podniety,
Przy której czyha — rozpacz. Smutne oczerety
Na stepie myśmy wszyscy, ja i wy, i świętsza

Nie czeka was mogiła od mojej. Robactwo
Jednakie zje nam kości, a w pustce, gdzie władztwo
Żywota ryło ongi głębokie koleje,

Pagórki i doliny do równi zaorze
I cicho snuć się będzie straszne Widmo boże
I śmiać się z swego dzieła, jak się dziś z was śmieje.

II. KILKA CHAŁUP, KILKA STODÓŁ.

Kilka chałup, kilka stodół,
Przy nich obórka czy chlew;
Na dachach śnieg wolno topnieje,
Opada z szarych drzew.

Wyszła dziewka w brudnej chustce
Przed mokry, kamienny próg,
Z okapu ciurkają kropelki
Na czerwień bosych nóg.

Ziewa, gnuśnie się przeciąga,
Poprawia sczochrany splot,
Obok wychudłe legło psisko,
Pod ścianą mruczy kot.

W tem zapadłem, rajskiem siole —
Pożal się Boże ty mój! —
Tęsknota ku wiośnie się śpieszy,
A wiosna jej mówi: stój!...

III. SNUJE SIĘ WIATR PO POLU.

Snuje się wiatr po polu,
Wlecze się pośród żyta,
Gdzie chce, tam sobie wypocznie,
Nikogo się nie pyta.

W majowy czas, wieczorem,
Podkrada się pod drzewa.
Umilknie na leśnym okraju,
Albo w gałęziach śpiewa.

Snuje się wiatr ku bagnom,
Przechyla się nad rzeką:
Zamącił jej spokój śrebrzysty
I w zorzę mknie daleką.

IV. CHŁOP POKRZYWIONY, SIWY.

Chłop pokrzywiony, siwy,
Jak oszadziały smrek,
Przystanął w pośrodku drogi,
Którą zna niemal wiek.

Rozgląda się naokoło,
W błękitny patrzy świat
I mamle: Toż samo to słońce,
Co świeci mi od lat?

Słońce się uśmiechnęło,
Uśmiechnął się stary człek
I dalej znów powlókł się drogą,
Którą zna niemal wiek.

A z wrzaskiem, z gałęzi klonu,
Zerwał się kawek chór:
Od ciemnych przyleciał tu borów
I w ciemny leci bór.

V. Z DALEKIEJ WRACAM DZIEDZINY.

„Z dalekiej wracam dziedziny,
Nachylam się ku tobie,
Ażeby ci szepnąć w uszy
Prawdę o wielkim grobie.

Widziałam go nad morzem,
Wykuli go w twardej skale:
Kości pożarła zgnilizna,
Pod wieczór spłukały je fale.

Zginęła wieść o człowieku;
Co z jego duszą, nikt nie wie —
Głupiec powiada, że śpiewak
Zamknął ją w swoim śpiewie.

Nikt tego śpiewu nie słyszał,
Nikt się nie spotkał z śpiewakiem —
Morze li szumi i szumi,
Nadbrzeżnym wstrząsając szlakiem.

Zaklęta to jest kraina;
Do pustki tej trudno się dostać —
Czasem po piaskach wilgotnych
Przechadza się moja postać"...

Tak pewnej samotnej chwili
Szepnęła ku mnie Trwoga —
A jabym szukał, najbliższa
Jaka tam wiedzie droga...

VI. NAD KSIĄŻKĄ NACHYLONY.

Nad książką nachylony,
Ni jednej nie widzę zgłoski,
A słucham jedynie, czy ztamtąd
Szum nie zaleci boski.

Nie ślą mi swoich nowin
Potoki, wirchy, urwiska,
Turkot li wozów ulicznych
W moją tęsknotę się wciska.

Nie ślą mi swoich nowin
Płomienie z za krańców świata;
W to moje głuche pustkowie
Zwolna już mrok się wplata.

Hej! wyrwę się z jego uwięzi,
Raz jeszcze do lotu się zmuszę,
By spocząć, gdzie w blaskach szczytów
Bóg się wmiłował w duszę.

VII. SZCZĘŚĆ BOŻE, O SZCZĘŚĆ BOŻE WAM, ZBOŻNI ORACZE

Szczęść Boże, o szczęść Boże wam, zbożni oracze!
Śródpolną chodzę drogą i wołam: szczęść Boże!
Od dawna-m już nie widział, jak ziemią się orze,
I niewiem, kiedy znowu to święto zobaczę.

Szczęść Boże, znojne ręce, o ręce prostacze,
Co ziarna po spulchnionym rzucacie ugorze!
O przyszłość siejby waszej już ja się nie trwożę,
Słoneczny dzień wiosenny odgania rozpacze.

Niedługo ruń zielona pokryje te płoski,
A potem żar lipcowy przebiegnie łanami,
A potem przyjdą sprzęty, słodki lek na troski.

A potem ja, szczęśliwy, żem widział dożynek
Owocną, błogą porę, pożegnam się z wami
I pójdę, już bez żalu, na wieczny spoczynek.

VIII. ZASNUŁY SIĘ SENNE GÓRY.

Zasnuły się senne góry
W mgławą, jesienną oponę —
Słońce nad niemi się pali,
Wyzłaca pola skoszone.

Kurz osiadł na jasieniach,
Na brzozach liść się czerwieni —
O smutna godzino rozłąki,
O smutna, cicha jesieni!

Odchodzę, bo czas mnie woła...
Ślad po mnie czyż tu zostanie?
O góry, o pola skoszone,
O ciche, smutne żegnanie!

* * *

JAN KASPROWICZ.

Dwie pieśni.

Brat Placyd, organista klasztorny, był snadź mocno z siebie zadowolony, skoro, wchodząc przed nieszporami do zakrystyi, pogwizdywał sobie pod nosem jakąś świecką melodyę. Lecz w drzwiach przerwał, gdy owionęła go dobrze znana, ckliwa i mdła woń kadzideł, świeżo pranych komż i kwaśnego wina. Kościelny, brat Maciej, dreptał bezgłośnie po kamiennej posadzce, ładząc na wysokiej komodzie szaty dla O. przeora, i basowym głosem pomrukiwał wśród westchnień pacierze. Z drugiego pokoju, przypominającego prywatną kaplicę magnacką, dochodził głuchy, drewniany stukot: to młody braciszek Dezydery, stojąc przy nieużywanym, choć ozdobnym ołtarzu, wybijał okrągłem dłutem komunikanty.

Kościelny spojrzał na brata Placyda jakby ze zdumieniem schwytanego na gorącym uczynku, z cierpką niechęcią, okazywaną intruzom przez ciepło zadomowionych i na pozdrowienie odpowiedział ledwo skinieniem głowy. Lecz organista, z obojętnym spokojem czemś innem zajętego, skierował się do drugiego pokoju, gdzie brat Dezydery z zapamiętałą gorliwością wyciskał okrągłe opłatki. Gdy ten zobaczył Placyda, przerwał pracę, uśmiechnął się z życzliwą gościnnością i włożył sobie w usta garść białych okruchów.

— Może pozwolicie? — zaprosił uprzejmie pełnemi ustami, wskazując stosy odcinków, zalegających prawie cały stół ołtarza.

Brat Placyd chętnie przyjął zaproszenie, lecz wybierał tylko kawały większe i wkładał je w usta z uroczystem i powolnem namaszczeniem, jakby mu bardzo zależało na tem, by zjeść jak najmniej.

Dezydery znów wziął się do roboty. Brał ze stosu prostokątne, o zaokrąglonych rogach, podobne do ćwiartek listowego papieru, opłatki z wyciśniętemi już zarysami hostyi, do których przykładał uważnie okrągłe, ostre dłuto i jednem silnem pociśnięciem odcinał

od zbędnej reszty; tę albo precz odrzucał, albo zjadał. Lecz nagle przerwał pracę, otworzył szeroko usta, zmrużył oczy i począł palcami odrywać okruch, który mu przywarł do podniebienia.

— Nieznośne, gdy się przylepi — rzekł. — Ma się wrażenie, że to skóra odstała od języka.

Brat Placyd potwierdził ruchem głowy, zaśmiał się krótko i począł się w milczeniu przyglądać ozdobom, wyciśniętym na komunikantach dla braci i hostyach dla ojców. Były tam symbole Męki Pańskiej wśród zawiłych arabesków, były mszalne kielichy z hostyą i gołębiem, unoszącym się w gloryi promieni.

— Czy sądzisz, bracie Dezydery, — rzekł nagle, podnosząc na młodego braciszka swe duże, łagodne oczy — czy sądzisz, że gdyby tu nie było tych ornamentów, nie nastąpiłaby u ołtarza przemiana na Ciało?

Młody braciszek wzruszył obojętnie ramionami.

— Nie wiem, — odrzekł krótko — nie rozumiem się na tem.

Pochylił się nizko nad ołtarzem i dalej wyciskał kolistem dłutem białe opłatki. Po chwili jeden z nich odrzucił między okruchy.

— Nadto przypalony — objaśnił.

— Czy nadto przypalony nie zamienia się na Ciało? — podchwycił brat organista.

— Nie wiem — odrzekł znów Dezydery, — lecz brat Maciej kazał mi wszystkie nadto przypalone i zarumienione odrzucać.

— Tak, kazałem mu odrzucać — wmieszał się brat kościelny, stając w progu, — bo zanoszą niemiłą wonią. Niby tego nie wiecie, bracie Placydzie — dodał, wchodząc.

— Lecz materya, która ma być Ciałem, przez to samo jest święta — odrzekł spokojnie brat Placyd i uczenie ściągnął brwi i usta.

— Ha, może lepiej znacie się odemnie na świętej teologii — rzekł Maciej szyderczo, potrząsając nad głową szerokiemi rękawami habitu i z ironiczną pokorą złożył ręce na piersiach.

— To nie teologia — zaśmiał się organista. — Wszak prosty rozum to dyktuje.

— A tak, a tak! — rzucił się kościelny. — Kto wie?! Możem już na starość rozum postradał?! Kto wie?! — i wciągnął głowę w ramiona, trzepocąc koło uszu suchemi palcami.

— Uspokójcie się, bracie Macieju, ja wam przecież rozumu nie odbiorę. Co mi wasz rozum —!

— Pewno, pewno! Nawet zwaryuj, stary, nikt się z nich o ciebie nie zatroszczy. Co ich to obchodzi!? — zaśmiał się sucho.

Organista machnął pobłażliwie ręką, uśmiechnął się i chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy nagle usłyszał, że drzwi od zakrystyi się otwarły.

— Ojciec przeor — zawołał przestrzegawczo Dezydery.

Ascetyczny brat kościelny z pomocnikiem porzucili brata organistę i skoczyli usłużnie na spotkanie przełożonego. Za nimi wolno poszedł Placyd.

— A, jesteś, bracie Placydzie, — rzekł O. przeor, gdy go zobaczył.

— Tak, jestem, ojcze, — odrzekł z ukłonem. — Przyszedłem się zapytać, co dziś po nieszporach śpiewać się będzie.

Brat Maciej wkładał tymczasem na O. przeora długą koszulę, zakończoną koronkami na czerwonym podkładzie, przewiązał go w pasie grubym, jedwabnym sznurem, udrapował fałdy, dał stułę do pocałowania, zarzucił wreszcie bogatą, uroczystą kapę, haftowaną w złote i purpurowe kwiaty.

— Co śpiewać się będzie? — powtórzył przeor, przecierając czoło mędrczo wyniosłe. — Zbyt ładny dzień dziś mamy. Jutro gotów deszcz padać — dodał.

— Cieszmy się, że dziś ładny. Pocóż myśleć o jutrzejszym deszczu? — odrzekł z pogodnym uśmiechem brat Placyd.

— Cieszmy się, ale o jutrze też myśleć nam trzeba. Nam szczególnie. Dlatego po nieszporach zaczniesz, bracie Placydzie: „Panie Boże Abrahama“...

— Ha, na wszelki wypadek spróbować można. Może istotnie na co się przyda, a pewno nie zawadzi — odrzekł brat organista tonem niedbałej ustępliwości.

Po ogolonej twarzy O. przeora przemknął się płochliwie przekorny uśmiech, który stopił się wkrótce z łagodnym wyrazem oczu jasnych i życzliwych. Z lekką powagą zbliżył się do brata organisty i, kładąc mu dłoń na ramieniu, zapytał:

— Czy pamiętasz, bracie Placydzie, że dziś sobota, twój dzień?

— Tak, ojcze, pamiętam — odrzekł, usuwając się nieznacznie z pod łaskotliwego ciężaru dłoni przeora.

— A czy masz co nowego?

Bratu Placydowi oczy błysnęły i jakby ściemniały.

— Zdaje się będzie — rzekł z uśmiechem.

— Co?

— Co? — organista wzruszył ramionami. — Nie wiem jeszcze, nie wiem... Lecz już to czuję... czuję coś rozkołysanego i wielkiego, jak morze; to spokojne, to burzliwe... Lecz co?... nie wiem jeszcze. Będzie to może hymn na cześć dojrzewającego żyta, lub rzeki co

z brzegów wystąpiła... może hymn o siejbie, może o żniwie, lub winobraniu... Nie wiem.

Przeor poważnie skinął głową i szepnąwszy: „tak...“ zwrócił się do brata Macieja.

Brat Placyd, skłoniwszy się dwornie, opuścił zakrystyę, przeszedł cały kościół i krętemi schodkami dostał się na chór. W kącie, z czołem opartem o marmurową kolumnę, klęczał brat kalkancista, Paweł, zatopiony w modlitwie. Placyd trącił go lekko w ramię.

— Bracie kalkancisto, publiczność już się zebrała, zaczynamy koncert. Idź bracie kalikować.

Brat Paweł skinął głową na znak, że rozumie co się do niego mówi, i kończył modlitwę. Po chwili powstał z klęczek, bez słowa usunął się w kąt i począł naciskać ramię miecha, kołysząc się sennie. Brat organista zasiadł przed klawiaturą organu i czekał, wpatrzony w drzwi zakrystyi. Niedługo ukazali się w nich dwaj braciszkowie, przybrani w krótkie białe komże z zielonemi na piersiach kokardami, potem znów dwaj z płonącemi świecami w rękach, wreszcie O. przeor. Brat Placyd nacisnął stopą jeden z pedałów i organ zadął basowym pomrukiem, budzącym echa gdzieś aż w gardle i płucach. Organista zebrał jeszcze fałdy habitu, by mu nie zasłaniał widoku na pedały i, gdy O. przeor stanął u stóp wielkiego ołtarza, wziął jeden akord, z tego przeszedł w drugi, który zaczął melodyę:

„Święty, święty, święty...“

Powlokła się pieśń przeciągła, niby żałobna, — bez słów prawie. Podchwycili ją braciszkowie, podchwycili nabożni, podczas gdy O. przeor wśród hałaśliwego brzękotu dzwonków i obłoków kadzidlanego dymu ustawiał złocistą monstrancyę na szczycie tabernaculum.

„Jezu, jesteś niepojęcie
W Przenajświętszym Sakramencie“.

Powoli pieśń przebrzmiała, ostatnie jej echa skryły się pośpiesznie w kopule kościoła, jak spłoszone stado ptaków i O. przeor zaczął litanię:

— „Kyrie elejson,
— Chryste elejson“...

Brat Placyd machinalnie wtórował to zmęczonemu głosowi O. przeora, to dopowiadającemu mu chórowi tłumu — i bez końca, bez końca powtarzał tę samą nudną melodyę, błądząc znużonym wzrokiem w mroku kościoła, zasnutym obłokami dymu błękitnego, kołyszącego się usy-

piająco pod sklepieniem. Za kratami wysokich okien baraszkowały wróble, a gałęzie złotych jesienią drzew pukały w szyby, jakby domagały się wpuszczenia, lub przestrzegały przed grożącem niebezpieczeństwem. Promień słońca, odbity gdzieś od jakiejś szyby, wpadł do kościoła, lecz zagubił się szybko w mroku i dymie kadzideł. A gdzieś świeciło słońce, gdzieś strumyk mruczał swe beztroskie psalmy, gdzieś pachniały ostatnie kwiaty jesienne i szemrały spadające liście.

— „Wieżo z kości słoniowej,
— Módl się za nami"...

W kącie wisi odwieczna pajęczyna, okryta grubą warstwą kurzu. Mucha, co się w nią kiedyś przed laty wplątała, zeschła się już całkiem. Snadź dawno już pająk porzucił wyssaną swą zdobycz. Może już i sam uległ swemu przeznaczeniu. Bo któż wie o nim, któż się go spodziewa?

— „Królowo Patryarchów,
— Módl się za nami...
— Królowo Proroków,
— Módl się za nami"...

A ile kurzu na tych pyzatych, pozłacanych aniołkach... „Złoto kurzem się pokryło, czasu ślad purpura nosi"...

„Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko"...

O. przeor ma już głos bardzo słaby. Jednak śpiewa... — Pieśń? jaka będzie dziś pieśń? Nic nie wie jeszcze, choć ona go już tłoczy w piersi, już brzmi w duszy. Może to będzie ta Największa, ta pieśń, jak posąg marmurowy i zamarzłe morze? Pieśń wiotka, a potężna, huczna, a bezgłośna?... Nic nie wie jeszcze...

Brat Placyd urwał ostatni akord i oparł znużoną głowę.

— „Módl się za nami, święta Boża Rodzicielko,
— Abyśmy się stali godnymi obietnic Pana Chrystusowych".

Brat kalkancista odszedł od miecha i przegiął się przez marmurowe ogrodzenie chóru. Placyd wpatrzył się w klawisze organu i powtarzał bezmyślnie raz po raz: „ce, cis, de, dis"... Wstrząsnął głową, jakby chciał odpędzić natrętną zmorę. Lecz wracała uparcie. „Ce, cis, de, dis"...

Tłumił nerwowe ziewanie i przetarł oczy.

— Co dziś gramy? — zapytał brat Paweł, zbliżając się znów do miecha.

— „Panie Boże Abrahama". Lecz tobie to zresztą obojętne; wszystkie pieśni grasz jednym klawiszem — zaśmiał się Placyd dziwnie nieswojo.

Kalkancista nacisnął ramię miecha.

— Wszystko na większą Jego chwałę — rzekł, pochylając głowę. — A cóż ty dzisiaj, bracie Placydzie? — dodał pół-poufałym, pół-pobłażliwym tonem wtajemniczonego.

— Jakto?

— Dziś sobota.

— Nie wiem jeszcze — żachnął się niecierpliwie Placyd.

Po skończonych nieszporach mnisi zasiedli ławki, czekając, jak zwykle w sobotę, pieśni brata Placyda na cześć Najświętszej Panny. Brat organista siedział przed klawiaturą organu z głową w tył odrzuconą, z przymkniętemi oczyma. W kościele czekała cisza. Jeno za oknami wróble ćwierkały skocznie, jeno gałęzie drzew uderzały w okna, jakby domagały się wpuszczenia w ten mrok... A gdzieś świeciło słońce, gdzieś strumyk mruczał swe beztroskie psalmy, gdzieś pachniały kwiaty i szemrały spadające liście...

Cyt! Brat organista grać zaczyna, cyt!

...Melodya prosta, jak droga wysadzana topolami, melodya przeciągła, pasterska, przywodząca na myśl dziką woń suszonego siana i rozgrzanych słońcem kwiatów polnych... Stoją w słońcu lasy, stoją w słońcu pola, słychać gwarne śpiewy nawróconych ptaków. Pękają w słońcu dziewicze sutki pączków różanych i pieszczą się z wiatrem listki jasnozielone, miękkie, wątłe, jak sny dziecięce.

Wędrowiec idzie drogą, idzie drogą... Zbożnem słowem pozdrawia oraczy czarnej ziemi i pełnych nadziei siewców złotych ziarn. Zanurza stopy w rozmiękłą, świeżo zoraną glebę, wyciskając ślady swych kroków. W pocałunku przywarł usta do wilgotnej roli, usta spalone gorączką, głodne chłodu i szepce: O, ziemio, ziemio!

Wędrowiec idzie borem, idzie borem... Znużony siada i patrzy w leśne życie wśród traw, śledzi skrzętną pracę pobożnych mrówek, słodką niewierność lekkomyślnych motyli, niezdarną powolność ślizkich, chłodnych glist. W nabożnem skupieniu słucha szmeru potoku, przemykającego się lękliwie wśród traw. Słucha nad mokradłami rechotu zakochanych żab, śpiewających swe hymny na cześć zachodzącego słońca, nocy wiosennej i księżyca. O, wodo, wodo!

Wędrowiec idzie polem, idzie polem... Ustroił głowę białoróżowym kwieciem jabłoni. W skwarne południe wdycha ostrą, gorącą woń macierzanki, janowców i mięty. Szuka oczyma skowronka, dzwonią-

cego gdzieś na słońcu, czy w niebie; słucha szmeru kołysanych wiatrem płowych czupryn zbóż dojrzewających, wśród których palą się gorące oczy maków i marzycielskie błękity bławatków. O, pochwalone bądź, skwarne powietrze!

Wędrowiec idzie w słońcu, co zachodzi, idzie w słońcu... O, ty słońce moje i słońce każdego! Milczenie południa śpiewa twą chwałę...

Wędrowiec idzie lasem, idzie lasem... Idzie w liliowej pomroce wśród zeschłych ramion wniebosiężnych sosen, co jak baldachim skrywają mu głowę. Wyścieliły mu miękkie posłanie z zeschłych szpilek i będą mu do snu przygrywać poszumem groźnym i słodkim, — będą mu gadać tajemnicze, odludne bajki. A rano obudzi go hasło pracowitych ptaków, oczy rosą zaspane umyje i dalej pójdzie w słońcu, przez ciche, wonne pola, przez odłogi, kąpiące się w skwarze, gdzie witać go będą szumy spienionych potoków, łzawe, smutne oczy pasących się krów — — —

Pieśń nagle cichnie i urywa się nieskończona, — bo brat Paweł zasłuchany, uniesiony marzeniem, zapomniał o miechu. Zbladł, swą pogardy godną opieszałością i nagłą ciszą przerażony, przetarł czoło, jak zbudzony ze snu, powiódł wokół nieprzytomnem spojrzeniem i cofnął się o krok.

— Graj... dokończ... graj!... — szeptał, kalikując ze zdwojoną gorliwością.

Lecz brat Placyd opuścił już bezwładnie głowę, choć dłonie miał jeszcze oparte o klawisze, jakby zastygł z ostatnią nutą.

— Dokończ, błagam, dokończ!...

Z dołu doleciał szmer powstających z ławek mnichów; sądzili snadź, że hymn skończony.

Brat Placyd siedział jeszcze chwilę, jak gdyby odurzony; gdy ręce opadły mu na kolana, wstał od organu. Był spokojny i wyczerpany.

— Czy masz mi to za złe? — zapytał brat kalkancista niepewnie, przez łzy prawie, skubiąc nieporadnie brzeg rękawa.

— Nie, kiedyindziej dokończę — odrzekł tonem pociechy; unikał jednak wzroku Pawła.

— Tak pięknie grałeś, bracie Placydzie, że zgoła zapomniałem o miechu — usprawiedliwiał się strapiony kalkancista, patrząc Placydowi w oczy z trwożną, uległą pokorą, jakby chciał w nich wyczytać dla siebie przebaczenie.

Lecz Placyd zaśmiał się już niefrasobliwie, klepiąc go po ramieniu:

— Zawsze musisz mieć jakieś zmartwienie!

Schodzili z chóru krętemi schodkami.

— A tak, tak, zawsze coś człekowi dokuczy — podchwycił skwapliwie brat Paweł. — Ot, i nogi mi już nie służą, bracie Placydzie, ten fundament naszej cielesnej powłoki. Miły Boże, dawniej się skakało po pięć schodów, jak sarna. Ho-ho! gdzie te czasy! Dziś człek się snuje powoli, jak dym z kadzielnicy.

— Iii, po co te skargi, kiedy to niemiła rzecz Bogu. Nie na utrapienie nasze i swoje On nas stworzył, lecz po to, by się radować sobą i stworzeniem wszelkiem.

— Jakże to się radować, bracie Placydzie, skoro się patrzy na smutki same i utrapienia?

— Nowe oczy trzeba mieć dla radości.

— E! nowe oczy, nowe uszy... Zawsze tak mówisz. Co mi z nowych, gdy mi jeszcze stare nie odpadły? A źle jest za dużo widzieć i słyszeć...

Brat organista nic nie odpowiedział. Przeszli krużganek, ocieniony starogotycką kolumnadą i skierowali się do ogrodu, który rozciągał się za zabudowaniami klasztornemi na całej reszcie wzgórza. Owionęło ich ciepłe powietrze, przesycone słodkawą wonią więdnących liści. Szli w milczeniu prostą aleją cyprysową, ścieżką posypaną żwirem. Za kolumnami ciemnych cyprysów złociły się liście kasztanów, akacyi, klonów, dębów. Brat Paweł włożył dłonie w rękawy ciemnego habitu i kroczył wolno, z opuszczoną nizko głową, jakby postępował za trumną, choć uśmiechał się nad nim głęboki błękit nieba czystego, jak duszyczka niemowlęcia. Placyd splótł dłonie z tyłu i szedł obok wyprostowany, pogwizdując sobie pod nosem jakąś świecką melodyę. Rozglądał się z zajęciem po szczytach wiekowych drzew, których nieliczne już, żółte liście odrzynały się jasno od ciemnego błękitu, po trawach i ostatnich kwiatach jesiennych, na których kołysały się jasne, ruchliwe plamy żywego złota, przeciekającego przez liście. Z mądrym uśmiechem doskonałego wiedzenia o bujnie czynnej, a bezlitosnej pełni życia i o koniecznościach hucznego biegu jego wartkiej fali, słuchał brzęku znużonych już życiem pszczół, wrzaskliwej bandy wróbli i jaskółek, co opadły w gąszczu ślepą sowę, — i odgłosu bawiącej się gdzieś daleko dziatwy. Z łagodnem staraniem pochylał się nad przydeptanemi niebacznie kwiatami i z matczyną dobrocią rozprostowywał ich chore łodyżki. Odpylał spalone palce palm, pomagał oplatać się powojom i winnej latorośli. Szli wśród tej ciszy słodkiej, którą ledwo słabo zdołał mącić hałas ptactwa, szelest żwiru i zabłąkanych żółtych liści pod drewnianemi sandałami braciszków.

Opadłe blade płatki ostatnich róż przydrożnych zaścielały brzeg

ścieżki, jak drogę tryumfu. W głębi ważyły się żółte liście spadające, jak złote motyle, opadały w trawę i beznadziejnie smutno patrzyły w niebo. Niekiedy zaszeleściła spłoszona jaszczurka, lub wzbił się motyl, co rozmyślał na zeschłym liściu o śmierci. W trawach spalonych grały świerszcze swą ostatnią spowiedź przedśmiertną. Może jutro już niejeden z nich, obejmując serdecznie skostniałemi nóżkami źdźbło trawy, nie będzie słyszał modlitwy swych braci.

Doszli do nizkiego muru, opasującego klasztor, usiedli na kamiennej ławce i patrzyli w szeroką dolinę, przeciętą jasną smugą potoku; przed nimi błękitniały na widnokręgu góry dalekie w przedzachodniem słońcu, z boku jaśniały domy i wieże pobliskiego miasta, otulonego błękitnym woalem mgły. Brat kalkancista odpiął z za sznura różaniec i począł szeptać modlitwę. A Placyd patrzył przed siebie w barwną dal z opartemi o mur rękami i zdawał się wzrokiem i uśmiechem błogosławić góry dalekie i nieznane, i pola urodzajne, i ugory jałowe, i wstęgę potoku snującego się skroś doliny, i miasto poblizkie, i dziatwę hałasującą gdzieś w oddali. Błogosławione niechaj będzie wszystko, czego dotknęła się ręka Pańska w wielki dzień stworzenia. Błogosławione niech będą góry i doliny, rzeki i pola, lasy i miasta. Błogosławione stworzenie wszelkie i głaz wszelki. Błogosławiona ziemia i niebo, gwiazdy, kwiaty, słońce i księżyc blady. Błogosławiona owca i wilk, noc i dzień, ogień i woda, mąż i niewiasta. Bo wszystko z mądrej Twojej ręki, Panie.

Brat Paweł ucałował krzyż, przeżegnał się nim starannie i zatknął różaniec za sznur, którym był przewiązany w pasie.

— Skończyłeś? — zwrócił się doń Placyd.

Kalkancista skinął w milczeniu głową. Po chwili bezruchu spojrzał z zastanowieniem w głąb' ogrodu i rzekł, wzniósłszy palec w górę:

— Dobrą jest rzeczą patrzeć o skonaniu słońca na śmierć lata, bo myśli się też o swojej śmiertelności... Dlaczego wszystko umiera? — dodał po namyśle.

— By zmartwychwstać — odpowiedział brat Placyd. — Bez smętnej jesieni nie byłoby radosnej wiosny. Wszystko bowiem jest mądre.

Paweł milczał przez chwilę, a potem rzekł znowu:

— Zdaje mi się, że dziś po raz pierwszy rozumiałem pieśń twoją. Grałeś dziś hymn Zmartwychwstania Pańskiego.

Placyd potrząsnął przecząco głową.

— Była to pieśń o trawce i górach, o motylu, skowronku i borze, o mrówce i siejbie, o fiołkach i dębach, o wszystkiem...

— Zawsze tak mówisz — uniósł się Paweł. — Czemu nigdy nie grasz Ukrzyżowania Pańskiego, ani Biczowania, ni Ostatniej Wieczerzy? W kościele grasz jakieś... pogańskie pieśni! Czemu? Powiedz... czemu?...

Placyd zadarł głowę i śledził uważnie gniazdo wronie na szczycie olbrzymiej topoli.

Po chwili milczenia ciągnął Paweł dalej:

— A to obraza boska, aby w klasztorze z cudów słynącym nigdy nie słyszano pieśni o Matce Boga, o Jej Niepokalanem Poczęciu...

Brat Placyd spojrzał łagodnie na kalkancistę, zatoczył ręką szerokie koło i jął mówić głosem cichym i ciepłym, jak ten wieczór jesienny:

— Gram temu i z tem, co gra. Gram chwałę wiosny zielonej, czerwonego lata, żółtej jesieni i zimy białej. Gram chwałę czystego nieba, obłoków, dżdżu i chmur gradowych. Bo to wszystko ma swą własną muzykę; ja jeno gram z niemi. Gram z słońcem, co jest dobre i z piorunem, co drzewa powala. Gram z wodą, co płynie w cichej dolinie i z tą, co z brzegów wystąpiła. Gram słońcu, księżycowi blademu i rozumnym gwiazdom, bo one też grają; ja jeno gram im do wtóru. Gram wszystkiemu i z wszystkiem. I ziemi, na której zarasta bujnie pszenica, i tej, co leży odłogiem. Bo czyż to nie jest ta sama ziemia? Czyż woda, co płynie potulnie korytem, nie jest tą samą wodą, co zalewa i topi? Czyż grzyb trujący nie jest tworem Boga? A ja gram wszystkiemu o wszystkiem, iż wszystko jest dobre.

— Dobry jest tedy i człek, co źle czyni?

— Dobry, bo nie byłoby ludzi dobrze czyniących. Wszystko jest dobre jak sam Bóg i jak On mądre, bo On wszystko stworzył. I Wszystko wdzięczne gra Mu hymn składny na wielkich wszechświata organach. A ja gram w ładzie z Wszystkiem, bom jeden z Wszystkiego.

Brat Paweł pokiwał głową z litosnem współczuciem.

— I czy nigdy, bracie Placydzie, nie przychodzi ci na myśl życie wieczne?

— Zawsze o niem myślę i przeto jestem, czem jestem.

Brat kalkancista zaśmiał się twardo z szydem wyższości:

— A czyż inni nie są tem, czem są?

— Możesz nawet nie wiedzieć, czem jesteś. A możesz być czem innem, niż ci się zdaje. Nie wielu wie, czem są. Ten, co wie, jest nim do kresu, na zawsze i sobie nie kłamie. Inni sądzą, że są czem innem, niż są — i ci kłamią sobie siebie. A kłamać jest pierwszym i największym grzechem. Jeden patrzy i pyta: „Czemu? Skąd?“ I jest

smutny. Inny sądzi, że nie trzeba o nic pytać i myśli, że jest szczęśliwy. Ten kłamie sobie.

Lecz brat Paweł położył palec na ustach i rzekł tonem łagodnie karcącym, jak do niegrzecznego dziecka:

— Zbytnia ciekawość zgubiła pierwszych naszych rodziców. Zawsze o tem pomnij, bracie Placydzie.

Zasunął głębiej dłonie w rękawy ciemnego habitu i spuścił pokornie głowę, jak gdyby bez szemrania oddając się woli Boga i niezbadanym wyrokom Jego.

Słońce skonało już dawno za opalową mgłą; poczęło się ściemniać. Drzewa otulały się w lekką, jak pajęczyna, zasłonę mroku i zamykały się jakby w sobie na noc całą. Świerszcze na chwilę umilkły, lecz znowuż zaczęły swą gawędę. W dolinie, przeciętej jasną smugą potoku, mrok się już przeciągał. Na szczycie ciemniejącej kopuły nieba błysnęły pierwsze migotliwe gwiazdy.

— Świat jest jak wielki kościół — szepnął do siebie brat organista.

Wstał, przeciągnął ramiona, jakby w tęsknocie wielkiej i począł się wolno przechadzać po ścieżce, posypanej żwirem, który skrzypiał sucho pod drewnianemi jego sandałami. Na zakręcie drogi nagle spostrzegł ciemną postać brata Jacka, ogrodnika klasztornego, schylonego pod brzemieniem chrustu, który dźwigał na barkach.

— Bracie Jacku — zawołał, przyspieszając kroku — pozwól, pomogę ci.

— O, dzięki, dzięki, nie takie to znów ciężkie — wzbraniał się ogrodnik.

Złożył chrust na ścieżce, otarł pot z łysiny i ujął organistę pod ramię.

— Grałeś dziś, bracie Placydzie, jak sama święta Cecylia, organistka niebieska.

Pochylił się ku niemu i dodał na ucho:

— Gdybym był młody, uciekłbym z klasztoru, usłyszawszy pieśń taką. Dalibóg!

Zachichotał swoim zwyczajem z dziecięcą prostotą i, objąwszy Placyda za szyję, musnął go ustami w rumiany policzek. Organista uścisnął dużą, spracowaną dłoń brata Jacka i potrząsnął nią serdecznie, dziękując za dobre słowo.

— Mało kogo tak kocham, jak ciebie, mało kogo — powtarzał brat Jacek. — Nie tylko dlatego, że razem wstąpiliśmy do klasztoru. Ale... wiesz co?...

Oblizał wargi, pogładził łysinę i wygolone czysto policzki i zaśmiał się, klepiąc organistę żartobliwie po ramieniu.

— Chodź do mnie, boży grajku.

— Dobrze. Pogawędzimy.

Brat ogrodnik cofnął się, jakby zdumiony szybką zgodą.

— Już wiesz? Kto ci mówił? — szepnął z rozczarowaniem.

— Co?

— Że... moszcz gotowy...

— Cooo? Młode wino już jest? — klasnął w dłonie organista.

— Jest! — odpowiedział z dumą brat Jacek. — Więc nic nie wiedziałeś?... Chodź, spróbujemy...

Chwycił pospiesznie chrust i pociągnął Placyda za rękaw.

Brat Jacek miał w głębi ogrodu swój własny mały domek, złożony z jednej celki i altany, obrosłej glicynią, gdzie stała ława i stół, a na nim już czekał dzban młodego wina. Ogrodnik zaniósł chrust za chatę, z celi wyniósł świecę i dwa kubki blaszane i napełnił je po brzegi mętnym płynem.

— Na naszą miłość, bracie organisto, — rzekł, wznosząc kubek w górę.

— Niechaj kwitnie.

Organista przytknął do ust czarkę i długo wdychał aromatyczną, mocną woń wina. Potem przełknął mały haust i, nie ocierając zmoczonych warg, smakował, mlaskając językiem z podniesionemi w górę oczyma, jakby głęboko nad czemś się zastanawiał. Postawił kubek na stole, chwilę jeszcze wpatrywał się w zamyśleniu w płyn, a następnie potakująco kiwnął głową.

— Dobre.

Gdy brat Jacek dokładnie powtórzył to samo, spojrzeli sobie porozumiewawczo w oczy i z uśmiechem kiwnęli sobie zgodnie głowami. I znów jednocześnie zmoczyli usta w winie, wciąż jeszcze patrząc sobie w oczy, jakby z niepokojem o zgodność sądu. Wreszcie brat Placyd poruszył się zdecydowanie na ławie, jakby gotów do walki za sprawę godziwą i pewną i rzekł tonem głębokiego przekonania, a nawet wyzywająco:

— Jest zupełnie dobre.

Jacek mimowoli powtórzył ruch organisty i dodał:

— Najzupełniej.

Lecz jeszcze jakby chcąc się przekonać o nieomylności ważnej bądź co bądź decyzyi, powziętej może zbyt lekkomyślnie i pospiesznie, podnieśli do ust czarki i wychylili do dna.

— Tak, — potwierdzili ze spokojem pewności, — tak...

I gdy im spadł ten kamień z serca, pili już odważniej, jako że się przekonali, iż piją wino dobre.

Brat ogrodnik napełnił znów kubki i, usadowiwszy się wygodnie, chlasnął się szerokim gestem w kark.

— Pamiętasz, bracie Placydzie, nasze pierwsze lata w klasztorze? Gdyśmy, żółtodzióby, siadywali na ławce przy murze, patrzyli na góry i miasto, słuchali śpiewów i grań pastuszych? Gdy ja płakałem — ty mię pocieszałeś, gdyś ty płakał — jam cię pocieszał...

Brat organista pokiwał głową ze smutnym uśmiechem:

— A pamiętasz, bracie Jacku, nasze sny o świecie, o bohaterskich czynach, nasze awanturnicze zamysły ucieczki?... Potem ty znalazłeś osłodę w ogrodzie, ja w organach. O, wielką osłodę! One mnie nauczyły kochać harmonię świata, nauczyły mnie słyszeć ją i widzieć...

— Harmonia... — powtórzył brat Jacek z namysłem. — Tego słowa tyś mię nauczył, bracie Placydzie. Gdy serce prosiło się serca, ust usta, myślałem sobie w duszy to twoje dziwne słowo, które zdawało mi się być równie straszne, jak Bóg, to słowo: harmonia... I patrzyłem na grę chmur, na grę much i pszczół, na grę tęczy, ptaków i kwiatów — i serce zapominało, zapatrzone, zasłuchane... Nauczyłeś mię słuchać, a słyszeć, patrzeć, a widzieć. Nauczyłeś mię używać uszu dla pieśni, granych na zerwanej strunie, nowych uszu, których nie mają wszyscy. Nauczyłeś mię tego nowego świętych obcowania, wysyłania oczu na gwiazdy, na spotkanie z bratniemi oczyma. Nauczyłeś mię koić serce miłością ziemi i wody, słońca i powietrza. Bo ja, co nigdy nie byłem ogrodnikiem, tu nim zostałem i pokochałem kwiaty, drzewa, trawy, winnice, motyle... Nie wiem, coby bez ciebie ze mnie teraz było. Możebym już nie żył... — dodał ciszej z westchnieniem i opuścił głowę.

Lecz podniósł ją znowuż po chwili z uśmiechem i objął brata organistę za szyję.

— I dlatego kocham cię, stary, jak nikogo nigdy jeszcze nie kochałem.

I usta ich połączyły się w pocałunku, w serdecznym raz jedynie w życiu pocałunku dwóch starców. Siedli blizko siebie, objąwszy się ramionami i szeptali bogate, jak jesień, słowa wspomnień i wdzięczności, słowa mętne, jak to wino, które pili i coraz mętniejsze. Mówili o swem życiu niebujnem, a bujnej myśli, o drobnych radostkach mniszych i radościach człowieczych, które pili rzadko, lecz tem zachłanniej... O wszystkiem, wszystkiem...

— Pięknie grałeś, Placydzie, i bogato. Lecz dziwnie pieśń swą skończyłeś... Dźwiękiem, który czeka...

— Nie skończyłem dziś pieśni, Jacku, bo Paweł zapomniał o miechu.

— Nie dziwota, nie dziwota, — zaśmiał się Jacek. — Patrz, nawet Paweł!... Cudne było, cudne...

— A jednak... nigdy nie jestem szczęśliwy z tego, co mi się gra — rzekł Placyd. — Bo wydaje mi się to takie małe, takie dalekie od tego, co jest tutaj, w głębi, na dnie, co chciałoby być wygrane, a nie może. I przeto cięży. Lecz marzy mi się taka wielka, bujna pieśń o Wszystkiem, razem huczna i razem bezgłośna, jak Wszystko. Taka pieśń dla kochanków milczenia, którąby jedynie słyszały te uszy inne, nowe, te nasze. Taka pieśń, któraby wtórowała spadającym liściom i gwiazdom, cichym woniom kwiatów i pasiek, szmerowi skrzydeł motylich, bezgłośnemu wzrastaniu drzew, milczącej poświacie miesięcznej, szmerowi pajęczyny, chybotanej wiatrem. Już ją czuję... czuję, graną na dwóch wystruganych z wierzbiny patyczkach, lub... Wiem, wiem! — dodał z tajemniczym błyskiem w oczach i położył palec na ustach.

Podniósł się szybko, wziął świecę i pociągnął za sobą ogrodnika.

— Dokąd chcesz iść? — zapytał Jacek, idąc posłusznie za organistą.

— Cyt! — szepnął Placyd.

Skradającym się krokiem, na palcach stąpając, przedarli się przez czarną gęstwinę ogrodu, przeszli krużganek, ocieniony starogotycką kolumnadą i stanęli przed drzwiami, prowadzącemi na chór.

Brat Jacek rozglądnął się chyłkiem wokoło.

— Niema nikogo... — szepnął.

Placyd nacisnął drzwiczki: otwarły się z lekkiem skrzypnięciem. Wstąpili na schody, które trzeszczały przeraźliwie pod ich ciężarem. Organista, zasłaniając dłonią płomień świecy, szedł naprzód. Gdy znaleźli się na chórze, przechylił się przez balustradę i spojrzał w ciemną otchłań kościoła, rozświetloną jedynie słabem, czerwonem światełkiem lampki wieczystej, płonącej przed wielkim ołtarzem.

— Niema nikogo...

Postawił świecę na ziemi i ukląkł obok organu.

— Odśrubować od miecha...

Wzięli się do pracy z nerwowym pospiechem. W głuchej ciszy kościoła rozlegał się świst zżartych rdzą śrub i ciężkie oddechy mnichów. Po długiej chwili podnieśli skrzynię z klawiaturą i, zgasiwszy świecę, zeszli ze swym ciężarem na dół.

— Gdzie? — zapytał ogrodnik.

— U ciebie.

Przeszli krużganek, ogród i znaleźli się w altanie obrosłej glicynią. Postawili swój ciężar.

— Tu, tu, — szeptał gorączkowo Placyd.

Przysunął ławę i zasiadł przed klawiaturą.

— Grać nie będzie, bo... niema miecha — rzekł jeszcze Jacek.

— Wiem i tak być musi. Grają gwiazdy, a nie słychać ich, gra blask księżyca, a nie słychać go, grają spadające liście, a nie słychać ich, grają rosnące drzewa... Wtórować im będę... Nowa pieśń dla nowych uszu.

— Tak-tak-tak-tak-tak... — zaszeptał Jacek, przecierając czoło.

Organista drżącemi palcami przebiegał po klawiaturze milczącego organu i mówił szeptem, urywanym głosem, ze łzami w przymglonych szczęściem oczach:

— To ta największa pieśń, ta największa, największa, bo milcząca. Wtór milczącym gwiazdom, zamarzłemu morzu, marmurowym posągom i duszom, co są ciche...

A brat Jacek rzucił się na kolana u nóg jego i, całując brzeg jego ciemnego habitu, szeptał drżącemi ze wzruszenia usty:

— Dzięki, że dożyłem... Słyszę... słyszę tę pieśń... tę jedyną pieśń tylko ja... ja tylko i ty... ja i ty... tę największą pieśń... największą...

JAN STRZEMIĘ.

O wojnie Greków z Trojami.

(Fragmenta).

PRZEDMOWA.

Wszystkie tłómaczenia Homera, jak wogóle tłómaczenia epopei, mają jedną wspólną ujemną stronę, która nie pozwala poznać charakteru epopei, zbliżyć się do odczucia, rozumienia jej takiego, jakie miał dla niej człowiek plemienia z którego powstała. Ujemna ta strona leży w stylu tłómaczeń, w stylu literackim: mniej lub więcej międzynarodowym. Styl epicki nie jest międzynarodowym stylem, jestto styl dla każdego plemienia odrębny, każdemu narodowi właściwy, do każdego języka szczególnie przywiązany. Epopeja Greków była dla nich żywym obrazem ich bohaterskiego życia zamkniętym w opowiadaniu przesławnego bajarza, a dla nas bywa albo „dosłownem tłómaczeniem" albo mniej lub więcej „literackim" utworem. Tłómaczenie dosłowne zachowujące niewolniczo zwroty naszemu stylowi epickiemu nieodpowiadające, jeżeli nie wydaje się czemś „naciąganem" to w każdym razie jest wrażeniem bardzo odległe od oryginału. Opowiadanie greckie tłómaczone na nasz język tylko, nie jest opowiadaniem; chcąc Homera tłómaczyć na język polski, musimy także przetłómaczyć styl Homera na styl polski. Bajanie pieśniarzy homerydów nie da się przetłómaczyć zatem ani dosłownie, ani po „literacku" aby tłómaczyło prócz sensu zewnętrznego także i sens wewnętrzny. Przekład Słowackiego pokrywa ten niedobór jego indywidualną fantazyą, jest niejako przekładem na Słowackiego. Najlepsze po Słowackim tłómaczenie Rydla daje najwięcej stosunkowo wrażenia opowieści, tyle ile tylko może dać obumarły dziś prawie styl epicki, przystosowany zresztą do całkiem innych pojęć, poglądów i szczegółów życia niż ówczesne. O pięknem tłómaczeniu Siemieńskiego, fantazyjnem Przybylskiego, poprawnych Popiela, Mleczki i Szmurły tyle nawet powiedzieć nie można.

Gdzież zatem ów styl, żywy styl epicki, któryby czyny wojenne rycerzy Homera, ich naturę twardą a zapalną, któryby Greków „ciekawość do świata" mógł pomieścić? Ostatni blask naszego epickiego stylu zaświecił w Panu Tadeuszu — który swojej epoce mógł dać wyraz, jako z niej wykwitły sposób opowiadania. — Jedyna polska żywa mowa epicka wykształcona, raczej zachowana na warunkach bytu staroświeckich, o pysznym stylu —

to mowa ludu góralskiego. Czyniono już w Niemczech próby tłómaczenia Iliady Plattdeutschem — ale te wypadły „po dziadowsku“. Gwara chłopa niemieckiego nie może oddać tego co gwara naszych górali, urodzona na warunkach bytu pierwotnych, na reminiscencyach tradycyjnych wojen szwedzkich i na fantazyi zbójnika, czerpanej z żywej natury. „Sabały opowiadań słucha się tak jak się czyta po wiele razy pieśni Homera — z któremi mają one wiele wspólnego“ pisze Witkiewicz. „Odrzuciwszy formę wiersza której góral nie używa, to wszystko co stanowi treść życia, ten materyał z którego są zbudowane obrazy, w jednym i w drugim wypadku są te same. Przedewszystkiem górska natura prowadzi do tych samych porównań; życie ludzkie, życie pasterzy u Sabały i u Homera jest tak podobne że jeśli na miejsce bohaterów Iliady i Odyssei jakkolwiek oni się nazywają, podstawimy naszych Walczaków, Pitoniów, Gąsieniców i Mardułów, nie będziemy potrzebowali dodawać nic więcej oprócz złota i śrybła których Homerydzi mieli do zbytku a o których pasterze hal tatrzańskich tylko marzyli“. Koniec naszego renesansu były to jakby rozstajne drogi z których jedna prowadzi do nas przez krainę romantycznej i modernistycznej literatury a druga do opowiadań góralskich przez legendy o Janosiku i zbójnikach. W mowie góralskiej słychać żywcem wzięte zwroty Jana i Piotra Kochanowskich. Tą mową starałem się przetłómaczyć Iliadę; nie trzymałem się jej jednak najściślej. Zapożyczałem się też w języku staropolskim, o tyle jednak o ile duchowi gwary góralskiej odpowiada. W bardzo nielicznych wypadkach nie trzymałem się oryginału, kiedy musiałem zastąpić porównania homeryczne porównaniami więcej odpowiadającemi góralszczyźnie, takiemi, jakichby użył góral przeniesiony z Tatr nad morze Egejskie, albo pomijałem je całkiem. W jednem, czy dwu tylko miejscach pozwoliłem sobie na większe odstępstwo od tekstu. Drobiazgi niektóre zmieniłem na zgodniejsze z życiem góralskiem (n. p. forminga to gęśle). Nazwy niektóre przekręcałem tak jakby je przekręcał skłonny do przerabiania ich „na swoje“ góral.

Przy tem wszystkiem krępował mnie czytelnik. Z pomiędzy homonimów góralskich te, które — choć więcej odpowiadały duchowi i wpadały mi w formę — byłyby dla czytelnika zbyt niezrozumiałe i tamowałyby tok wrażenia musiałem zastąpić słabszemi wyrazami, jeżeli zaś tamtych użyłem, to wtedy, kiedy z całego zdania można łatwo znaczenie ich wyczuć.

Co do wymowy — zastosowuję góralską o tyle, o ile z jednej strony raziłaby wymowa normalna, a z drugiej o tyle, by góralska wymowa nie raziła nieprzywykłego ucha czytelnika.

Mimo to jednak, że obcowanie z góralszczyzną i myślenie umysłem, czucie duchem góralskim, budziło we mnie nastrój bardzo poważny, przez cały ciąg tej pracy, — do której niezależnie od ambicyi literackiej przedewszystkiem jako do problemu wagę przywiązuję, i jako taki podaję — przedstawiam ją, choć zachęcony przez Witkiewicza, z wielką jednak obawą czy będzie tak rozumiana, jak ja ją rozumiem. Człowiek przyzwyczajony wszelką rzecz nową uważać przedewszystkiem za curiosum, a gwarę ludową — choć ta nie mniejsze prawo ma, może nawet większe do pełnego i poważnego wyrażania życia niż język nowoczesnej, kultury, za — groteskę. Boję się, że dla wielu będzie „Wojna Greków z Trojami“ równa „Pięknej Helenie“ Offenbacha.

(Samogłoski oznaczone kreską poziomą należy akcentować silniej, jestto mowie góralskiej właściwy w niektórych wypadkach akcent uczuciowy, zresztą akcenta mają być normalne).

Z KSIĘGI PIERWSZEJ.

(1 — 340)

I.

Panno święta, ty sama zaświadcz jako było,
Wtedy kiedy pasyją się rozsierdził wściekłą
Peleusowy Achil. Tak się porobiło
Że moc od gniewu tego zacnej krwie pociekło
I poniejedno życie chłopa ostawiło
Psom i hawraniom i precz wędrowało w piekło.
Tak już Bóg chciał od kiedy gniewy swoje kida
W nogach wartki Achilles i harnaś Atryda.

II.

Któryż to z świętych bogów tak ich z sobą zetrze?
Dy to ojca Jowisia syn był i Latonki.
Rozjadził się na króla, morowe powietrze
Z nieba cisnął i wojsko padało jak płonki
Nieźrałe oblatują z drzew z pukiem na wietrze;
Tak bóg chłopy z hurkotem zbrój ciskał na łąki.
A bez to Apol luda tyle wte napsował
Co jego księdza Chryza król nie uszanował.

III.

Ten Chryz szedł brzegiem morza ka się woda pieni,
Przyszedł gdzie miały wartkie okręty Achaje,
Bo chciał by mu wrócili dziewkę co mu wzieni,
Za którą setny wykup wojownikom daje.
Na głowie miał choiny tej świętej zieleni,
W ręce taki kij złoty ustrojony w gaje.
Skoro przyszedł, pokłonił się pieknie Atrydzie
I tak już bardzo prosi Greki w swojej biedzie:

IV.

Atrydy i wy króle i siumni Grekowie —
Niechże wam mocne bogi co w Olimpie siedzą
Wszytkim na wieki wieków dadzą dobre zdrowie!
Cobyście dobrze weśli w Przyjamową miedzą,
Wzieni Troję — i tak już powiem w jednem słowie
Wracajcie zdrowi, a psi niech tam Trojów zjedzą;
Jeno mi córkę dajcie bom też przyszedł po to
Mój bóg wam to nadgrodzi a i ja dam złoto.

V.

Zmilkł ociec, a zaś greckie wojsko i koniądze
Przystały na to zaraz i dziewkę Chryzowi
Chcą dać, bo im nierada była, a pieniądze
Za to wziąć, bo to każdy przytem się obłowi;
Ale cóż: kie sie inne jakieś zdały żądze
Widać brzydźkie Atrydzie Jagamemnonowi:
Wrzasnął straśnie że zmilkli wszytka jak gołębie,
Taka wereda jedna twarda była w gębie:

VI.

Stul pysk! i tak ci mówię cobyś szedł odemnie
W dyabły i po próżnicy nie plótł ty sobacze
Nasienie, bo na duszy nie będzieć przyjemnie
Ani cię nie osłoni twe księstwo, gdy zbaczę
Żeś jeszcze tu! Za córką banujesz daremnie,
Dziewka pojedzie ze mną — niech ta potem płacze,
Puszczę aż siwa starość obieli jej skronie!
Idź psie-drewno, bo kijem z tela cię wygonię!

VII.

No i dobrze nie bardzo, Chryz markotny bieży
Do brzegu, gdzie huczało głośno wielkie morze —
Do nieba ręce podniósł dwie jak do pacierzy
I modli się, a tęgi płacz mu gardło orze:
Apollu, co pod twoją ręką Chryza leży,
Co Kiłą i Tenedem władasz mocny boże!
Wołam do ciebie z tela twój parobek chudy
Byś mnie pomścił i cisnął mór na greckie ludy!

VIII.

No i co się nie robi: bóg szerokiej Kiły
Upłazami z Olimpu szedł w dół po uboczy,
Na grzbiecie mu w sajdaku strzały w krok dzwoniły,
Co hipnął, to zazbyrkło. Tak szeroko kroczy —
Czarny jak noc. Naciąga łuk z ogromnej siły
I strzała z furkotaniem jak wiatr z gór wyskoczy.
Dziewięć dni bóg strzałami przez powietrze pierze,
Dziewięć dni o ziem twardą dzwoniły pancerze. —

IX.

Dopiero dziesiątego rania na poradę
Achil zwołuje Greki. Tak mu każe Hera,
Bo już to było bardzo bogińsko nierade
Że tyle tęgich chłopów bez wojny umiera.
Więc skoro się już Greki zeszły z trwogi blade
Najpierwszy gębę wartki Achilles otwiera.
Zaczem przycichła cała wojemska gromada,
A Peleusów Achil tak Atrydzie gada:

X.

Cosi sie mi tak królu widzi na ostatku
Że się bedziemy wracać bez wojny nijakiej,
Bo nam śmierzć biere wojsko beze krwie przy statku,
Jak muchy od powietrza padają wojaki.
Więc myślę żeby trzeba w takowym wypadku
Coby nam też powiedział mądry człowiek jaki,
Czyby się dał uprosić Apol tyle grzmiący,
Kieby mu na okfiarę dać stuwół dymiący.

XI.

Kie już siadł, wtedy podniósł się w gęstej gromadzie
Kalchas siwy, Testorów syn, i mądry stary;
Głowę on bardzo tęgą miał, był pierwszy w radzie
I zawsze wszytko wiedział przez pobożne czary
Co było i co będzie — ni mu na zawadzie
Stał czas, ani dalekość; bo czynił okfiary
I Apol mu Delijczyk dawał mądrość swoję
Przez co Greków okręty prowadził pod Troję.

XII.

Skoroś mi kazał — pada — Achillu tłómaczyć
Za co bóg na Danajów wytrzęsa sajdaki,
To ci już toto powiem, ino musisz baczyć
By mnie kto nie ukrzywdził, bo jest tu ktoś taki
Mocny i zły, co będzie chciał mnie o to haczyć,
Więc mi przyrzecz że srom mnie nie spotka nijaki.
Na to obiecał Achill bronić Testorydy,
Chociażby się nań zawziął sam król Argolidy.

XIII.

No to już wam tak powiem siumne Achajczyki
Że nic nie płaci bogu stuwół darowany,
I że będzie powietrzem ruszał wojowniki
I kładł po łące chłopy rzędem jak barany,
Bo mu księdza odprawił Jagamemnon dziki
I dziewki mu nie oddał; więc bóg pogniewany
Nie pierwej bić przestanie grecki naród mrowi,
Pokiel król dziewki darmo nie odda Chryzowi.

XIV.

Tak ten Kalchas powiedział... Wokół wszytko słucha,
Patrzy co z tego bedzie: a harnaś Atryda
Wstaje kieby napity, tak mu trzęsie ducha
Złość, co z gęby jak skry mu z kuźnie skacze, brzyda;
Wątróbsko mu też czarne od żółci napucha
I już Achaje widzą tak, co bedzie bieda;
Poziera nań z podełba jakoś bardzo straśnie,
Pazdurska se do pięście wbił — i juści wrzaśnie:

XV.

Trzystaś ty dyabłów zjadł kieś psiakręć prorok teli!
Patrzcie go... Mudru hlawku! — Bestyjska gadzino!
Przódy mi się kobyła przy wozie ocieli
Jako ty dobre powiesz. Chciałem z tą dziewczyną
Wrócić w Argos kiebyśwa żyzną Troję wzieli,
Bo ją już tak rad widzę, i ta jedna ino
Dziewka gładka i fajna jest, a moja żona
Proci niej telo stoi co przy krasce wrona!

XVI.

Ale niechże już bedzie skoro tak już chcecie.
Chocia mi ta niepilno Chryzkę dać Chryzowi
To ją dam. Ale jakoż to — ludzie na świecie —
Ma być, żeby zabrano królewskie królowi?
I byście wszytka mieli swoje a ja wiecie
Nie. To nijak nie idzie, gadajcie ta zdrowi!
Dam ją, lecz lud Achajów to mi wynadgrodzi —
Ja tu nājstarszy — brać mi dziewki się nie godzi.

XVII.

Zaczem wartki Achilles tak mu odpowiada:
Chciwy Jagamemnonie, tak mi się coś zdaje,
Że kie już każdy swoje wziął, to nie wypada
By się na nowo dzielił łup między Achaje.
Teraz na to już żadna nie poradzi rada,
Kiedy indziej oddamy to, coć nie dostaje —
Po trzykroć, po czterykroć. Jak Pan Bóg pozwoli
To ci to Troja dobrze zapłacić wydoli.

XVIII.

Na to mu zaś te słowa Atrejczyk odrzecze:
Chociażeś taki śwarny i dzielny jak tuszę,
Nie fafrz, bo mnie nie zdolisz obełgać człowiecze,
Ani mnie nie oszukasz nigdy, na mą duszę!
Lecz pono nie uciecze to co się odwlecze,
Nie chcecie dać: to sobie sam odebrać muszę.
Pójdę i sam swą miłą troskę uspokoję,
Hajaksa, czy Odysia wezmę, czy też twoje.

XIX.

No, ale to się raczej już potem obgada,
Tymczasem czarny okręt spuścimy na wodę
I wioślarzy niech sprawnych wybierze gromada
I juści z Apolinem trzeba robić zgodę, —
Dać stuwół i niech Chryzka ze stuwołem siada,
Trzeba staremu ojcu oddać jej urodę.
Przemyślny Odyś śtuder okręt poprowadzi
Abo inny, co z nimi skróś tego uradzi.

XX.

Teraz nań wartki Achil z podełba poziera:
Nie wiem jako ta psiākrew patrzy na harnasia,
Jako chce by go słuchać i co se bezera
Myśli?! Czy ja dla sobie wyciągam pałasia?!
A cóż mi Troje winni? Bier że ich cholera!
Żaden mi krowy nie kradł, i tylko u dyasia
Skrōś tobie bezkurcyjo i twojego brata
Siedzieć tu mam i dziury nie widzieć dō świata!...

XXI.

Za to wszytko ty jeszcze, bestyjskie nasienie,
Wydziwiasz że mi dziewkę weźniesz miłowaną.
Płony mój skarb, lecz wierzaj że go niē odmienię
Choćby mi za nią cały świat obiecowano!
Zapominasz że całe twe sobacze mienie
Z wojny wydarte moją garzścią spracowaną!
Skoro tak, to do Ftyjej wracam z Mirmidony. —
Nie dam sobie do ręców pluć, psie zatracony!

XXII.

Na to mu znów odpowie Jagamemnon dziki:
Jak sobie chcesz: jedź, zostań, — wolna twoja wola,
Jeszcze przy mnie ostaną tęgie wojowniki
I ociec wielgi w niebie. Ty se zmykaj z pola.
Kie tak chcesz to i dobrze, bo ustaną krzyki
Co je w całym obozie słychać, — wolna wola!
Bryzkę wezmę, bo wiedz ty co się mnie urówniasz
Że ja tu wojewoda jestem a tyś — ....!!!

XXIII.

Achil stanął — a serce mu w piersi kosmatej
Ucupnie jako jastrząb kie pazdur podrywa...
Łapił za miecz: czy wpędzi go Atrydzie w gnaty
Czy wróci ś nim do boku — chwilę przemyśliwa.
I tak se w ręce waży ciężki miecz dzióbaty
A z oczu mu się dusza w iskrach wydobywa.
Tymczasem w górze się to niē nazdało Herze,
Bo miarkuje że śmierzć już harnasia zabierze.

XXIV.

Ogromna siwooka boginia Palada
W sam czas za żółte włosy Achilla chyciła.
A nic nie miarkowała wojemska gromada
Tylko Achil, choć była tam narodu siła, —
Zląkł się i miecz mu ciężki ku ziemi opada
Tak do niego mądremi oczami świeciła.
Zaczem się jej pokłoni i pyta czy ona
Przyszła tutaj oglądać śmierzć Jagamemnona.

XXV.

Dopiero mu Atena gada takie słowa:
Cobyś ta tyle mątu robił?! — Słuchaj żē mnie
A miecz se nazad za pas wsadź, bo Dzeusowa
Hera co na ramionach gładka jest, przezemnie
Przykazujeć (a jedno serce dla was chowa)
Cobyś się dō żelaza nie brał tak naremnie.
A wiedz to, że kie teraz ustąpisz Atrydzie
To pote ci trōjaki odwet ztąd wynidzie.

XXVI.

Na to się znowu do niej Achil tak obzywa:
Skoro ty mi tak mówisz to i lepiej może —
Niechże już; choć mi tęgo bestyja parszywa
Za pazdury zalazła. — No, ale kie zboże
Bogom siejesz, to będziesz sam miał lepsze żniwa.
Bier go dyasi — zapłaci mi to w innej porze.
Zmilkł. Na śrybłanej głowni ciężką rękę kładzie... —
Już się ino powietrze rusza po Paladzie.

XXVII.

Ale Achil gorący był i cięgiem sapie
Kie sie już ōzpajedził telo na onego:
Dziadu! rāptawą gębę masz a serce capie,
Kiecki sie trzymiesz rad, a rządu wojemskiego
Nie znasz, bo cie strach zaraz za kolena łapie.
W obozie dreć się umiesz i odzierać swego;
Nie dziw, kie królem nędzne cię obrało plemię!
Kieby nie to, już dawno dzisiaj gryzłbyś ziemię.

XXVIII.

Ale ja ci tak rzekę, Jaga, na mą duszę,
Że ci kiejsi pokuta za mnie przydzie krwawa,
Bo kiedy Hektor będzie bił — ja się nie ruszę.
Pamiętaj, bo to będzie taka pewna sprawa
Jak to, że kie raz ścięto w uboczy skoruszę
To z niej nie wyda liści sędziowska buława.
Spomnisz wte, gdy päiże Hektor będzie zdzierał,
Żeś nałęższego z Greków dzisiaj sponiewierał!

XXIX.

Pedział i o ziem berłem ūzdajanem praśnie
I siednie;... a naproci harnaś zajadliwy
Stoi: oczy na śrubie mu chodzą, tak właśnie
Jak kiebyś bez hołośni był i wlazł w pokrzywy —
I już czekasz jak znowu na Achilla wrzaśnie. —
Ale wte z pośród Greków sie pradziadek siwy
Nestuś podniósł, król Piły. Przycichła gromada,
On fajkę z zębów wyjął, splunął i tak gada:

XXX.

E! raty! już ja widzę jak se Przyjam stary
Przysiadanego tańczy, a zaś córek trzysta
Boczkuje wkoło niego, a z Trojej okfiary
Śmierdzą tak, że mnie od nich zamgliło do czysta.
Tak się zaś tam radują, bo się dwóch za bary
Napierwszych Greków chce brać. Hektor w palce śwista!
Dyabli że was do chrztu obydwu trzymali! —
Słuchajcie, bo nie tacy mnie chockie słuchali

XXXI.

Jako wy, bo sie taki nie prędko nagodzi
Jako Piryt czy Drący Jaś, co tęgo bili,
Czy Kajny, czy Polifem, czy insi z tej młodzi.
Dobrzy chłopcy, co wszytka honornie skończyli.
Ci zbijali potwory w górach jak sie godzi.
Proci nich żaden wojak nie śmiał wyjść niepili.
Żaden z was dzisiaj z takim nie szełby za pasy!
Ś nimik był i słuchali mnie wszytka w te czasy.

XXXII.

Ani ty Achilowi dziewki nie bierz, bo ta
Nie zarobisz nic na niej, a i nieprzystojnie
Brać komu co raz dostał. Niechże ci ochota
Zejdzie z tego co drugi sobie zdobył znojnie. —
A ty zaś sie na niego nie bierz do brzeszczota,
Zawdy on starszy król jest i harnaś we wojnie.
Mocniejszyś i boginka na świat cię zrodziła,
Ale on pierwszy; pod nim stoi ludu siła.

XXXIII.

Tak teraz Jagamemnon rzecze do Nestora:
Bardzoście to mądremi powiedzieli słowy,
Ino że całkiem za nic ma mnie ta potwora!
Rozkazować on wartki i rządzić gotowy
Taki co haj! panować to mu zawdy pora;
Dobre to, że nikt słuchać nie chce takiej mowy.
Że w wojemskiej maturze nikt doń nie dostaje,
To sie nie musi zaraz dreć między Achaje.

XXXIV.

Na to rzecze Achilles tak do wojewody:
Rządź komu chcesz, nie myślę cię tu słuchać bracie,
Weź Bryzkę skoro ze mną nie chcesz przyjść do zgody,
Nie chcę sie bić, gdy dane raz mi odbieracie.
Ale kiebyś mi w statku chciał zwyrządzać szkody
Narobię z ciebie mięsa ku wiecznej zapłacie! —
Tak się nie mogli zgodzić w tej zaciętej zwadzie,
Aż Greki się rozeszły i był koniec radzie.

XXXV.

Teraz na okręt poszło dziewczę urodziwe
I Odyś, co za wodza miał być i za posła.
Od okfiar się po brzegu dymy snuły siwe...
Potem ozcapirzyła łódź szeregiem wiosła
I smyźno popłynęła na morze pletliwe
I Chryzkę i Odysia ku Chryzie poniosła...
— A wy mi idźcie przywieźć Achilową stratę!
Huknął król na Taltyba i na Eurybatę.

XXXVI.

Tak powiedział i oczy obrócił pijane;
A oni szli nieradzi bardzo, gdzie się morze
O piach na brzegu w białą rozbijało pianę...
Przyszli i Ftyjan króla naśli w onej porze:
Stał gdzie były okręty w rząd powyciągane,
Coś se przy gęślach zdajał i patrzał do zorze...
Obu posłów Atrydy strach zimny opada,
Ale Achil chłop krzeczny był i tak im gada:

XXXVII.

Witajcie u mnie posły, ja was nie zjem przecie,
Dyćeście mi nie winni nic, tylko Atryda.
Przyśliście moją dziewkę brać, to ją weźniecie.
Poczkajcie, zaraz wam ją tu mój Patrok wyda.
Ino was tu dziś wołam za świadki na świecie
Że mi na despet zrobił król, ale kie biéda
Przydzie, i trzeba będzie ręców do obrony,
Będę cicho przy watrze siedzieć z Mirmidony.

Z KSIĘGI OSTATNIEJ
(POCZĄTEK).

I.

Kie ūradzili, pośli pōwieczerzać, potem
Spać, coby skrzepnąć zaś na rano nowe,
Tylko Achil spać nie mógł z tym ciężkim kłopotem,
Kie towarzysza stracił. Wbił do ściany głowe,
Zaś się po wyrku zwyrtał myśląc ino o tem
Jaki to chłop był! ale chłop! chłopisko zdrowe
Jak dąb! spominał jako se tōwarzyszyli,
Kielo ziemie i morza kielo wraz przebyli. —

II.

Wszytko to ozmyśluje syn Peleusowy,
Sen go nie imie, choć mu piaskiem suje w oczy.
Wyjrzy do pola: może mu wiatrek lutowy
Wyducha ze łba myśli — tam i sam ukroczy
Nad brzegiem morza lament poczynając nowy.
Poziera: może jutrznię na ostatku zoczy,
Może mu kiela tela ulży kie zadnieje. —
Tak ta słucha jak wełna cosi z brzegiem dzieje. —

III.

A skoro się świtania pobudziły rane
Hektorowego trupa uwiązał do osi;
Skoczy na wóz i konie pędzi rozegnane —
I trzy razy bronuje nim i tak sie nosi
Wokół, gdzie ciało drucha legło zakopane.
Zaś go niechał, do izby wlazł, a zaś snu prosi.
Ale Hektora żadna nie zbroczyła rana,
Apol na tarczy sam niósł ponad ziem hetmana.

IV.

Ino sie to niebardzo wysokim widziało
Że tak Achil po piargu wojownikiem orze.
I już też Hermes, boski goniacz jego ciało
Miał ukraść. Tak radzono na niebieskim dworze;
Ba się to Pozjedowi zaś nie podobało
Ni Herze ni Atence, bo po owym sporze
Kie Parys nad nie wolał stawić Miłośnice
Chciały baby by cała Troja poszła w nice.

V.

Kie tak harnaś dwunasty dzień był w poniewierce
Apol wreszcie do bogów tej sie bierze gwary:
Tacyście na Hektora twardzi, nieumierce?!
Czy wam nie palił wołów dosyć na okfiary?
Na płacz zieny i dziecka głuche macie serce!
Grzebść obitelnie ociec go nie może stary,
Bo sie wam już ten obwieś upodobał grecki
Co kielo tęgi, telo od sumnienia precki!

VI.

A wstydu nie ma za nic ten Achajec głupi!
Bo wstyd — to choć człek nim nie zawsze skieltuje,
Ale zaś czasem to ta niejedno zań kupi...
Dziwaczny kisi chłop co serca nie zaczuje,
A jak ryś ino wojsko rōgate rad łupi.
— I bēz co tak Patroka tego lamentuje?
Jak kieby Pana Boga stracił?! — i cholera
Ziem świętą bez ten lament głupi poniewiera!

VII.

Na to mu zaś tak Hera zagniewana gada:
Możeby ta i było tak, — ino za wiele
Cosi cześci dla tego trojańskiego gada
Porównać go z boginki synem, bo wesele
Pelejoweście wszytka widzieli kiek rada
Zdatnego chłopa z Tetką ożeniła śmiele:
Tyś sam na gajdach buczał do białego rania
Kręty chłopie, tak wartki dziś do gardłowania!

VIII.

Ale Jowiś tak na to bozikuli powie:
Nie swarz Hera! choć w rzeczy nie jednacy oba,
I Hektorowe dary braliście bogowie;
Było ich dość — flak fajny, udźce i wątroba
Wōniały niēbieskiemu dworowi nā zdrowie. —
Mnie sie ta ūkradzenie nie bardzo podoba:
Achil wartki i mać go pilnuje statecznie —
Lepiej z Cietką uradzić ten interes krzecznie.

IX.

Na to sie porwie z chmury Jerys wiatronoga
I tam gdzie Samos pławi pierś w zielonej wodzie
Chlusła w morze aż piana poskoczyła mnoga!
Jak ołowianka śmierć szerząca w rybim rodzie
Jedzie na dno, a z baniek świeci za nią droga,
I stanęła w Nerejek podmorskiej zagrodzie:
Tetka pośrodku dziewek pod turnią siedziała
I wciąż syna krótkiego żywota płakała.

X.

Powiada Jerys tak i tak, co trzeba było,
Jako że radzić cosi tam z Tetydą chciano.
Wstała Tetka: po morzu całem zaświeciło,
Kiedy ku światłu nogę obróci śrybłaną. —
— Nie wiem co się ta w niebie znowu nādarzyło,
Ale ta po próżnicy nie wołają, — ano
Pódę. — I tylko chustę czarną bierze na się...
Szły, a przed Tetką woda ustąpiła zasię.

XI.

Od brzega się podniosły kieby dymy siwe
Za wiatrem lecą smyżnym w otwarte niebiosa...
Przyszły na wierch, — dokoła bogi urodziwe
Siedziały, a pośrodku wielgi syn Kronosa
Do niewiast wartko zwróci oczy miłościwe.
Przy jego boku siednie Tetka śrybnobosa,
Zaraz jej Hera wina w złotym kubku dała,
Ta piła — ino chusty rąbkiem zasłaniała. —

XII.

Tak do niej prawi król na bogi wsze i ludzie:
Przyszłaś Cietka! i dobrześ zrobiła, choć pono
Markotny człek nierado na wołanie pódzie.
Kazałek cię tu prosić do mnie, bo ta ono
Niebardzo cosi dobrze z tym Hektorem budzie;
Już tu u nas Hermesa mało nie ruszono
Coby Hektora poszedł kraść; alek niē puścił, —
Zamartwiłbym się kieby mnie twój mir opuścił.

XIII.

Chybaj wartko, a zwijaj te śrybłane nogi!
Leć do syna a tak mu praw, żeś była w niebie
I że bardzo nierade na to patrzą bogi,
Co wyprawuje Achil; może warcej w siebie
Wróci, kie powiesz że nań Jowiś bardzo srogi.
Niech wyda trupa ojcu, który go pogrzebie.
Ja tu zatela Jerkę popchnę do starego
Coby poń szedł i przyniósł wykupy za niego.

XIV.

Skoczy Tetys w szumiące drogi do otchłani
I staje w krótkim czasie w synowskim namiocie.
Dychał ciężko, naokół chłopcy zakrzątani
Towarzysze, o innym myśleli kłopocie:
Mieli śniadać, na ziemi był zewłok barani;
Przy nim się uwijali w rzeźnickiej robocie.
Siada mać przy Achilu i ręką po twarzy
Głaszcze go i te słowa do hetmana gwarzy:

XV.

Pókiż się będziesz Achiś niepotrzebnie trapić?
Jadła i dziewki nie chcesz jako na człowieka
Przystało; bo i dobrze czasem co obłapić, —
Jeszcze tobie, coć śmierć się znaczy niedaleka.
Musiałam się tu k'tobie dzisia prędko kwapić,
Bo tam już cały Olimp na ciebie narzeka;
Jowisia to nabardziej mierzi. W blizkim czesie.
Masz dać Hektora temu co wykup przyniesie.

XVI.

Na to Achil jej taką odpowiada mową:
Niechże ono i będzie tak, jako prawicie
Mamo święta! bo nijak bym złość Jowisiową
Na się brać nie chciał. Mocne to niebieskie bicie!
Niech więc Hektora bierze i uchodzi zdrowo
Ktokolwiek mi przyniesie wykup przyzwoicie. —
Słońce już się na niebie południowem pali,
A mać z synem coś długo jeszcze uradzali.

* * *

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

Na dawniejszą nutę.

I. SONET.

Lubię sonetu nietrudną budowę,
Miłą mi jego spiżowa prostota:
Gdy zechcę — radość zaiskrzy się złota;
Zapragnę — wizye w nim rzeźbię tęczowe.

Marzeń misterną rozwijam osnowę;
To — jękiem cichym zadźwięczy tęsknota,
To — obuch bólu treść duszy zgruchota,
To — groźby słowa w nim zamknę gromowe.

Gdy zechcę — miłość wyśpiewam anielską,
Zapragnę — płomień pożądań zapalę;
Pieśnią mi zabrzmi błękitną i sielską;

W zielone morza rozleje się fale,
Z wichrem zapłacze, jak stepowe zielsko;
Myślą zabłyśnie, jak słońce w krysztale!

II. EROTYK.

Tyś jest, jak Bóg, okrutny a straszliwy,
Co męką mąk swe sługi wierne karze, —
A oni wciąż, w miłosnym serca żarze
Dla niego mrą — i każdy mrze szczęśliwy.

Tyś jest jak błysk płomiennej gromów grzywy;
Ty, Pani burz, piorunów dzierżysz straże;
Ty walisz w gruz najświętsze serc ołtarze,
Niweczysz w proch najtrwalsze dusz porywy!

A jednak ty, w swych jasnych oczu parze,
Słoneczny blask, pogody nosisz dziwy;

A jednak ty, w przesłodkich ust puharze
Słodyczy raj i uśmiech masz płochliwy;

A jednak ty, w postaci twojej czarze,
Masz miodny wdzięk i lśnienia pszennej niwy...

III. MORS AMORIS.

Kochałem dziewczę, — lecz miłość zagasła,
Jak życie w ciele pod śmiertelnem tchnieniem,
Dusza się gorżkiem zalała zwątpieniem,
W sercu gorące obumarły hasła...

Ostatnia struna w mojej duszy trzasła,
Co mnie łączyła świetlanym promieniem
Z najukochańszą; później — zimnym cieniem
Serce okryłem... Choć mię nie zadrasła

Po stracie boleść, — ale w mojej duszy
Pusto się stało, jak na oceanie;
Chociażem wielkiej nie cierpiał katuszy, —

Ale poczułem, że szczęścia zaranie
Swym cudnym blaskiem serca mi nie skruszy —
I dawna miłość z martwych nie powstanie...

IV. CMENTARZ WIEJSKI.

Z kamieni polnych otoczony murem,
Mchami porosłym i zieloną trawą,
Zewsząd oblany zbóż i łęgów lawą, —
Cmentarz w południe, w marzeniu ponurem

Śpi... gęste krzewy ścielą się tam ławą
I w noc jesienną smutku jęczą chórem, —
A teraz, ciche, pod nieba lazurem
Bezgłośną skargą bólu, ciszą krwawą

Konary w niebo nieruchome prężą...
Mogiłki ciche, porosłe dziewanną
I kwiatów tłumem... Mogiłkom nie ciężą

Kamienie, tylko z Przenajświętszą Panną
Obrazek rdzawy blaszaną pawężą
Zmarłych sen chroni strażą nieustanną...

* * *

STANISŁAW KOCZOROWSKI.

Trofea.

MEDAL ANTYCZNY.

Etna wciąż rodzi wino, którem Erigona
Poiła Teokryta. Lecz owej urody
Opiewanej wierszami, dziś poeta młody
Próżno szukałby jeszcze pośród dziewic grona.

Tracąc czystość boskiego profilu, wstyd łona,
Aretuza pasterskie polubiła gody.
Zwolna w dumę co szczyci angaweńskie rody
Spłynęła saraceńska krew nieposkromiona.

Czas mija. Wszystko zmiera. Marmur pada w gruzy.
Z Agrigente pozostał cień, a Syrakuzy
Śpią pod całunem nieba w pogodnej żałobie;

I tylko złoto, srebro, bronz — kruszce co miękną
Gdy miłość tworzyć zacznie, przechowują w sobie
Dawnych dziew sycylijskich nieśmiertelne piękno.

SEKSTIUSZOWI.

Niebo czyste. Prąd w piasku osadził łódź naszą.
Wszystko znów się odradza. Łąki ukwiecone.
Ziemia czeka spokojnie na radło i bronę.
Pasterze gnają bydło tęskniące za paszą.

Nas jednak śmierć i smutne o niej klechdy straszą.
I my odejść musimy gdzieś w nieznaną stronę.
Przyjdzie chwila, gdy kostki na stół wyrzucone
Nie oznaczą ci miejsca z pełną wina czaszą.

O Sekstiuszu mój, życie jest krótkiem, więc trzeba
Spieszyć się. Wiek podeszły skurczył nam kolana,
A w krajach Cieni niema wiosennego nieba.

Duch w tym smutnym odwrocie pocieszenia pragnie.
Pójdźmy w las, dziś tak cudnie słońce świeci zrana,
Poświęcimy Faunowi białorune jagnię.

VILLULA.

To starego Gallusa własnością ta gleba
Którą na przedalpejskiej widzisz pochyłości:
Dom cały słomą kryty, krzywy od starości,
Tuli się w cieniu sosny. Nad nią błękit nieba.

Niejednego wędrowca Gallus w nim ugości.
Ma winnicę, piec własny do pieczenia chleba,
W ogrodzie słoneczniki. Czegóż więcej trzeba?
Gallus żyje, jak żyją ludzie cisi, prości.

Lasy dają mu w zimie chrustu suche wiązki
A cień w lecie, listkami okrywszy gałązki;
W jesieni drozd przelotny w sieci się zamota.

Zadowolony z losu, choć skromna sadyba
Chce tu, gdzie się urodził dokonać żywota.
W to, że Gallus jest mędrcem, już nie wątpisz chyba.

TREBBIA.

Jutrznia dnia nieszczęsnego z za wzgórz się wyłania.
Budzi się senny obóz. W dole szwadron lekki
Numidyjskie swe konie poi w nurtach rzeki,
Wokół czysty głos trąbek pobudkę wydzwania.

Pomimo klęsk Scypiona i wróżbiarzy zdania
Konsul Semptroniusz, trwodze, namysłom daleki,
By swoją świeżą sławę utrwalić na wieki
Dał rozkaz i liktorów do pochodu skłania.

Gdzieś w oddali, pod nocy posępną zasłoną
Osady insubryjskie jak pochodnie płoną.
Słychać już głuchy pomruk słoni niespokojnych.

A pod mostem Hannibal zamyślony, dumny,
Wsłuchuje się, plecami wsparty o kolumny,
W przytłumiony i równy krok swych legij zbrojnych.

STULETNI KWIAT.

Na najdalszej krawędzi wulkanicznej skały
Gdzie niegdyś zastygł strumień ognistego prądu,
Ziarnko, które wiatr przyniósł z dalekiego lądu
Kiełkuje, wbija w ziemię swój korzonek mały.

Podzwrotnikowe słońca długo przygrzewały
Nim roślinka, ssąc ciepło z gruntu co ostyga,
Wyrosła w pień potężny; a nim jej łodyga
Ugięła się pod pąkiem — upłynął wiek cały.

Aż pod olbrzymim słupkiem, już dojrzałym w słońcu,
W rozpalonem powietrzu ów kwiat pęka wkońcu
I pręt jego naokół rozrzuca pył złoty.

Wielki, bujny aloes o szkarłatnym kwiecie
Nie ukoiwszy ślubem miłosnej tęsknoty
Samotnie kwitł dzień jeden — choć żył przez stulecie.

ZACHÓD.

Ozłocony przez słońca wieczornego zorze,
Zdobny w krzaki cierniste szczyt góry się pali;
Na brzeg pryskając pianą, w zamglonej oddali
Grzmi głucho, monotonnie nieprzejrzane morze.

U stóp moich noc, cisza. Zmilkła ptaków rzesza.
Człowiek wszedł już pod strzechę na odwieczerz prawie.
Jedynie Anioł Pański w srebrnych mgieł kurzawie
Cichy, drżący dźwięk z wrzawą Oceanu miesza.

Wówczas jak z dna czeluści, od pastwisk, od rzeki,
Z wyrw, parowów — pasterzy wzbił się krzyk daleki
I przeciągły ryk bydła co do obór pędzi.

Cały widnokrąg w zmierzch się otula, rozmarza.
A słońce, mrąc na nieba czerwonej krawędzi
Zwolna przymyka skrzydła złotego wachlarza.

MORZE ROZHUKANE.

Od Raz po Penmarc'h mgłami zasnuty brzeg cały;
Krąg słońca jak latarnia w opary spowity;
Tylko w ukos pod burzę lecą przez błękity
Stada mew, którym wicher rozmierzwia puch biały.

Szalone, pod pian grzywą pędzą modre zwały,
A każdy z głuchym grzmotem w miałki pył rozbity
Stroi brzegi w oddali w srebrnośnieżne kity;
Gdy opadnie, strugami ociekają skały.

I w myślach dozwoliłem rozhukać się falom,
Marzeniom i nadziejom i bezsilnym żalom
Z których wkońcu ssać jeno gorycz wspomnień muszę.

O mowo Oceanu braterska i żywa!
Jak ten krzyk, co się z głębin wciąż próżno wyrywa,
Tak człowiek wciąż ku bogom próżno wznosi duszę.

* * *

JOSE-MARIA DE HEREDIA
Przełożył Józef Klemensiewicz.

Dziś...

Nie przez życie w bój ciągną dziś — lecz przez sonety...
Wizye rycerskich legii — jak orły włokące,
Skrzydeł cienie po ziemi... Zcichły surmy grzmiące,
Tchu zabrakło porywom — duchowi podniety. —

Spiże armat z wież dzwonią — spruchniały lawety,
Czasem jeno się makom przyśni krew na łące...
W karny szereg lat — doby spieszą i miesiące —
Wielką armię dno chłonie Berezyny-Lety...

Coraz bardziej nam obce dźwięki tamtej mowy,
Coraz ciemniej w pierś bije chłodna wspomnień fala,
Trzeźwe „dzisiaj" na świecie. O marność marności!

I jak wszystko co duch nasz żegna bez miłości
Tak się majak ów zbrojny w dziejów głąb oddala
I w tuman przed oczyma rozpyla tęczowy.

SZYMON PRETWIC.

O czci poetów.

(Myśli niektóre z powodu setnego jubileuszu urodzin Słowackiego).

Wielokrotnie objaśniano organizm zbiorowy, więc i organizm narodu przez porównywanie go z organizmem jednostki. Jeżeli z tego punktu widzenia chcemy wyjaśnić sobie czem jest dla ducha zbiorowego, czem jest dla narodu poezya, to możemy powiedzieć, że jest ona tem, czem dla jednostki marzenie. I dlatego może jest nam tak drogą. Nic bowiem nie jest nam tak drogie, jak nasze marzenia. Niemasz nic, coby było bardziej nasze. Kiedy myślimy — jeśli myślimy dobrze — to czynimy to, albo dla zrozumienia tego co jest poza nami, (kiedy nawet myślimy sami nad sobą, to przeciwstawiamy się niejako myśli naszej jako objekt zewnętrzny); — albo też myśl nasza ma za przedmiot osiągnięcie jakiegoś celu, a tu jeszcze bardziej musi przystosowywać się do zewnętrznych warunków. Kiedy działamy — to modyfikujemy wedle naszego zamiaru świat zewnętrzny. Zawsze, w jednym i drugim wypadku, wychodzimy z siebie — poza siebie. W marzeniu przeciwnie zostajemy sami w sobie. Nic tu nie stawia zapory ekspanzyi naszego j a; tylko swoją własną naturą ono się tutaj określa i ogranicza. Jeżeli tedy w marzeniu naszem źwierciedlimy rzeczywistość, to modyfikujemy ją dowolnie tak, jak się nam podoba; czynimy wybór między wyobrażeniami, albo zmieniamy je, czy łączymy dowolnie. Jednem słowem przekształcamy świat na taki, jakim go chcemy mieć, a nic, oprócz granic naszej własnej mocy wyobrażania, nie stawia nam zapory. Jeżeli zaś nasze marzenie wybiega w przyszłość, to nie potrzebuje już liczyć się tak jak myśl celowa z warunkami zewnętrznemi; — może sobie stworzyć tę przyszłość zupełnie wedle swoich pragnień. Marzenie zatem jest twórcą ideałów. A jeżeli poezya jest jego odpowiednikiem w życiu narodu, to z tego

właśnie wyjaśnia się jej rola społeczna. W nauce genezyjskiej Słowackiego duch jest twórcą formy, czy to jednostkowej formy cielesnej, czy formy zbiorowej zrzeszeń ludzkich. Zanim się jednak forma narodzić może, musi być wprzódy w duchu wyobrażoną, w pragnieniu zażądaną; w marzeniu — i w poezyi rodzi się to wyobrażenie i to pragnienie; co więcej poezya przez swą moc suggestyjną jest rewelatorką takich wyobrażeń, nauczycielką i apostołką takich pragnień. Wielki mąż stanu, którył obmyślił i chciał stworzyć przyszły idealny kształt swemu narodowi, powinienby, gdyby rzecz taka była w ludzkiej mocy, stworzyć temu narodowi najprzód poezyę, którąby go ten kształt nauczyła ukochać i kazała mu go zapragnąć. W narodzie naszym poezya spełniła i pełni dalej funkcyę wielkiego męża stanu: najwyższa polityczna idea na dziś, idea nieśmiertelności i zmartwychwstania, niema poza nią większej i potężniejszej propagandy.

*

Każda normalna, niezbędna nawet funkcya organizmu, jeśli ulega jednostronnemu wzmożeniu i przerostowi — osłabia funkcye inne, niemniej niezbędne, i staje się źródłem choroby. Marzenie samo w sobie jest zdrową i normalną funkcyą duszy. Człowiek, któryby nie wysyłał nigdy wyobraźni swojej i pragnienia poza granice tego, co istnieje, nie byłby pełnym człowiekiem. Ale niemniej nie jest pełnym człowiekiem ten, czyje życie wewnętrzne upływa wyłącznie lub przeważnie poza tem co istnieje. My duchy przyszliśmy pod prawem formy — jak mówi Słowacki, — a wewnętrzne nasze pragnienia i ideały wtedy tylko mają wartość, jeśli są motorami czynów i noszą w sobie zadatki spełnienia. Marzyciel, to jest człowiek w którym hypertrofia marzenia osłabiła wszystkie inne funkcye duchowe, i naród który w swem duchowem życiu oddaje zbyt wyłączną przewagę poezyi — są jednako choremi organizmami. Ślepy i kulawy Tyrteusz, idąc z lutnią na czele wojska, poprowadził je do zwycięztwa, — ale cóżby było, gdyby całe wojsko składało się z ślepych i kulawych Tyrteuszów?

Może się wydawać że taki stan hypertrofii poezyi w narodzie jest niemożliwym. Jakto? Miałożby być za wiele poezyi w któremkolwiek z tych społeczeństw, gdzie szara masa do sztuki nie dorosła, a tak zwane klasy wyższe składają się w olbrzymiej większości z utylitarnych episyerów i filistrów?... Ale statystyka nie jest roztrzygającą; narodu składającego się w większości swojej z poetów, albo z ludzi żyjących — chociażby biernie tylko, ale przeważnie — poezyą, zapewne nigdy nie było i nie będzie. Ale też nigdy nie było i nie

będzie narodu, w którymby statystyka roztrzygała o jego ideale. Hypertrofia poezyi w organizmie narodowym zaczyna się już tam, gdzie — w tych komórkach tego organizmu, w których warzy się myśl i krystalizuje ideał — poezya, sztuka wogóle, uważaną jest za najwyższą funkcyę duchową, a poeta i sztukmistrz za kwiat ludzkości, za ukaziciela dróg i przewodnika. Takie narody podobnemi się stają ludowi Wenedów w tragedyi Słowackiego, który przy dźwięku harf idzie na rzeź.

Niebezpieczeństwo tego rodzaju nie jest tak dalekie od nas, abyśmy o niem myśleć nie mieli. Brak życia państwowego, zamknięte ztąd pole wielkich ambicyj i wielkich czynów, sztucznie stłumiona działalność naukowa przy istnieniu na ziemiach naszych tylko dwóch polskich uniwersytetów, mało rozwinięte życie ekonomiczne, wreszcie ten nastrój, który wszystkie nadzieje przenosi w przyszłość — to wszystko usposabia do tego, że szczególne znaczenie przypisujemy marzeniu poza rzeczywistość wykraczającemu — poezyi. Kult poetów wypiera u nas prawie zupełnie kult wielkich wodzów, mężów stanu, myślicieli i śmiałych działaczy w dziedzinie czy to techniki czy życia ekonomicznego. Przyczynia się do tego zbyt jednostronne wykształcenie humanistyczne w szkole średniej, które zaszczepia przesadne wyobrażenie o znaczeniu literatury. Czyż nie jest rzeczą znamienną, że w statystyce naszych obchodów narodowych, uroczystych wieczorów i jubileuszów — lwia część przypada kultowi poezyi?...

Tego ostatniego faktu zmienić ani można, ani potrzeba; wypada się tylko z nim liczyć i wyzyskać go w ten sposób, ażeby cześć dla słowa i hasła zmieniła się w cześć dla ideału czynnego. Czyż Lacedemończycy byliby wyrządzili cześć Tyrteuszowi, gdyby za jego wzorem wzięli byli lutnie i utykali za nim zamknąwszy oczy na pole bitwy? Poezya nie ma być wychowawczynią do marzeń, ale ma być płomieniem, który zapala w nas pragnienie ideału, doprowadzając je do napięcia czynu.

*

Czy jednak stosunek poezyi do życia jest tego rodzaju, że poezya jest ukazicielką celów, a życiu wypada tylko wkroczyć na te drogi, które ona wskazuje?

Jakiekolwiekbyśmy wyznawali teorye estetyczne, na to się zgodzić musimy, że najwznioślejsza i najprawdziwsza myśl sama przez się jeszcze nie jest poezyą, i że na poezyę zamienia ją dopiero kształt, w który przyodzianą zostaje. Zachodzi pytanie czy zdolność zbudo-

wania takiego kształtu pozostaje w jakimś przyczynowym związku ze zdolnością do takiej myślowej koncepcyi, któraby jako wytyczna czynów zasługiwała przed innemi na wcielenie... Na pierwszy już rzut oka można ocenić, że taki przyczynowy związek nie istnieje. A zatem wypadałoby przyjąć, że wielkimi poetami są ci, u których zachodzi taki szczęśliwy przypadek, iż te dwie zdolności ze sobą się spotykają. Przypominam sobie takie zdanie, wypowiedziane gdzieś przez Spasowicza, że o tem czy ktoś j e s t poetą roztrzyga forma jego utworów, ale o tem czy ktoś jest w i e l k i m poetą roztrzyga ich treść społeczna i filozoficzna. Postawmy tę opinię w świetle faktów.

Czy „Pan Tadeusz“ jest wielkim poematem, czy nie jest? — Jeśli tak, to jest nim, wedle tej teoryi, na podstawie zawartej w nim myśli filozoficznej lub społecznej. Jaka więc jest ta myśl filozoficzna lub społeczna? Wyznaję że na to nie umiałbym odpowiedzieć. A zatem może Mickiewicz jest wielkim poetą, nie z powodu stworzenia swego najdoskonalszego poematu, lecz z powodów od tego niezależnych. Ale niektórzy wysuwają w twórczości Mickiewicza naprzód „Dziady“... Weźmy więc inny przykład, w którym taka komplikacya nie zachodzi. Czy Iliada, lub Odysseja, zawdzięczają wielkość swoją zawartym w nich myślom filozoficznym i społecznym? A czy czytając „Piekło“ Danta, nie czujemy że stoi on z pojęciami naszemi o życiu pośmiertnem i o sprawiedliwości Bożej w rażącej sprzeczności? Czy zatem dostępną nam jest jego poetycka wielkość tylko na podstawie historyzmu? W istocie pożałowania godnym jest ten, kto nie potrafi odczuć piękności „Boskiej komedyi“ bezpośrednio, a nie dopiero przy pomocy historycznych rozważań i restrykcyj. A Aryost, Tasso, Anakreon, Catullus, Heine, Baudelaire i t. d. i t. d.? Czy byli to wielcy poeci? A jaka była myśl filozoficzna i społeczna, która po nich została? Oczywiście byli i poeci, którzy taką myśl posiadali; czy wielu było takich, których myśli z poetyckiej formy wyłuskanej i od niej niezależnie, wypadałoby przyznać wielkość i głębię pierwszorzędną, nie chcę dochodzić. Wystarcza bowiem stwierdzić, że są poeci, liczeni do największych, których dzieła nie zawierają żadnych uwagi godnych myśli czy filozoficznych czy społecznych. A zatem o wielkości poetyckiej roztrzygają widocznie inne kryterya. Czy można je nazwać kryteryami formalnemi, jakby to wypadało wedle podziału Spasowicza, o tem wątpię. Trudno by mi było bowiem pierwiastki wyobraźniowe i uczuciowe podciągnąć pod kategoryę „formy“. W każdym razie są to pierwiastki nie dające się podciągnąć pod kategoryę myśli, czy to filozoficznej, czy społecznej.

Kiedy idziemy za śladem czci poetów, przysłuchujemy się rozmaitym przemówieniom i odczytom na rozmaitych wieczorkach i jubileuszach wygłaszanym, zauważymy łatwo, że ten pogląd opierający się na wartościowaniu racyonalistycznem i utylitarnem jest przeważający. Wysuwa się naprzód momenta treściowe, doszukuje się myśli społecznej i filozoficznej, traktuje się poetów jako nauczycieli i przewodników. Sądzę, że odpowiadałaby temu kierunkowi krytyki nazwa kierunku publicystycznego; zadaniem publicystyki jest bowiem wskazywać na bezpośrednie skutki, pożytki i zastosowania. Ale ten sposób oceny nie ogranicza się tylko do tego — że tak powiem — wiecowego traktowania poezyi, — sięga on w głąb, aż do krytyki naukowej. Tę sprawę zostawiam tutaj jednak na boku. Chodzi mi w tej chwili o to, czy taki sposób publicznej czci poetów jest właściwy ze stanowiska pożytku społecznego.

Przedewszystkiem nie zawsze zdajemy sobie ściśle sprawę, że wiecowa metoda traktowania jakiegoś przedmiotu jest zasadniczo różną od metody naukowego badania. Wiecowa demagogia krytyki, (pomińmy na razie kwestyę, czy w swoim zakresie pożyteczna lub nie), przeszczepia się zbyt łatwo na pole nauki. Mógłbym przytoczyć dzieła, rzekomo naukowe, w których pierwiastek demagogiczny, charakteryzujący się nakręcaniem przedmiotowej i obojętnej z natury prawdy dla celów pewnego pożytku, stanowi motor i jądro. Nigdy nie kłamie się i nie wyjaławia myśli bezkarnie. Oto co przemawia już przeciw tej metodzie czczenia poetów, gdyby nawet na swym właściwym terenie wykazywała pewne zalety. Ale niebezpieczeństwa jej idą dalej. Jeśli się dla czci poetów wyszukuje uzasadnień w tej myślowej treści ich poematów, która ma służyć rzekomo jako lampa i drogowskaz dla życia, to w przeważnej części wypadków wynika ztąd jedna z następujących ewentualności:

Po pierwsze: Wyciąga się z utworów poetyckich to, co nie jest ich istotą i co o wartości ich nie roztrzyga. Jest to zupełnie tak, jakgdyby ktoś opiewał „zęby jak perły“ u jakiejś sławionej przez się piękności, a zapomniał dodać, że jest ich tylko dwa. Ostruguje się poetę aż do takiej resztki, która z substancyi i kształtu naszej potrzebie odpowiada, i takiego ostrużka podaje się czci publicznej.

Po drugie: Przekręca się, wykrzywia i kłamie właściwe znaczenie utworów poetyckich. „Ku czci poety“ deprawuje się w ten sposób umysły słuchaczy, uprawia pedagogię kłamstwa i sofizmatu. Ta pedagogia nieobliczone szkody wyrządziła odczuwaniu piękna i sztuki, a zło jak zaraza przenosi się na inne dziedziny. Staje się prawie pospolitem

mniemaniem, że utwór poetycki może każden rozumieć po swojemu. Tymczasem, jeżeli prawdą jest, że każden nie tylko może, ale musi po swojemu go odczuwać, to rozumieć, — co znaczy rozumieć właściwie, — można go tylko w jeden jedyny sposób: w ten, w jaki go rozumiał poeta; wszelkie „prywatne“ rozumienia — nie z omyłki ale z zamiaru — są tylko dowodem braku poczucia obowiązku zrozumienia rzetelnego, nieuczciwością intellektualną.

Po trzecie wreszcie — konsekwencya jeszcze jedna: Instynkt zbiorowy roztrzyga z reguły o tem, czy ktoś uznany zostaje za wielkiego poetę; panowie nauczyciele przychodzą później; i wtedy przynosząc swój racyonalistyczny łokieć muszą przy jego pomocy wyjaśnić, dlaczego dany poeta jest wielkim. Oczywiście dla myśli które wypowiada. Te myśli bierze się — o ile ich przekręcić lub „inaczej zrozumieć“ niemożna — tak jak się je nadybie. Trzeba tylko wyjaśnić że są wielkie. W ten sposób dostało już teraz w roku jubileuszowym Słowackiego rozgrzeszenie nawet liberum veto. Szczęśliwym wypadkiem nie trafia się równocześnie inny jubileusz, przy którym trzebaby uczcić poetę, który liberum veto potępia. A z takiego stanowiska wynika nietylko, że wskazuje się społeczeństwu fałszywe drogowskazy —, ale, co bodaj jeszcze gorzej, uczy się je że wszystko jest jednako dobre, — chodzi tylko o to, aby było równie dobrze powiedziane. Towiański mówi raz bardzo pięknie o grzechu łączenia się z każdym przelatującym duchem bez wyboru. Jest to deprawacya charakteru, ta sama, którą Sokrates potępiał u sofistów.

Do tych wszystkich zboczeń i znieprawień czci poetów przybywa jeszcze jedno: kłamstwo mesyanicznej teoryi romantyzmu. W pojęciu tej teoryi pisanie poematów jest martyrologią, a poeta odbiera cześć jako męczennik za ludzkość, albo naród. Bez mała gotowiśmy Anakreontowi przypisać że cierpiał, kiedy tworzył. I oto posialiśmy nasienie, z którego porodziły się zastępy nie tworzących jakoś wprawdzie, ale już cierpiących z góry na kredyt po nocnych kawiarniach geniuszów.

Caeterum censeo: z naszej czci poetów — jak wszędzie z myśli naszych i działań — wykluczyć trzeba kłamstwo, frazes i pozę.

*

Towarzystwo, nietylko złe towarzystwo, ale każde, najczęściej psuje dobre obyczaje. Kiedy się chce odegnać od siebie konwencyonalne kłamstwo i powrócić do szczerej prawdy, trzeba na dyskusyę poprosić na bok jedną tylko osobę: — samego siebie. Ale i ta jedna

osoba musi zostawić ponawieszane na sobie konwencyonalne fatałaszki za drzwiami. Spróbujmy więc uczynić taką spowiedź przed samym sobą, każden z osobna —, a jeżeli nie straciliśmy jeszcze umiejętności rozmawiania z sobą samymi i nie jesteśmy całkiem zakłamani, to może bodaj zbliżymy się do prawdy. Niechby to była tylko nasza własna prawda, to zawsze będzie ona więcej warta niźli pospólne kłamstwo.

Najpierw wstępne pytanie: czy czcimy poetów? — I tu może pokazałoby się, że cześć ogólna, którą im okazujemy, nie jest bynajmniej wynikiem czci indywidualnych; że gdyby tak zajrzeć do każdego z osobna sumienia, mogłoby się okazać że ta cześć ogólna nie jest wcale nawet wyrazem większości. Ale tego faktu nie chcę bynajmniej ironizować, ani zapuszczać się z jego powodu w jakieś pesymistyczne refleksye. Owszem, rozumiem bardzo dobrze, że tak być musi; co więcej aprobuję te wyrazy czci „ogólnej", przy których większość nie wie wcale o co chodzi. Każda większość potrzebna jest do chóru; dlaczegoż tu miałoby być inaczej. Ale też dlatego publiczne czczenie poetów nie tyle jest czci objawem, ile jej propagandą; a jeśli w ten sposób cele jej są pedagogiczne, pedagogicznemi muszą być także metody. Ztąd wynika przedewszystkiem odpowiedzialność za to, co się ku czci publicznej podaje. A po drugie propaganda powinna być przedewszystkiem propagandą ku poznaniu dzieł poety. One powinny mówić same za siebie; można je tłómaczyć, uprzystępniać, nie wolno o niepoznanych sądu narzucać. A grzeszy się przeciw temu aż nazbyt często, nietylko na wieczorach i odczytach publicznych, ale i w szkole. Jest to szerzenie nie kultury, ale tego co Niemcy nazywają „Bildungsphilisterei". Takie to filisterstwo wyszydza Nietzsche pod figurą malowanych garnków.

Każden nosi w sobie swoje własne prawo czci i miłości. Będę więc mówił tylko o sobie; może z tego da się jednak wydobyć rysy ogólnego znaczenia. Przedewszystkiem muszę powiedzieć rzecz, która się wyda bardzo banalną: Oto moja cześć dla poetów streszcza się w podziwie dla ich dzieł; podziwiam je tak samo, jak wschody i zachody słońca, jak grozę tatrzańskich wierchów, lub tajemniczy mrok lasu, jak wiecznie ruchliwe morze lub pogodną zieleń łąki, jak srebrny śmiech dziecka, albo doskonały kształt ludzki. Do mojej miłości i podziwu nie przydaje niczego wiadomość, czy tworzyli je ich twórcy w męce, czy radości. Nie myślę ani na chwilę o „zasłudze", którą położyli jako „pomnożyciele ojczystej literatury". I mniemam że to jest cześć najwyższa, jaką można oddać człowiekowi, jeśli się go

podziwia jak naturę. Jeśli dzieło uznaje się za piękne i dobre samo w sobie, bez wszelkich usprawiedliwień i tłómaczeń, bez stosowania jakichkolwiek stojących poza niem kryteryów. Wszystkie te kryterya przypominają tylko słabość i ułomność ludzkiej natury. — Może się taki pogląd wydawać komu chłodnym i nieludzkim, mnie on właśnie wydaje się etycznym. Bo podnosi dzieło ponad człowieka, a czynnością etyczną jest ta, którą buduje ponad siebie.

To zrównanie w mojem uczuciu dzieł poetyckich z dziełami natury, odnosi się także i do tego, że zupełnie mi jest obojętną ich kwalifikacya utylitarna; w tem znaczeniu stoją one dla mnie ponad złem i dobrem. Nie znaczy to jednak aby ich etyczny charakter był dla mnie obojętny; bo tak jak uwielbiam w kształcie ludzkim typ zdrowia i siły, tak samo i w postaciach duchowego objawu szukam duchowego zdrowia i mocy. Kwalifikacya jednak duchowego zdrowia, kwalifikacya etyczna, nie zależy od względu, czy myśl w dziele zawarta może być uznana za prawdę objektywną, albo przyjęta za normę działania. Szlachetność ducha twórcy odbija się w szlachetności rysów dzieła, — nie umiałbym ukochać dzieła, które nosi na sobie rysy mydłka albo hultaja; ale nie idzie za tem, aby wszystko co mówią szlachetni ludzie było objektywną prawdą, albo ażeby było zawsze dobrze iść za ich radą. Dlatego też nic mi nie przeszkadza w podziwianiu poetyckich dzieł Słowackiego głoszona w nich zasada liberum veto, a równocześnie nic mi nie każe podziwiać, lub choćby usprawiedliwiać tę zasadę, a tem mniej uważać ją za wskaźnik działania.

Co do tego rodzaju idej — słusznych czy błędnych, pożytecznych czy szkodliwych — nie trzeba sobie wyobrażać ich wpływu zbyt po prostu, jakoby one działały bezpośrednio treściowem swojem znaczeniem. Krytycy mają ogólnie tę wadę że racyonalizują poezyę, ale dlatego właśnie zapoznają naturę jej wpływu na czytelników, którzy tego nie czynią, bo percypują zazwyczaj uczuciem i wyobraźnią, nie uwiedzeni ku racyonalizacyi potrzebą szczegółowej analizy. Otóż przy takiem percypowaniu działa daleko bardziej ton uczuciowy, niż stanowiące niejako jego tekst konkretne myśli. Jest to działanie podobne działaniu muzyki. Podobieństwo nie leży w zewnętrznej, słuchowej formie percepcyi, ale w sposobie wewnętrznej reakcyi na podnietę. Podniety w muzyce i poezyi są różne, — w pierwszej wyłącznie słuchowa, w drugiej — w pierwszym rzędzie — wyobrażeniowa. Percypujemy wybrażenia (i to jest wpływ treściowej strony poezyi) — lecz reagujemy na nie nie myślowo, ale — właśnie jak w muzyce — przedewszystkiem uczuciowo. Wyobrażenia oddają nam swój uczu-

ciowy wątek — właściwa ich strona treściowa uchodzi mimo. Działanie poezyi jest wogóle daleko podobniejsze do działania innych sztuk, niż się zwykle przypuszcza; podnoszona zwykle różnica iż ona działa od wewnątrz niejako, przez pojęcia i wyobrażenia, a nie od zewnątrz, przez zmysły, jest więcej pozorna niż istotna. To samo przecież twierdzono o malarstwie — dopóki anekdotystów nie wyparli (w teoryi przynajmniej) formaliści. Ale formaliści tak samo nie mają słuszności, — co więcej, praktyka ich nigdy prawie nie szła zgodnie z teoryą. Popadli oni w błąd zwyczajny wszystkim argumentującym: aby rozjaśnić sprawę zracyonalizowali ją, uprościli — i... zapoznali w niej ducha, istotę rzeczy. W „plamach barwnych" nigdy nie może wyczerpać się malarstwo, tak jak w rytmie nie wyczerpuje się poezya. W obojgu poddanie wyobrażeniowe jest istotnem, ale to wyobrażenie rozwiązuje się w nas uczuciowo, niejako muzycznie. Muzyka jest prototypem sztuk. — Takie pojęcie sztuki zbliża ją do natury; istota wzruszenia pochodzącego od sztuki czy natury jest w zasadzie identyczna. Najlepiej się to ujawnia przy zatopieniu się w krajobraz w naturze: dlatego to może sztuka — zarówno malarstwo jak poezya — z takiem upodobaniem używa krajobrazu za motyw suggestyjny.

Temat w dziele poetyckiem ma znaczenie kanwy do snucia na niej suggestyj wyobrażeniowych i uczuciowych. Wartość jego zależy od zdatności do tego celu. Dlatego całkiem różną jest poetycka a myślowa, czyli właściwa treściowa, wartość poematu. Podobnie zaś jak z treścią epicką ma się rzecz i z ideową. I ona ma dwie strony — nocyonalną i emocyonalną. Właściwe estetyczne wzruszenia pochodzą od tej drugiej; od niej pochodzi działanie na słuchacza, w niej tkwi esencya czynna, dusza wewnętrzna dzieła; treść poznawcza ulatnia się, wylawszy z siebie tę esencyę. I jeżeli mówiłem o wielkiem znaczeniu poetów jako chorążych ideału, to rozumiałem nie to, że oni drogi obmyślają, zakładają cele, ale że ku celom takim dusze podnoszą, rozpłomieniają serca. Jest to śpiew wiodący, zaklęcie budzące, pierwszy głos w litanii dusz utęsknionych — z których oddal przejmuje tylko niejako dźwięki muzyczne, samogłoskowe, a szmery spółgłoskowe, wiążące tony w treść myślową, wiatr gasi, dal tłumi; słyszą je tylko blizcy i nadstawiający uszu. I wyobrażają sobie, że oni tylko posiedli ducha pieśni...

*

Jeżeli rolę i znaczenie poezyi w ten sposób pojmiemy, jeżeli odejmiemy jej to, co nie jest w niej istotnem, a poetów nie każemy już czcić

jako mędrców, prawodawców i przewodników, to dla racyonalizujących umysłów to, co pozostanie, jest zbyt nieuchwytnem, zbyt mało konkretnem, aby cześć dla poetów usprawiedliwić mogło. Jaką korzyść przynosi nam poezya? — co z niej mieć można? Niechby to był bodaj kozik albo klapka na muchy — byle coś „konkretnego". Jeśli nie jest niczem konkretnem radość z piękna sama w sobie, podniesienie ducha samo w sobie—wzruszenia uszlachetniające i bezinteresowne — a dlatego uszlachetniające że bezinteresowne, — to w istocie poezya niczego nie daje konkretnego. I jeżeli kto nie jest zdolny ukochać ją i jej twórców taką miłością, która jedynie jest ich godną, miłością bezinteresowną i „bez powodu", to niewiem czy wszczepianie czci dla poetów jako konwencyonalnej normy, przedstawia taką użyteczność społeczną, aby warto było wysilać się na wyszukiwanie przekonywujących motywów. Sądzę, że jedno tylko dla tej czci zrobić warto, to jest nauczyć ludzi „niemotywowanej", bezinteresownej miłości, miłości „bez powodu", przez otwarcie im oczu na piękno. Czy właśnie to zawsze — lub głównie — się robi?...

Ale cokolwiekby tej naszej propagandzie czci poetów wytknąć można, jedno, jakby ze zbiorowego instynktu robi się dobrze. A to — że z reguły łączy się tę cześć dla poetów z miłością Ojczyzny. Tylko że właściwy związek między temi uczuciami nie jest ten, a raczej nie tylko i nie najpierw ten, że poeci są chlubą naszej kultury, albo że oni są nauczycielami patryotyzmu, albo że drogę ku lepszej przyszłości wskazują, ale poprostu ten, że oni są samej Ojczyzny częścią. Obejmujemy ich razem z nią tą samą miłością. A tak dajemy im naszą najlepszą miłość, bo miłość bezinteresowną, miłość „bez powodu", z instynktu, z konieczności, — miłość że tak powiem wrodzoną organicznie. Taką jest bowiem miłość Ojczyzny.

Ojczyzna nie jest ani ziemią, ani ludźmi, — ani historyą, ani obyczajem, ani językiem, — ale jest tem wszystkiem naraz — i jeszcze czemś więcej. Jest duszą której częścią jest nasza własna dusza, płomieniem duchowym, którego jesteśmy iskrą. A w substancyę tego płomienia wchodzi nieodzownie poezya. Wchodzi dlatego, że jest jakby zbiorowem marzeniem narodu, że jest zbiorowym wyrazem uniesień, tęsknot i ukochań. W niej bije jego kochające serce, — przez nią patrzy jego wzrok chciwy piękna, — przez nią mówi jego język, kiedy ma do powiedzenia słowa we wnętrznościach najgłębszych poczęte. —

Czy to tylko figura i symbol?... —

Pomyślmy—jakby obraz Ojczyzny w nas zubożał, gdyby nie istniał np. „Pan Tadeusz". Czy można powiedzieć że uszczuploną byłaby tylko li-

teratura? Czy nie odjętym by był raczej z oblicza samej Polski jeden rys wielkiej piękności? Bo świat jest tem przecież czem go widzimy; jakim jest sam w sobie, jako „noumenon“ tego nie wiemy. Nie wiemy nawet czy jest sam w sobie. A czy „Pan Tadeusz“ nie wszedł w naturę naszego wzroku, którym patrzymy na Polskę? Gdyby go nie było, ściemiło by się światło naszych oczu, — Polska nie byłaby tem, czem jest. Ubyłoby z jej piękności. W ten sposób poeci — urabiając nasz wzrok — który świat formy sam wedle swej natury kształtuje, — są niejako współstworzycielami tego świata. Ucząc nas widzieć piękno, stwarzają niby piękność widzialności. Słońce przez nich jaśniej świeci, bardziej zielenią się łąki, mocniej pachną kwiaty... Ziemia nasza — przez nich — „jakby się Panu ubrała na święto“... A czyż jej tak pięknej bardziej nie kochamy i nie bogacimy się własną miłością?

Tak samo ma się rzecz z historyą. — Pamiętam z moich lat dziecinnych w jakiejś „Historyi Polskiej“ obrazek przedstawiający Kazimierza Wielkiego jako „króla chłopków“. Siedziało sobie królątko do „mikołajka“ piernikowego podobne, taka dobrotliwa „ciarapara“, między „chłopkami“, mizerakami pokornemi. Mnie, który uchowałem się między tymi chłopami na schwał z onego to „zbójnickiego jeszcze nasienia“, z którymi od małego po Tatrach biegałem, przez nich niemal że wyniańczony, nie mogły przekonać jakoś te „chłopki“ niemrawe i to piernikowe królątko. I nawet potem kiedy dowiedziałem się o Kazimierzu innych rzeczy, tkwił mi w myśli jako „król chłopków“. Aż razu jednego zjawił mi się upiorem;... na szybie pokazana przez Wyspiańskiego ogromna, królewska mara... Odtąd już nie słyszę uprzykrzonego tonu drumli kiedy myślę o Kazimierzu, ale po sklepieniach jakiejś wspaniałej świątyni w tajemniczym mroku huczący organ. Pędzel Wyspiańskiego stworzył mi „mojego“ Kazimierza, w którego wierzę. Stworzył go nam wszystkim. — Oto jest rewelatorstwo sztuki. A malowanie farbą czy słowem jest to samo — mówi Słowacki. Czy „Król Duch“ nie „stwarza“ „ciemniaczka“ Mieczysława, rzucając blask niezrównanej piękności na tę postać, która dotąd była dla nas niemą i niekochaną? — Albo Bolesław Śmiały, jawiący się nam żelazny, „jako kłos prosty z orłem na przyłbicy, na rubinowej szmacie karmazynu“... Czy nazwanie „król“ nie nabiera dopiero u tej postaci swego prawdziwego znaczenia? Oto

Bywało — stare przychodzą pastuchy
I gdzieś po kątach z miłośną pokorą
W grubych obuwiach, tak jak leśne duchy.
Patrzą... i króla cień do lasów biorą.

To potem — Bóg wie, jak tam w zawieruchy
        W śniegach, przy ogniach, piszczałeczek korą
Wydęte imię moje w lasach było,
Bóg wie, jak długo dzwoniło — i żyło.

Może dziś jeszcze są te dziwne echa
        O koron duchu, o komnat świetlicach,
O twarzach, w których sam Bóg się uśmiecha...
        Może gdzie — w górnych Karpat okolicach,
Może gdzie — w czarnej chacie u Polecha
        Baby przy blasku guślarskim księżyca,
Gdy myśl odemkną, a oczy przymrużą,
O takim królu pomną — albo wróżą...

Guślarka pieśń stworzyła tego króla, a duchy nasze jak owe pastuchy z ciemnych kątów swoich nędz i utrapień — z miłosną pokorą „patrzą — i króla cień do lasów biorą". A tam w zawieruchach i śniegach — on żyje — i dzwoni — w piszczałek głosy się rozkłada — świeci twarzą w której sam Bóg się uśmiecha... Przymrużmy tylko oczy — a otwórzmy serce...

Tak to duchy poetów wchodzą w Ojczyznę, „całe się stają Ojczyzną" „wnaturzają się w nią". Jakby w jakiemś panteistycznem rozumieniu zlewają się one z duchem ziemi. Toteż mówi Słowacki o sobie:

Kiedy wyjdziecie na ziemię różaną
Rankiem, a o mym duchu śnić będziecie,
Trzody leżące na kurhanach wstaną
Owce się ruszą — perły łąk. Znajdziecie
Tę okolicę całą zasłuchaną
W powietrze, w dźwięki, w smutek...

Zaś kiedy ziemia ta zdaje się do nas mówić z pod darni i słyszymy niby głos żywy kości pod nią leżących, kiedy samo powietrze jej szepcze nam coś do ucha — jak hasło i zaklęcie — to i te głosy urodziły się z pieśni...

Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnej chmury
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
Jakby podziemnych zbroj, i kiedy z góry
Słychać jakoby sztandarów rozprucie
I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł jak stare szatry: —
Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

*

Poezya jest dla nas pośrednikiem i narzędziem percepcyi świata, — ona oczy nasze odmienia. Źle jest, jeżeli ją jako „literaturę“ tylko pojmujemy, skazujemy na życie w bibule. Ona jest wychowawczynią do piękna. Jako taką, trzeba ją nie czytać — ale „zjeść i strawić“, zasymilować. Tego, co nas nie „bierze“, najlepiej nie czytać wcale. Konwencyonalnemu obowiązkowi „zapoznania się z literaturą“ lepiej wtedy uczynić zadość tańszym kosztem, przez pośrednictwo; boć i tak — skoro treściowa strona jest nieistotną — nie „zapoznamy“ się z dziełem, którego nie czujemy. Lecz jest zadaniem tych, którzy wzięli na siebie szerzenie kultu poezyi czy poetów, tę zdolność czucia obudzić, — w zrozumieniu istotnem, wewnętrznem, zapośredniczyć. Życiorysy i streszczenia nie są żadnym ku temu środkiem. O ile znajomość życiorysu nie przyczynia się do objaśnienia dzieła, to jest on tyle wart we względzie wychowawczym, co życiorys Hekuby. Tymczasem rzecz tę traktuje się u nas przeważnie jakby ona była główną. A jeśli już używa się jej za podkład do objaśnień, to robi się to metodą anekdotyczną — która rozwiązuje całą poezyę w rymowaną plotkę. Przytem jeszcze jedno: wysuwając na czoło życiorys — a za cel mając kult poety — idealizuje się ten życiorys, i znowu albo się kłamie, albo się młodzieży podaje za wzór niby i model rzeczy rozmaite, do tego celu zgoła niezdatne. Ileż to najgłupszych miłostek gimnazyalnych nie wywołała metoda przedstawiania miłości czy miłostek poetów z obowiązkowością i powagą opowiadania doniosłych wypadków historycznych! Tak wytresowanemu malcowi wydaje się potem że wynalezienie sobie jakiejś Andzi czy Maryni stanowi pierwszy „gradus ad Parnassum“. A na tem wychodzi równie źle poezya — jak — miłość. — Najważniejszym ze wszystkich postulatem jeśli kult poezyi ma być na seryo traktowany, jest nauczyć czytać. Nietylko w znaczeniu przenośnem rozumienia tego co się czyta, ale przedewszystkiem w całkiem dosłownem. Poezya jest sztuką słowa. A słowo to nietylko znaczenie ale i dźwięk. Dźwięk zaś jest jednym z najistotniejszych środków suggestyjnych tej sztuki. Jubileusz tegoroczny Słowackiego powinien był być przedewszystkiem powodzią wygłoszeń jego poematów. Tymczasem to była najniepozorniejsza tak ilościowo jak jakościowo część wszystkich obchodów. Ilościowo po części dlatego, że jeśli treść, temat, uważa się za rzecz zasadniczą — no — to krócej jest streścić niż czytać in extenso... Ale także dlatego że niema ludzi coby czytać i wygłaszać umieli. Ci zaś co wygłaszają, czynią to przeważnie źle. A można sobie na to pozwolić tem łatwiej, że publiczność — która tak samo czytać się nie nauczyła — jest nad

wszelkie pojęcie pobłażliwą. Cóż to szkodzi fałszywy akcent, co szkodzi zatracenie rytmu, co szkodzi połknięcie albo wypaczenie sensu przez mylną interpretacyę? Zużyty, — jarmarczny niemal — efekt dramatyczny, wywołany konwencyonalnem akcentowaniem pewnych konwencyonalnych słów — wystarcza do wywołania oklasku. A ludzie, których ambicye wychodziły by tu ponad oklask — gdzieś się podzieli... Tak tedy pokazywał się nam na swoim jubileuszu wielki mistrz słowa — w zgrzebnem odzieniu i dziurawych butach...

*

Poezya jest sztuką słowa... Narzędziem jej jest język. Ona sobie to narzędzie urabia, — w niej podnosi się język do najwyższej doskonałości. I jeżeli zatrzymaliśmy się nad rolą poezyi jako pośrednika w naszej percepcyi świata, to musimy niemniej silnie podkreślić jej rolę jako tej, która tworzy nam środek wypowiedzenia się. Przy jej udziale świat wypowiada się nam — przy jej udziale my wypowiadamy się światu. I sobie samym... Bo język jest nietylko środkiem porozumienia się, ale jest także narzędziem myśli. Język i myśl są tak silnie i ściśle zespolone ze sobą, że ktoby człowiekowi odjął język własny a dał inny, dałby mu innego ducha. Cicha myśl nawet myśli jakimś językiem. Nawet w uczuciu język ma część swoją. Bogaty język myśl i uczucie bogaci; cudzy język myśl i uczucie czyni cudzemi; język szlachetny i piękny wypięknia je i uszlachetnia, pospolity obniża; jasny rozjaśnia, ciemny mroczy. Zdolność wypowiedzenia się jest zdolnością wpływu na dusze drugie, ale w tem się jej znaczenie nie wyczerpuje. Potrzebną jest tak samo w pustelni jak wśród tłumu. Jest to oddech duszy. Przecież nawet w komunikacyi z Bogiem posługujemy się modlitwą języka, chociażby usta nasze zostały nieme. A czasem — kiedy nam brak słów własnych — modlimy się na książce... Poezya jest nauczycielką języka, ale bywa także takim modlitewnikiem uczuć naszych. Kto „zechce kochać, temu da łabędzie — Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał... Kiedy kląć zechce — to przez nią kląć będzie"...

Język własny daje myśl własną, — myśl własna czyni świat własnym. Język jest nietylko środkiem expresyi ale środkiem percepcyi — środkiem myślenia świata. Powiedziano gdzieś, że kto daje nazwę, bierze w posiadanie. My — myśląc świat po polsku przyswajamy go sobie; czynimy go własnym i nowym; stwarzamy własną jego koncepcyę, wnosimy ton nowy do ogólnego chóru duchów. To duchowe znaczenie języka czyni go tak istotnym składnikiem Ojczyzny.

A jednak jak w czci poetów i w skarbach, które oni nam przynoszą, kryje się niejedno niebezpieczeństwo, tak i w skarbie bezcennym języka. „Dać język narodowi jest to szatańska przysługa — mówi Słowacki — bo obfitość słów bierze za obfitość myśli". Szatańską jest ta przysługa jednak nie w tem znaczeniu, aby dar ten był sam w sobie zgubny; jest to tylko dar obosieczny, dar Midasowy. To że Midas przy swojem złocie, w które wszystko dotknięcie jego zamieniało, ginął z głodu — nie dowodzi niczego przeciwko złotu. Ale jest to przestroga. Kult poezyi niema być kultem słowa-frazesu, ale kultem słowa-wyrazu. „Wyrazowi" zaś odpowiada to co się przezeń „wyraża". Nie formę uczy kochać poezya — ale ducha, który jest wszędy — i jawi się — rewelatorstwem słowa obudzony... „A ktoby prawił — jak to bywa dzisiaj — o aniołach, szatanach, o tajemniczych rzeczach... nie widziawszy ich w duchu, będzie miany za bezczelnego", — mówi Mickiewicz. — Jak wszędzie — tak i tu — prawda ma być obronicielką która nas ustrzeże od tego, aby dar królewski poetów nie zamienił się w rękach naszych w nieszczęsny skarb Midasowy. — Pod jej strażą święćmy więc święta poetów, święta kultu piękna i dobra — jako święta dziękczynnej radości.

JAN GW. PAWLIKOWSKI.

„Leonardo da Vinci“ galeryi Czartoryskich.

Czy muzeum Czartoryskich szczycić się może, iż posiada skarb tak rzadki i cenny jak olejny oryginał wielkiego Leonarda da Vinci? Oto pytanie, na które z pewnością każdy przejęty patryotyczną sympatyą dla zbioru polskiego radby dać odpowiedź twierdzącą. Sympatye wszakże i uczucia narodowe nie mogą o tem rozstrzygać, lecz tylko artystyczne i historyczne, objektywne badania. Nie uważając się za bezwzględnie kompetentnego do rozwiązania tej trudnej i spornej kwestyi mogę wyrazić tu tylko me osobiste przekonanie podyktowane z pewnością nie narodowym szowinizmem, lecz jedynie czysto rzeczowemi względami.

Otóż jestem w tem miłem położeniu, że tak jak co do portretu przypisywanego Rafaelowi, tak i tu przychylam się do opinii optymistycznej i dla krakowskiego zbioru korzystnej, uważając za rzecz wielce prawdopodobną, że portret młodej kobiety z gronostajem podany tu w reprodukcyi jest istotnie dziełem Leonarda. Niestety wszakże opinia krytyków jest nietylko podzielona, lecz przeważnie nawet nieprzychylna tej atrybucyi. Wielu widzi w tem dziele tylko imitacyę Leonarda lub jego manierę, przy czem wszakże zwykle nie wypowiada się wcale stanowczego przekonania, któremu z uczniów lub naśladowców mistrza autorstwo należałoby przypisać.

Dzieł malarskich Leonarda przeszło do potomności bardzo mało. Jak wiadomo, fenomenalny ten artysta przewyższający niemal wszystkich innych subtelnością, oryginalnością i wszechstronnem opanowaniem najtrudniejszych zagadnień techniki, produktywnym wcale nie był. Powodem było nie tylko to, iż nie był on w y ł ą c z n i e malarzem, lecz zarazem rzeźbiarzem, architektą, inżynierem, uczonym i głębokim myślicielem zajmującym się najróżnorodniejszemi problematami wiedzy ludzkiej, ale w wyższym jeszcze stopniu okoliczność, iż znał zbyt dobrze warunki d o s k o n a ł o ś c i w malarstwie

i do nich dążył a osiągnąć ich często dla braku czasu i z powodu przeszkód zewnętrznych a może w części i braku cierpliwości, nie mógł.

Zbyt był surowym auto-krytykiem i zbyt dobrze czuł, że może tworzyć arcydzieła, ażeby twory niezupełnie doskonałe go zadawalniały. Wolał płody swego ducha pozostawić w embryonalnym stanie szkiców i projektów, niż podawać prace na pozór skończone a jednak nie dorównywujące wymogom artystycznym, które sam sobie stawiał. Zmienność przy tem zadań, życie niespokojne, liczne inne zajęcia, to wszystko stało produkcyi jego artystycznej na zawadzie.

Vasari oddając hołd geniuszowi Leonarda, zwąc go „divinissimo artifice" podnosi, iż był „vario ed instabile" i że „per l'intelligenza dell'arte cominció molte cose, e nessuna mai ne finì, parendogli che la mano aggiugnere non potesse alla perfezione dell'arte nelle cose che egli s' imaginava". Zbyt tedy wszechstronnym i zbyt wyrafinowanym był ten niezrównany artysta, by mógł tworzyć wiele i z zadowoleniem.

Produktywność w każdym dziale umysłowego życia wymaga zrównoważenia, często nawet pewnej naiwnej jednostronności a więc właściwości, których właśnie wcielonem przeciwieństwem był wielki Leonardo. Przy fenomenalnej wszechstronności umysłu i wykształcenia był on wprawdzie dalekim od dyletantyzmu na polu artyzmu i wiedzy, lecz właśnie dla tego, że umiał i wiedział za wiele rwał się do coraz nowych problematów nie zawsze wiedząc, czy siły im podołają. Ze stanowiska czysto artystycznego jest to może nieszczęściem, iż wszechstronność Leonarda uniemożliwiła mu skuteczną produkcyę, lecz ze stanowiska ogólnych dziejów kultury i wiedzy nie chcielibyśmy tego jedynego w swym rodzaju męża widzieć innym niż był. Bo ten wieczny „chercheur", tajemniczy i kapryśny, który wiedział i mógł więcej niż ktokolwiek inny, a choć zostawił potomności tylko zaledwie skrawki swego geniuszu, przecież zadziwił świat wskazując innym niezatarte po dziś dzień tory, — jest postacią tak ponętną, ujmującą i wspaniałą, że starczy sam jeden za epoki i generacye w dziejach rozwoju ludzkości.

Wartość wszelkich przedmiotów, a tembardziej wartość dzieł sztuki mierzy się nie tylko miarą ich przymiotów, ale także miarą ich rzadkości. Dlatego też dzieła Leonarda ceni się o tyle bardziej, iż są tak niezmiernie rzadkie. Olbrzymie i wzrastające niemal z rokiem każdym uznanie dla wielkiego tego artysty pociąga za sobą także niezmiernie wysoką miarę, którą krytycy przykładają do prac przypisywanych mistrzowi. Można powiedzieć, że właśnie wskutek najwyższego podziwu dla jego geniuszu ogranicza się produkcyę, którą mu się jako autentyczną przyznaje, do minimum. Co chwila „odbiera" któryś krytyk Leonardowi jakieś dzieło uchodzące dawniej za

oryginalną jego pracę pod pozorem, że nie jest ono godne tego olbrzymiego talentu. Jeszcze krok dalej, a już tylko chyba „na słowo“ niejako, t. j. na podstawie treści historycznych źródeł, nie zaś na podstawie pozostałych dzieł będziemy wierzyć, że Leonardo wogóle był malarzem, tem bardziej, że główne jego arcydzieło, „Wieczerza Pańska“ w refektarzu klasztoru Sta Maria delle Grazie w Medyolanie mimo mozolnie dokonanej obecnie konserwacyi jest zupełną ruiną, relikwią niemal tylko.

Otóż sądzę, że w tym względzie idą nasi krytycy zbyt daleko. Jako przykład, że w „odbieraniu“ dzieł Leonardowi dlatego tylko, że nie są dlań dostatecznie doskonałe, należy być ostrożnym i liczyć się bardziej z tradycyą, niech służą losy znanego portretu męskiego w galeryi ambrozyańskiej w Medyolanie. Portret ten uchodził dawniej przez wiele lat za oryginał Leonarda, podczas gdy nowoczesna krytyka uznała go za dzieło pośledniej wartości, niedokończone i będące tworem któregoś ze słabszych jego naśladowców. Otóż świeżo właśnie wykonano bardzo gruntowną i doskonałą restauracyę tego dzieła. Przekonano się przy tem, że technika, po części słaba tego portretu była niczem innem jak tylko zepsuciem malowidła przez niezgrabne przemalowania. Po zdjęciu tych przemalowań okazało się, że obraz jest w szczegółach wykończony i odznacza się techniką niezrównanie wytworną. Nadto pojawiła się na obrazie ręka trzymająca zwitek papieru z nutami i napisem „canto d'amore“ pokryta poprzednio zupełnie przemalowaniem a tak pięknie wyrysowana, że szczegół ten przemawia najsilniej za autorstwem samego Leonarda. Słowem obecnie prawie na pewne, zgodnie z dawną tradycyą można twierdzić, że obraz ten do niedawna wzgardzony i jednomyślnie „odebrany“ mistrzowi, jest zgodnie z tradycyą istotnie jego dziełem i to pracą wcale nie przynoszącą mu ujmy. Oczywiście nie jest to, jak przed laty sądzono, portret samego Ludovica Moro, którego twarz zupełnie odmienną od tej, znamy z innych portretów, lecz prawdopobnie portret jakiegoś muzyka należącego do dworu księcia. Czy i ów znany portret kobiety z profilu tworzący w galeryi ambrozyańskiej „pendant“ do wspomnianego męskiego portretu, zwany dawniej mylnie portretem bratanicy Ludovica, Bianki Maryi Sforza jest dziełem Leonarda, to jest już bardziej wątpliwem. I ten ostatni portret jest zdaniem krytyków dzisiejszych dziełem tylko jednego z uczniów Leonarda. Technika jego, mimo piękności twarzy i rozlanego w niej wdzięku jest przecież nie dość subtelna i staranna na oryginał mistrza. Jest więc bardziej prawdopodobnem, że to jest, jak twierdzi Morelli, dobre dzieło Ambrogia de Predis, który lubiał twarze w portretach umieszczać w ostrym profilu. Wykluczonem jednak przecież nie jest, że mamy tu do czynienia z uroczem wprawdzie, choć mniej starannie wykonanem dziełem samego Leonarda.

Szczególnie co do tych obrazów przypisywanych Leonardowi, które zawiera Luwr, powinni, mojem zdaniem, krytycy być nieco oględniejszymi, niż są w istocie w „odbieraniu" ich Leonardowi na podstawie li tylko zewnętrznych cech. Obrazy te bowiem w Luwrze pochodzą ze zbioru króla Franciszka I, który admirując namiętnie talent Leonarda, podobnie jak jego samego związał ze swym dworem, starał się zebrać wszystkie dzieła jego, które były tylko dostępnemi do nabycia. Obrazy te więc, pomiędzy któremi króluje oczywiście sławny portret Mony Lisy, są istotnie bądź oryginałami Leonarda, bądź też przynajmniej dziełami powstałemi prawdopodobnie bezpośrednio pod jego wpływem.

Tymczasem i tu, niesłusznie mojem zdaniem, prawie wszystkie te dzieła są co do swej autentyczności zakontestowane przez niektórych krytyków. Niech mi jednak wybaczą panowie krytycy, jeżeli wypowiem przekonanie, że Franciszek I miał zapewne co do autentyczności tych prac nieco lepsze informacye, aniżeli ich dziś dostarczyć mogą choćby najgruntowniejsze badania. Podobnie bowiem jak Karol V jako główny skarb swych zbiorów uważał dzieła Tycyana, podobnież wielki jego rywal w polityce europejskiej a zarazem w kolekcyonowaniu dzieł sztuki, król Franciszek I ambicyę swą pokładał przedewszystkiem w gromadzeniu oryginałów Leonarda. Mając przez szereg lat mistrza samego w swem najbliższem otoczeniu wiedział on zapewne najlepiej gdzie szukać jego dzieł i jak trafić do źródła.

Dzieła więc Luwru już ze względu na pochodzenie ich ze zbioru Franciszka I w pierwszym rzędzie mają prawo uchodzić za oryginały lub przynajmniej za prace powstałe pod okiem mistrza i przy jego współudziale. Oprócz tego przemawia za tem i ich jakość. I tak n. p. w owej sławnej kontrowersyi co do kwestyi, który egzemplarz Madonny „aux rochers" raczej uznać za oryginał, egzemplarz paryski czy londyński (National Gallery) wątpić mojem zdaniem nie można, że pierwszeństwo należy się obrazowi paryskiemu. Londyński egzemplarz, mimo pewnego zczernienia lepiej od paryskiego zachowany, jest przecież tylko kopią któregoś z uczniów, nieco zbanalizowaną i pozbawioną do pewnego stopnia właściwej Leonardowi subtelności w wyrazach twarzy i grze rąk.*)

Specyalnie jednak muszę podnieść, że niesprawiedliwem wydaje mi się zdanie niektórych krytyków o owym sławnym portrecie Luwru znanym pod nazwą „la belle Féronnière", który uważam za niezawodny oryginał Leonarda i za dzieło bardzo wielkiej artystycznej wartości. Niektórzy z nowszych krytyków widzą tu tylko rękę ucznia Leonarda, Boltraffia. Nie przeczę, że gdy-

---

*) Zob. także najnowsze studyum o tej kwestyi w Karola Voll'a „Vergleichende Gemäldestudien" z r. 1908.

byśmy mieli dostateczne zewnętrzne lub wewnętrzne powody, by „odebrać“ to dzieło Leonardowi, nazwisko Boltraffia nasunąćby się nam musiało w pierwszym rzędzie. Z uczniów bowiem i naśladowców Leonarda Boltraffio stosunkowo najlepiej umiał oddać ów tajemniczy wdzięk wyrazu i spojrzenia kobiecego właściwy typom Leonarda w szczególności lepiej nierównie, aniżeli o wiele od niego popularniejszy lecz, mojem zdaniem, nieco płytki i zwykle przesłodzony Bernadino Luini. Lecz „la belle Féronnière“, przepyszna w technice i wyrazie, przewyższa, mojem zdaniem, o wiele wszystkie prace Boltraffia. Jest ona w każdym względzie godna mistrza Mony Lisy, z którym to obrazem ma co do technicznej strony wielkie pokrewieństwo.

Jeżeli obszerniej o tym ostatnim obrazie wspominam, to głównie dlatego, że obraz krakowski w typie twarzy i spojrzeniu ma uderzające podobieństwo do „la belle Féronnière“, choć w ruchu i ustawieniu postaci jest odeń odmienny, lecz, powiedziałbym, jeszcze bardziej „Leonardowski“. Nasuwało mi się nieraz pytanie, czy to nie jedna i ta sama kobieta była modelem obydwu tych obrazów? „Féronnière“ ma wprawdzie twarz pełniejszą i cerę bardziej śniadą, kobieta zaś galeryi Czartoryskich jest szczuplejsza i bledsza, różnica wszakże paru lat mogłaby tę zmianę uzasadnić, tak iż „Féronnière“ mogłaby być modelem obrazu krakowskiego w dojrzalszym nieco wieku. W każdym razie wszelkie prawdopodobieństwo za tem przemawia, że te dwa obrazy są dziełami tego samego malarza, nie zaś jak bardzo niesłusznie sądzi R o s e n b e r g*), iż obraz Czartoryskich jest zmienioną nieco k o p i ą obrazu paryskiego. Zdanie wręcz ujemne i lekceważące tego autora o portrecie krakowskim tłómaczy się, choć z pewnością nie uniewinnia, chyba tem, że go wcale nie widział w oryginale lub tylko bardzo pobieżnie.

Jest to w ogóle niepomyślnem dla ocenienia obrazu krakowskiego, iż nie jest on łatwo dostępnym dla wszystkich krytyków piszących o dziełach Leonarda. Łatwiej bowiem o wiele o obrazie, którego się nie zna w oryginale, lecz tylko z reprodukcyi, wyrazić się ujemnie lub choćby sceptycznie, niż przyznać otwarcie, że go się nie widziało lub na niewidziane uznać go za prawdopodobny oryginał mistrza. Może nie jeden niepochlebny sąd wypowiedziany o krakowskim obrazie ma przyczynę swą w nieznajomości przedmiotu.

Wspomniałem już, że portret krakowski, choć ani co do świetności techniki ani też co do zachowania nie dorównuje paryskiej „Féronnière“ ma za to w układzie postaci jeszcze więcej charakteru Leonardowskiego, aniżeli obraz Luwru. Ażeby to poznać trzeba studyować porównawczo postacie

---

*) Zob. jego Künstlermonographie o Leonardzie da Vinci w seryi Knackfussa, str. 56.

poszczególne Leonarda, które widzimy tak w obrazach przez niego samego malowanych i w licznych jego rysunkach, jak i figury w obrazach uczniów malowanych prawdopodobnie podług kartonów mistrza. To przegięcie całej postaci przy skręceniu głowy w przeciwnym kierunku, to spojrzenie zagadkowe jak gdyby, wpół zdziwione a wpół ironiczne, ten półuśmiech ust, a przedewszystkiem owa rasowa, wązka, nieco koścista o długich palcach ręka, kokietująca nas niejako kunsztownością ułożenia i subtelnością rysunku i anatomii, to są wszystko wybitne cechy autentyczności dzieła.

Wrażenie całości psuje tylko niestety w wysokim stopniu ta okoliczność że obraz jest co do zachowania w bardzo złym stanie i zepsuty rażącemi retuszami. Przedewszystkiem tło całe obrazu, jednostajnie jak smoła czarne, bez wszelkiej przejrzystości jest niezawodnie zupełnie przemalowane i to bardzo niezręcznie. Nadto paciorki czarne i część prawa szyi mają rażące retusze, a nawet nie jest wykluczonem, że niesumienny restaurator i twarzy tu i ówdzie dotknął. Na szczęście spojrzenie nie jest zepsutem a ręka, nietknięta przez restauratora jest w rysunku i anatomii tak wybitnie Leonardowską, że ten jeden szczegół starczy prawie za autentyczny podpis.

Kogo ten portret może nam przedstawiać? Czy możemy na podstawie znanych nam źródeł kusić się o rozwiązanie tej zagadki? Profesor Jan Bołoz Antoniewicz w bardzo interesującym wykładzie, który miał na III zjeździe historyków polskich przed kilkoma laty w Krakowie, publikowanym niestety tylko w streszczeniu, sądzi, że Leonardo podaje nam tu portret Cecylii Gallerani, kochanki Ludovica Sforzy. Mojem zdaniem jednak materyał historyczny gruntownie i starannie przez autora nagromadzony, przecież nie udowadnia nam tej interesującej hipotezy. Z drugiej zaś strony szczegół zewnętrzny, iż portretowana kobieta trzyma w ręku łasicę-gronostaja, zwierzątko symbolizujące, jak wiadomo „castitas“, przemawia przeciw owej hipotezie. Portret bowiem Cecylii Gallerani, notorycznej kochanki księcia jako „castitas“, to zakrawałoby przecież zbyt na ironię i nie odpowiadałoby prawdopodobnie intencyom samegoż księcia.

Vasari w swej biografii Leonarda wspomina obok portretu Mony Lisy jeszcze o portrecie Ginevry d'Amerigo Benci, inni zaś biografowie mówią o portretach Lukrecyi Crivelli i Cecylii Gallerani. Może też i portret żony Ludovica Mora, Beatrycy d'Este malował Leonardo, choć nie jest to pewnem. Siostra jej, sławna Izabella d'Este zamężna Gonzaga, margrabina Mantuy nie mogła się, jak wiadomo, doprosić tego, by Leonardo wymalował jej portret. Zdaje się wszakże, że karton Luwru, przedstawiający nam szkic portretu kobiecego w profilu jest projektem owego portretu.

Na podstawie tych źródeł nie można jednak twierdzić, że Leonardo, choć

malował tak niechętnie i mało, nie stworzył przecież jeszcze kilku innych kobiecych portretów.

Także co do t. zw. „belle Féronnière" nie wiemy wcale, kogo portret ten przedstawia, to jedno tylko jest pewnem, że popularna ta nazwa popolega na mylnej legendzie. Żona bowiem Férona, kochanka króla Franciszka I. nie żyła już wtedy, gdy Leonardo przybył na dwór króla, jest tedy pewnem, że jej Leonardo nigdy nie widział. Zresztą obraz ten, sądząc według techniki należy do prac Leonarda powstałych jeszcze znacznie przed przybyciem do Francyi. Oba więc portrety są niestety bezimienne, a wzajemny ich do siebie stosunek zapewne nigdy rozjaśnić się bliżej nie da.

Dochodzę do konkluzyi, iż z portretów przypisywanych Leonardowi, wyjąwszy oczywiście Monę Lisę, obraz krakowski ma obok męskiego portretu galeryi ambrozyańskiej i paryskiej „la belle Féronnière" najbardziej jeszcze uzasadnioną pretensyę, by uznano w nim oryginał Leonarda, choć oszpecony nieudolną restauracyą. Podnosi to wartość i sławę galeryi Czartoryskich niezmiernie. Oprócz Luwru najsławniejsze zbiory publiczne i prywatne europejskie nie mogą się tem poszczycić. Obrazy bowiem zawarte w tych zbiorach a przypisywane Leonardowi (n. p. główka kobieca w galeryi Lichtensteinów lub kobieta w galeryi petersburskiej) mniej jeszcze od naszego obrazu mają cech Leonardowskiego geniuszu, z nowo zaś „odkrytemi" t. zw. „Leonardami" (n. p. w galeryi berlińskiej i monachijskiej) jeszcze mniej miano szczęścia. Obraz bowiem berliński (wielkie Zmartwychwstanie Chrystusa), ta „pięta Achillesowa" w znawstwie artystycznem znakomitego zresztą dyrektora muzeum berlińskiego, Bodego, to, mojem zdaniem, tylko tępa, mozolna imitacya Leonarda wykonana zapewne przez któregoś z pilnych lecz mało utalentowanych naśladowców mistrza, Madonna zaś monachijska to prawdopodobnie, tylko flamandzka imitacya lombardzkiego stylu. Od tych „nowo-wymyślonych" Leonardów jest obraz krakowski artystycznie nierównie wyższym, a jeśli to nie jest ogólnie uznanem, to może przecież w części dla tego, że znajduje się on w Krakowie a nie w Paryżu, Berlinie lub jakiemś innem centrum europejskiego artystycznego ruchu i krytycznych publikacyi.

*

Dopisek do artykułu o „Rafaelu" Galeryi Czartoryskich w 3 numerze „Lamusa" i do niniejszego artykułu.

Pisząc o dawnych obrazach z podaniem jako illustracyi reprodukcyi kolorowej na fotograficznej drodze wywołanej, musimy dołączyć pewne uwagi, tyczące się wierności tych reprodukcyi, których technika tak u nas,

jak i zagranicą, daleką jest jeszcze od zupełnej doskonałości. O ile bowiem kolory w grubszych niejako zarysach podane są wiernie, co dla studyów porównawczych i przypomnienia sobie oryginału nie jest bez znaczenia, o tyle w subtelniejszych odcieniach reprodukcya nawet bardzo starannie wykonana podaje barwy nietylko niedokładnie ale nawet fałszywie. Czuję się obowiązany zwrócić na to uwagę czytelnika tem bardziej, że nie jedno z moich twierdzeń mogłoby się wydać wręcz mylnem w odniesieniu do barw, tak jak one występują w reprodukcyi. Żeby tylko podnieść rzecz najważniejszą, zwracam na to uwagę, że karnacya obrazu Rafeela jest o wiele bardziej „ceglasto“ zaczerwieniona niż w oryginałach, oraz że w tonach białych występuje pewien odcień niebieskawy, który jest o wiele bledszy na oryginale; karnacya obrazu Leonarda wypadła znacznie lepiej. Wogóle technika tego rodzaju kolorowych reprodukcyi jest jeszcze dotąd bardzo niedoskonałą.

Przy sposobności tego dopisku chcę się jeszcze podzielić z czytelnikiem jednem drobnem wprawdzie lecz interesującem spostrzeżeniem tyczącem się krakowskiego „Rafaela“. Już po oddaniu mego artykułu do druku miałem sposobność spotkać w Anglii w Canterbury w pewnym zbiorze artystycznym kopię dawną portretu krakowskiego opatrzoną następującym objaśniającym podpisem: „Italian school, portrait of a girl“ (!). A więc w owym zbiorze angielskim uważają postać tę za portret k o b i e c y! Interesującem jest to niezmiernie dla maniery portretów Rafaela i owego typu męskiego „efféminé“, który w nich niekiedy widzimy, na co już przy innej sposobności (zob. moją „Przechadzkę po muzeach madryckich“ str. 31) zwróciłem uwagę.

LEON PINIŃSKI.

W sprawie pisowni polskiej.

I.

PROTEST.

Z początkiem bieżącego roku rozesłano do wszystkich dzienników druk, wyrażający protest przeciwko nieracyonalnemu zmienianiu pisowni autorów przez wydawców, — protest w imieniu praw języka i literatury polskiej. Podajemy go w streszczeniu.

„Opierając się na zasadach R. Pilata (wypowiedzianych na zjeździe Kochanowskiego), moglibyśmy ograniczyć się do krótkiego załatwienia kwestyi: zasadą modernizowania pisowni jest „podanie czytelnikowi materyału w takim stanie, z którego może najdogodniej korzystać“, a udogodnieniem takiem nie jest ortografia, do której nie przywykły ni oczy ni uszy czytelnika. Aby jednak zakończyć wszelką sprawę i rozprawę przejdziemy do szczegółów.

Zmodernizowanie pisowni nie może „naruszać dawnych form“, może je tylko „w odmienny sposób wyrażać“. Co innego jest zmieniać pisownię, a co innego zmieniać wartości dźwiękowe.

Takiem zmienianiem wartości dźwiękowych jest zmienianie głosek e *i* i *na* y, ie *na* i, *jak to się dzieje w narzędnikach na* em, emi, iem, iemi. *By widzieć, że nie jest to zamiana tylko znaków konwencyonalnych, lecz zmienianie wartości fonetycznych, wystarczy przeczytać parę jakichkolwiek zwrotek (n. p. oktaw Słowackiego) i przekonać się, czy w całej ilości materyału narzędnik na* ym *albo* im *rymuje się ze słowem zakończonem na* em. *Zresztą jednym z najjaskrawszych dowodów, że się dzisiaj nawet tak nie wymawia, jest popełnianie przez pp. wydawców licznych niekonsekwencyi wbrew przyjętym przez nich normom — gdy o rym chodzi“. Następują przykłady; przeważnie ze „Sfinksa“ i z „Wypisów z literatury“ Feldmana. „Takie zmienianie wartości dźwiękowych nietylko przeczy intencyi autora, ale zmienia barwę języka“. (Przykłady). „Uwydatniliśmy tylko dwa szczegóły zasad (raczej braku zasad), przeciw którym występujemy, — znala-*

złoby się ich więcej, a z czasem jeszcze więcej się znajdzie. Dziś bowiem wskutek ogólnego zamieszania pojęć pisze nietylko „każdy jak chce", ale „jak kiedy chce"." Protest nie występuje w szczególności przeciwko wymienionym jednostkom, ale przykłady powyższe podaje ze względu na stanowiska ich wydawnictw — jedne z najwybitniejszych.

„Wyrażamy stanowczy protest przeciwko wszelkiemu fałszywemu zmienianiu pisowni autorów, któreby naruszało w czemkolwiek dźwiękowe wartości słów, zmieniało przez to barwę języka i intencye autora".

Podpisali:

Władysław Bełza, Ludwik Bernacki, Wilhelm Bruchnalski, Zygmunt Bytkowski, Ignacy Chrzanowski, Zofia Wójcicka Chylewska, Tadeusz Czapelski, Bronisław Czarnik, Zdzisław Dębicki, Stefan Frycz, Juliusz German, Maryan Goyski, Tadeusz Grabowski, Bronisław Gubrynowicz, Kazimierz Jarecki, Franciszek Jaworski, Józef Kallenbach, Józef Jedlicz Kapuścieński, Jan Kasprowicz, Wojciech Kętrzyński, Juliusz Kleiner, Ludwik Kolankowski, Feliks Kopera, Józef Korzeniowski, Franciszek Krczek, Adam Krechowiecki, Antoni M. Kurpiel, Jan Łoś, Władysław Łoziński, Karol Maszkowski, Antoni Mazanowski, Leopold Méyet, Wanda Młodnicka, St. A. Mueller, Edmund Naganowski, Józef Nusbaum, Władysław Orkan, Ostap Ortwin, Eliza Orzeszkowa, Julian Pagaczewski, Jan Gw. Pawlikowski, Michał Pawlikowski, Tadeusz Pini, Leon Piniński, Władysław Rabski, Maryan Raciborski, Ludwik Ramułt, Wł. St. Reymont, Lucyan Rydel, Wanda Siemaszkowa, Józef Siemiradzki, Tadeusz Sinko, Irena Solska, Ludwik Solski, Leopold Staff, Stanisław Stroński, Maryan Szyjkowski, Stanisław Tarnowski, Michał Tarasiewicz, Juliusz Tenner, Mieczysław Treter, Kazimierz Twardowski, Stanisław Wasylewski, Władysław Witwicki, Maryla Wolska, Stanisław Wyrzykowski, Stefan Vrtel, Roman Zawiliński.

*P. S. Równocześnie ze złożeniem powyższego druku wyszedł styczniowy zeszyt „Sfinksa", w którym na str. 172 czytamy: „Do pisowni naszej wprowadziliśmy od zeszytu styczniowego modyfikację: zachowując pisownię fonetyczną (Marja, gieografja etc.), rozróżniamy obecnie rodzaje w szóstym przypadku przymiotników (dob*rym *synem, dob*rem *dzieckiem; dob*rymi *synami, dob*remi *córkami lub dziećmi), przyznając słuszność współpracownikom i czytelnikom, którzy uważali, że zaniedbanie tych różnic prowadzi do zubożenia języka i niepożądane jest zwłaszcza dla poetów". — Zaiste godny naśladowania przykład.*

II.

„PISOWNIA POETÓW I JEJ PRAWA".

Pod takim napisem „Słowo polskie" ogłosiło nareszcie w numerze 256 z 3go czerwca 1909 r. powyższy protest 69 osób różnych zawodów i ze wszech stron Polski przeciw fałszywemu zmienianiu pisowni autorów, który ukazał się kolejno w licznych dziennikach polskich. Ale dziennik wspomniany nie poprzestał na przedruku odezwy. „Ponieważ ma swojego referenta do spraw języka polskiego w osobie prof. A. A. Kryńskiego, czuliśmy się (!) — pisze redakcya — w obowiązku odezwę powyższą jemu przedstawić *) do zaopiniowania, co było tym potrzebniejsze, że prof. Kryński nie był powiadomiony o istnieniu projektu tej odezwy".

*) Chyba: „poczuwaliśmy się do obowiązku przedstawienia mu odezwy powyższej"!

Po tym charakterystycznym przypisku redakcyjnym dołączono do protestu naszego uwagi prof. Kryńskiego, które powtarzam tu bez zmiany, ażeby ułatwić czytelnikowi zrozumienie polemiki, którą na tem miejscu zamierzam przeprowadzić w obronie stanowiska, zajętego przezemnie i 68 innych osób w sprawie modernizowania pisowni w wydaniach pisarzy beletrystów i zagadnień, z nią związanych. Konieczności polemiki takiej nie będę udowadniał, ponieważ mam to przekonanie, że, ktokolwiek przeczyta uwagi prof. Kryńskiego i moje zestawienie faktów, przyzna, że wywodów szanownego profesora nie można było pozostawić bez odpowiedzi. Wprawdzie długo zwlekałem z tą odpowiedzią, ale temu winna ta okoliczność, że u nas każdy, pragnący zapoznać się z danymi faktami w obrębie jakiejkolwiek kwestyi językowej, musi sam sobie zbierać materyał potrzebny, bo brak nam odpowiednich prac przygotowawczych, a do zebrania materyału, który przytaczam poniżej, z powodu innych zajęć, a następnie wywczasów letnich, mogłem przystąpić dopiero teraz.

Uwagi prof. A. A. Kryńskiego.

Jak to już w „Pamiętniku Literackim", 1908, t. VII, zesz. 3, str. 377 zaznaczyłem, utrzymanie wierne pisowni konieczne jest tylko przy przedrukach rzadkich książek, lub ogłaszaniu rękopisów, o ile ich pisownia ma znaczenie dla badań językowych. W każdym zaś wydawnictwie, ogłaszanym dla celów literackich, a więc przeznaczonym dla szerszej publiczności, „słuszną jest rzeczą modernizowanie pisowni" — pisałem tamże. Słowa prof. Pilata, przytoczone w powyższej odezwie, wyrażają to samo, i dotychczasowa rutyna wydawnicza trzyma się tejże zasady: mamy np. edycje Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego itd., gdzie nie zachowano pisowni poetów: „poymuię", „moiey", „oycze", „xięga" i t. d.

Muszę więc obecnie dodać, że tak samo zmiany, czynione przy ogłaszaniu autorów w „Sfinksie" i wypisach Feldmana, zmiany, dotyczące zakończeń przyp. 6-go i 7-go przymiotników nijakich, oraz zakończenia ya, ia, *są zupełnie usprawiedliwione: są to p o p r a w k i t y l k o o r t o g r a f i c z n e, a nie takie, któreby mogły „zmieniać wartości dźwiękowe". Wartości bowiem dźwiękowe tych zakończeń (męskiego i nijakiego) były w tych razach z a w s z e i d e n t y c z n e; przypomnijmy tylko sobie, że Kopczyński, ustanawiając ten dowolny na papierze przepis ortograficzny, k a z a ł w zakończeniu* ém *pisać* é *z kreską, aby fonetycznie, tj. w wymawianiu, nie różniło się od* ym, *zgodnie z żywą mową ogółu. I stosowano się do tego przepisu jeszcze w drugiej połowie wieku XIX-go. Następnie zaś, wskutek niedokładnego pojmowania tej różnicy pisowniowej i wskutek niepożądanej, bo przesadnej gorliwości w staraniu o poprawność, podnoszono w wieku XIX wartość znakową (pisowniową)* em, emi *do wartości fonetycznej (może doczekamy się, że zaczną pod wpływem pisma wymawiać Fran-cy-a); wskutek tego też zdarza się u poetów wieku XIX i dzisiejszych zbyt poprawny rym, np. obliczem — niczem, ogromem — nieruchomem itp.*

Mamy jednak dosyć dowodów i na to, że poeci nasi nie przestrzegali zbyt ściśle tego rymu ortograficznego (wzrokowego): w chwilach, kiedy natchnienia zapomnieli skontrolować bezmyślną „gramatyką", pozostawiali rymy f o n e t y c z n e, *jak np. Mickiewicz:*

*„Bo taki spór nie może skończyć się na nicz*ém;
*Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźnicz*ym".

(Pan Tad. str. 158).

*„...bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrow*ym,
*Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkow*ém".

(Pan Tad. str. 40).

Słowacki:

*„Wreszcie Aniela, już strzelaniem blizki*em,
*I władzą, którą ma nad duchem nizk*im".

(Pis. pośm. II, 170).

*„Widzisz to słońce w niebie laurow*em,
*...Zawsze tam wschodzi za lasem palmow*ym".

(Ojc. zadż. II, 157).

Garczyński:

„Czyliby na jawie
*Jeden z nich był czem innem i w sercu czem inn*em?...
*Pokazywał się zawsze tak gorliwym, czynn*ym!"

(Wacł. 55).

Pol:

*„Nieraz mi nocleg przypadł w stepie czyst*ym
*...Tonęła dusza w tem niebie gwiażdzist*em.

(Mohort. str. 12).

Kondratowicz:

*„Sądził Szeliga w zamniemaniu płonn*em,
Że król... weźmie go k' sobie i mianować raczy
*Łowczym nadwornym, a potém koronn*ym".

(Poez. III, 21)

i t. d., i t. d.

Widać z tych przykładów, że w chwili tworzenia dla poetów nie istniała różnica między rodzajami, refleksje na ten temat przychodziły im dopiero podczas zapisywania swych utworów na papierze, że więc to rozróżnianie rodzajów nie leżało w ich wymowie, ale rodziło się z fałszywie pojętej karności pisarskiej.

W przedrukach tedy oczywiście rymów takich jak: obliczem — niczem, srogiem — wrogiem itp. nie należy zmieniać, tak samo jak i trzyzgłoskowego Maryja do rymu np. zabija itp., podobnie jak się nie narusza formy specjalnie dla rymu zmienionej przez poetę, dajmy na to: scześnie — weźnie.

Ale poza temi wypadkami wyjątkowemi, gdzie należy szanować specjalną „intencję autora" (o „barwie" języka mowy być nie może, bo barwa jest cechą przedmiotów materjalnych), wydawca, dla którego pisownia -ym *na oba rodzaje i pisownia* -ja *jest jedynie słuszna, wszelka zaś inna razi oczy czytelnika (o „uszach, nieprzywykłych do ortografji" mowy być nie może:*

rzecz czytaną wymawia się nie ortograficznie, ale według własnych przyzwyczajeń fonetycznych) — taki wydawca powinien postępować właśnie tak, jak p. Feldman i dawniej p. Bukowiński — a szkoda, że p. B. tego zaniechał, wiedząc, że jeżeli co, to zaprowadzenie owego zakończenia **-ém** *w różnicy do* **-ym** *przez Kopczyńskiego jest taką „bezmyślną, samowolną poprawką".*

Z drugiej strony należy jednak usprawiedliwić i stanowisko przeciwne, tj. jeżeli wydawca, nie wnikający w istotę i słuszność rzeczy, hołdujący jedynie przepisom ogłoszonym przez Akademję, będzie wprowadzał odpowiednie tym przepisom poprawki, oczywiście w wydawnictwach popularnych, które nie mają na celu wiernego podawania materjału dla badań językowych.

W gruncie rzeczy więc niema przeciwko czemu protestować.

Adam Ant. Kryński.

III.

Odpowiedź moja na uwagi prof. Kryńskiego.

Jak protest nasz, tak i uwagi szanownego profesora, obracają się głównie około pisowni zakończeń: 1) narzędnika i miejscownika przymiotników itp. kategoryi wyrazów w rodzaju nijakim liczby pojedyńczej, 2) narzędnika tych samych kategoryi wyrazów w liczbie mnogiej i 3) rzeczowników, przejętych z innych języków i dostosowanych do typów łacińskich na **-ia, -io, -ium,** i do ich przekształceń w języku polskim. Dlatego też nie będę się wdawał w rozprawę z pewnemi twierdzeniami pierwszego ustępu uwag, zwłaszcza że toby zajęło wiele miejsca i czasu. Poprzestanę tylko na zaznaczeniu odmiennego nieco stanowiska w dwu punktach tego ustępu. Po pierwsze nie godzę się z zastrzeżeniem prof. Kryńskiego co do utrzymania wiernego pisowni przy przedrukach rzadkich książek lub przy ogłaszaniu rękopisów, tylko „**o ile** ich pisownia ma znaczenie dla badań językowych", ponieważ mojem zdaniem niema zabytku pisanego czy drukowanego, któryby nie miał takiego znaczenia. Powtóre nie mogę się zgodzić na to, ażeby wydania, ogłaszane „dla celów literackich", były identycznemi z wydaniami, przeznaczonemi „dla szerszej publiczności". Prof. R. Pilat w swym referacie p. n. „Jak należy wydawać dzieła polskich pisarzów XVI i XVII w.?" (Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, t. V, r. 1886, s. 97—111), wszystkie wydania dzieli tylko na dwie kategorye (mojem zdaniem jedynie trafnie): 1) „zupełnie popularne, obliczone na szeroką publiczność" i 2) „naukowe"; w drugiej mieszczą się zarówno wydania, przeznaczone dla badań językowych, jak i „dla celów literackich".

W ustępie drugim prof. Kryński twierdzi, że zmiany w pisowni poetów naszych, poczynione przez pp. Bukowińskiego i Feldmana, są zupełnie usprawiedliwione, bo to „poprawki tylko ortograficzne, a nie takie, któreby mogły zmieniać wartości dźwiękowe", poczem następuje znany z licznych prac szan. profesora wywód o dziejach zakończeń **-ym, -em, -ymi, -emi**

w odmianie przymiotników itp. wyrazów. Tak twierdzenie samo, jak i cały wywód są mojem zdaniem błędne, a to z powodów następujących. Przedewszystkiem wartości dźwiękowe zakończeń narzędnika i miejscownika l. poj. przymiotników itd. nie były „zawsze identyczne“, bo — pominąwszy już ten fakt, że nie były i nie są takiemi w innych językach słowiańskich, a więc nie mogły niemi być pierwotnie i w polskim — robiono między niemi różnicę w pisowni wtedy, kiedy nie znano nowoczesnych teoryi; tak np. „Psałterz floryański“ w narzędniku (N.) pisze stale -ym (-im) bez względu na rodzaj męski czy nijaki, natomiast w miejscowniku (Mc.) stale -em (-iem itd.) na oba rodzaje. Jeśli zaś później spotykamy kreskowanie tego e w Mc. przymiotników, to trzeba je stawiać na równi z e kreskowanem wyrazów takich, jak chléb, wiérzch, szczéry itp., które w języku literackim z biegiem czasu doszły do e niekreskowanego i w wymowie poprawnej do e więcej otwartego. Dzieje zakończeń omawianych od XVI do XVIII w. podziśdzień nie są szczegółowo zbadane. Nie uczynili tego ani prof. Kalina w swej nieocenionej „Historyi języka polskiego“, ani profesorowie Małecki, Kryński i Pilat w swoich gramatykach. Mimo to już z samego faktu reformy Szylarskiego i Kopczyńskiego, którzy różnicę pisowniową przypadków zmienili na różnicę rodzajów w tym samym przypadku, wynika niezbicie, że jeszcze za ich czasów, a więc w drugiej połowie XVIII wieku, pisownia -(i)em, względnie -(i)ém obok -ym (-im) istniała, choćby w bardzo szczupłym zakresie, bo w przeciwnym razie skądby owi reformatorzy byli wpadli na pomysł czynienia różnicy w zakończeniach i dlaczegoby reforma ich przyjęła się tak rychło, powszechnie i na trwałe? Zresztą choćby gramatyk piętnował reformę Szylarskiego i Kopczyńskiego jako dowolną itd., to pozostanie faktem, że w języku literackim aż do najnowszych czasów panuje prawidło Kopczyńskiego i to nietylko pisowniowo, lecz nawet w wymowie („żywa mowa ogółu“ w języku literackim nic nas nie obchodzi). Ponieważ temu gołosłownie przeczy szanowny prof. Kryński, przedkładam niniejszem następujące fakty z pism Adama Mickiewicza, które mutatis mutandis można odnaleźć u wszystkich innych poetów naszych po koniec XIX w., jeśli nie dalej, w co już nie wchodzę, bo to nie dotycze przedmiotu naszego protestu.

Otóż jakkolwiek Mickiewicz znał z „Jerozolimy wyzwolonej“ w przekładzie P. Kochanowskiego dawniejszy stan rzeczy i nawet w „Grażynie“ według tego wzoru pozwolił sobie na formy „poprawne“ w duchu XVI w. (w w. 444 i 447 dozwolim: ze skrzydłem sokolim, 961 i 962 koniem: po niém w rodz. męskim!), — to jednak w drukach*) swych poezyi przestrzegał odróżniania zakończenia -ym (-im) w rodzaju męskim od -(i)ém w rodzaju nijakim narzędnika i miejscownika l. poj. przymiotników itp. wyrazów. I nie dość, że odróżniał je w piśmie, ale także w wymowie, t. zn. łączył z pisownią -(i)ém wartość dźwiękową odmienną od dźwięku,

*) Mówię: „w drukach“, bo w rękopisach wogóle nie kreskował zwykle ani samozgłosek, ani spółgłosek, co można sobie tłumaczyć rozmaicie, co jednak dla sprawy naszej jest obojętnem. Zestawienia swoje opieram na wydaniu krytycznem dzieł poety, doprowadzonem przez Towarzystwo literackie im. A. Mickiewicza do tomu IV., a obejmującem dotychczas wszystkie jego wiersze z wyjątkiem „Pana Tadeusza“, i na wydaniu tegoż poematu z r. 1838, bo pierwszego nie miałem pod ręką.

oznaczanego przez y lub i w zakończeniu -ym, (-im). Jeżeli jednak o tem chcemy się przekonać, to nie możemy brać na wyrywki tego lub owego rymu gramatycznego i z emfazą przytaczać go na dowód, jakoby „poeci nasi nie przestrzegali zbyt ściśle tego rymu ortograficznego (wzrokowego)", lecz musimy zbadać całą technikę rymów, o które chodzi, u Mickiewicza i ze statystyki wysnuć wnioski logiczne. Przytem, ażeby się ustrzec błędów, podobnych wytkniętemu, należy w zestawieniu statystycznem pominąć nic nie mówiące albo dwuznaczne rymy gramatyczne *); z rymów zaś niegramatycznych wyłączam i zestawiam osobno takie, w których zachodzą formy zaimkowe kim i czém **), aby nie mącić obrazu. Po dokonaniu tych poprawek stwierdziłem w rymach niegramatycznych Mickiewicza aż 56 takich (I.), w których zakończenie nijakie przymiotników -(i)ém odpowiada zakończeniom rzeczownikowym lub czasownikowym z niewątpliwem e otwartem, t. j. -(i)em, a tylko 18 takich (II.), w których zakończeniu rzeczownikowemu lub czasownikowemu -(i)em odpowiada zakończenie męskie narzędnika lub miejscownika l. poj. przymiotników -ym (im). Oto wykaz rymów obu kategoryi:

Kategorya I. (56):

a) w wierszach drobnych — 1. zbladłem: zgadłem (Rybka 134/6), 2. wołowém: słowem (Tukaj 280/2), 3. o tém: grotem (Don Carlos 99/100), 4. wyrokiem: głębokiém (Do M*** 25/7), 5. na tém: bratem (Sen I. 61/2), 6. białém: drzemałem (Sen II. 17/19), 7. i 8. mojém: pokojem (Niepewność 21/2 i Zdania i uwagi 3/4), 9. twojém: pokojem: zawojem (Pożegnanie 9/11/13), 10. ślepem: oszczepem (Zima miejska 65/7), 11. brzydkiém: kopytkiem: zbytkiem (Koza, kózka i wilk 15/16/18), 12. kłopotem: potém (Golono strzyżono 14/16), 13. ująłem: niewesołem (Śniła się zima 53/4), 14. kazałem: całém (Król Bobo 98/9) ***)

---

*) Nic nie mówią rymy gramatyczne takie, jak P.(an) T.(adeusz) IV., 351/2 złotém: o tém, bo czy je poeta czytał z e czy z y, zawsze to były i będą rymy pełne, poprawne. Dwuznaczne zaś są rymy gramatyczne takie, w których forma męska narzędnika lub miejscownika l. poj. przymiotników na -ym (-im) łączy się z takąż formą nijaką na -(i)ém, bo tu z góry, bez zbadania całości zjawisk, nie można wyrokować o wartości dźwiękowej tych rymów. Zresztą ostatnia kategorya u Mickiewicza, który wogóle unika widocznie rymów gramatycznych, bardzo nieliczna, wszystkiego 7 wypadków: a) Wallenrod IV, 706/8 wiecznėm: serdecznym; b) Dziady III, cz. I, sc. 1, 218/20 pogodném: łagodnym, Przegląd wojska 147/9 własném: jasnym; c) P. T. II, 183/4 niezdrowym: zamkowém, III, 149/50 przyciśnionym: kwapioném, IV, 702/3 rzemiennym: promienném; XI, 602/3 prostaczym: tułaczém. Tu też dołączam 2 rymy gramatyczne, w których z -ém nijakiem łączy się -ym (-im) celownika l. mn., aby przez wcielenie ich do kategoryi innych nie przesądzać sprawy: a) Giaur 707/8 wyklętém: świętym; b) P. T. X, 522/3 drugim: długiém.

**) Zestawienie tych rymów przedstawia się następująco: I.) niczém stanowi rym do obliczem (a więc brzmi: czem) 6 razy (Dudarz 154/5, Euthanasia 34/6. Graż. 788/9 i epilog 37/8, Dziady III, cz. I, sc. 5. 1/2, P. T. X, 431/2); — II.) czém rymuje się z formą męską narzędnika l. poj. przymiotnika na -ym 2 razy (Giaur 1196/1202 proroczym; P. T. IV, 912/3 niczém: rzeźniczym); — III.) kim rymuje poprawnie 1 raz (Poż. Cz. Harolda 65/7 po świecie szerokim: po kim); — IV.) nikim jako rym do -em rzeczowników 3 razy (Dziady III, cz. I, sc. 8, 404/6: sowietnikiem; Oleszkiewicz 25/8: językiem, P. T. X, 178/9: scyzorykiem).

***) Nry 10—14 pochodzą z wierszy, których sam poeta nie wydrukował w wydaniach zbiorowych swych utworów, które zatem znamy albo z czasopism, albo z wydań pośmiertnych, gdzie wydrukowano już to e, już też é, co jednak nie zmienia istoty rzeczy, o którą mi chodzi.

b) w Grażynie — 15. zbytniém: wytniem (273/275), 16. żywotem: o tém (Epilog 21/2);

c) w Wallenrodzie — 17. głębokiém: okiem (IV. 113/4), 18. oraczém: płaczem: słuchaczem (IV. 200/202/206);

d) w Giaurze — 19. głębokiém: bokiem (534/5), 20. dzikiém: rozbójnikiem (713/4), 21. słońcem: zachodzącém (717/8), 22. przed światem: na tém (1024 5), 23. nabiegłém: dostrzegłem (1061/2);

e) w Dziadach, cz. II. — 24. całém: doznałem (94/5); cz. III. — 25. bożém: łożem (prol. 11/15); 26. warkoczem: uroczém (prol. 93/95), 27. młotem: potém (a. I. sc. 1, 423/5); 28. i 29. człowieczém: mieczem (a. I, sc. 1, 485/8 i Droga do Rosyi 36/39), 30. widziałem: całém (cz. I. sc. 3, 31/32), 31. granitem: odkrytém (Petersburg 118/120), 32. nakrytém: apetytem (Przegląd wojska 388/9); cz. IV. — 33. bratem: na tém (1067/8);

f) w Panu Tadeuszu, ks. I. — 34. rozmaitém: żytem (17/18), 35. o tém: Gotem (282/3), 36. na tém: światem (334/5), 37. głębokiém: okiem (390/1), 38. ukłonem: zostawionėm (554/5); ks. II. — 39. krokiem: głębokiém (397/8), 40. gorejącém: słońcem (425/6); ks. III. — 41. o tém: kłopotem (428/9), 42. niepojętém: wstrętem (454/5); ks. V. — 43. powiatem: nad tém (334/4), 44. okiem: głębokiém (728/9); ks. VI. — 45. Jackiem: hajdamackiém (160/1), 46. tajemném: Niemnem (180/1); ks. VII. — 47. Zabokiem: głębokiém (67/8), 48. szerokiém: potokiem (106 7); ks. VIII. — 49. Soplicowem: domowém (197 8); ks. IX. — 50. potém: łoskotem (61/2), 51. wzniesioném: batalionem (571/2); ks. X. — 52. rogiem: złowrogiem (27/8), 53. złotem: o tém (162/3); ks. XI. — 54. płaczem: prostaczém (619/20); ks. XII. — 55. na tém: światem, 56. dreszczem: złowieszczém (693/4).

Kategorya II. (18):

a) 1. stepem: ślepym (Ciemność 71/2), 2. zdumiałym: wystrzałem (Nocleg 41/3), 3. hajdamackim: plackiem (Chłop i żmija 3/5), 4. wielkim: karzełkiem (Król Bobo 110/111) *);

d) 5. zdrętwiałym: chciałem 1212/13;

e) 6. mrokiem: szerokim (Oleszkiewicz 90/92) **);

f) ks. I. — 7. białym: trybunałem 887/8; ks. II. — 8. ogonem: szalonym 613/4, 9. zwierzem: Jerzym (odmiana przymiotnikowa) 792 3; ks. III. 10. dziewiczym: obliczem 125/6, 11. szerokim: obłokiem 227/8; ks. IV. 12. nieruchomym: gromem 53/4, 13. Rejentem: zawziętym 866/7; ks. V. 14. gromem: nieruchomym 672 3; ks. VI. — 15. całym: zapozwałem 208/9; ks. VII. — 16. pańskim: Gdańskiem: Poznańskiem 17—19, 17. Sakiem: takim 430/1; ks. XII. — 18. apetytem: obfitym 157/8.

---

*) NB. Nrów 2—4 dotycze uwaga, uczyniona wyżej przy nrach 10—14 kategoryi I. Pominąłem rym „robakiem: liściem niejednakim" Drzewo 1/2, ponieważ wiersz ten znamy dopiero z wydań pośmiertnych i bardzo być może, że „liściem" należy pojmować jako rzeczownik zbiorowy rodz. nij., jak w Grażynie w. 847, a więc czytać „niejednakiem" z rymem pełnym, poprawnym.

) Rękopis ma tu: szerokiem, co świadczyłoby wprost przeciw twierdzeniu prof. Kryńskiego, jakoby poeta nasz „natchnienie zapomniał skontrolować bezmyślną gramatyką" i pozostawiał „rymy fonetyczne", którymi, naturalnie według szan. profesora są tylko **-ym, jakkolwiek pisane.

Ktokolwiek bez uprzedzeń przejrzy obie kategorye rymów i zapyta się, którą z nich u Mickiewicza uważać należy jako miarodajną, odpowie chyba bez wahania: „Pierwszą!“ już choćby z tego powodu, że u każdego poety muszą przeważać rymy pełne, doskonałe, jeżeli wogóle mamy go brać poważnie, a cóż dopiero wobec tak wyraźnej dysproporcyi obu kategoryi (56 : 18)!

Wynika więc z tego zestawienia, że Mickiewicz zasadniczo rozumiał **-(i)ém** fonetycznie jako **-(i)em**, a więc wydawca, modernizujący pisownię, nie śmie podsuwać mu rozumienia innego tam, gdzie poeta sam nie czyni wyjątków. Innemi słowy zmiany, wprowadzone przez pp. Bukowińskiego i Feldmana, t. zn. pisownia narzędnika i miejscownika l. poj. przymiotników itp. wyrazów bez względu na rodzaj przez **-ym** (**-im**) u Mickiewicza i wogóle u poetów dawniejszych, nie są usprawiedliwione wcale faktami.

Z dwoma innemi zagadnieniami, wymienionemi na czele mej odpowiedzi, tj. sprawą pisowni **-ymi** czy **-emi** w narzędniku l. mn. przymiotników itp. wyrazów, oraz pisowni **-ya** (**-ia**) itd. czy **-ja** itd. w rzeczownikach, przejętych z języków obcych, mogę się załatwić krótko. Z wyjątkiem jedynego rymu, w którym niewątpliwie trzeba czytać **-ymi** (usty rozciągniętémi: dymi (Samolub 127/8, nb. wiersz, nie wydany za życia poety!), i dwu wypadków wątpliwych*), zresztą spotykamy u Mickiewicza w rymie zawsze (59 razy, z tego 54 do: ziemi, 1 raz do: Alalemi, a 4 razy w rymie gramatycznym) pisownię **-emi** na wszystkie rodzaje, zgodnie z wymową, wskazaną rymem. Gdziekolwiek zaś u Mickiewicza w rymie zachodzą formy wyrazów na **-ja** itd., a takich wypadków naliczyłem 15 przy 4 tylko wyrazach (Marja 8, lilja 4, bestja 2, konfederacja 1), wszędzie poeta rozumie zakończenie to, które oznacza konwencyonalnie zwykle przez **-ya** (Marya, bestya, konfederacya, a tylko: lilija), jako **-yja** (**-ija**), a więc dwuzgłoskowo, a to samo jest u niego prawidłem w środku wiersza. Wynika z tego, że pisownia **-ja** u Mickiewicza i innych poetów, idących w tym punkcie zgodnie z nim, nie jest niczem usprawiedliwioną, bo wartość dźwiękowa **-ja** to nie **-yja** (**-ija**).

A zatem było przeciw czemu protestować.

We wrześniu 1909. *Dr. FRAŃCISZEK KRCZEK.*

---

*) Są to rymy bliźnimi: nimi (rodz. m. osob., Zdania i uwagi 93/4) i kroki chromémi: między nimi (Szanfary 11/12), które można rozmaicie rozumieć i tłumaczyć.

Nowe książki.

CZESŁAW POZNAŃSKI, Rzeźba francuzka XIX i XX wieku. 8a, str. 182, rycin 129. H. Altenberg Lwów 1909.

Rzeźba posiada wielki, nieprzeparty urok potęgi formy. Rozumieją ją i cenią tylko ci, co mają w sobie kulturę artystyczną, którzy w rzeźbie odczuć potrafią ruch i życie, barwę i wyraz, ci łakną jej i pragną rozkoszy duchowej, płynącej z bryły kamiennej, którą ożywił i uduchowił geniusz ludzki. Goethe ustawił u swego łoża kolosalną głowę Zeusa, aby od świtu mógł cieszyć oko Fidiasza dziełem, i pierwszą myśl swoją zwrócić ku klasycznej rzeźbie. Wiek XIX przyniósł ze sobą rozwój sztuki rzeźbiarskiej, — wielki, imponujący w swych przejawach, jakiego historya nie oglądała od czasu renesansu, od epoki Michała Anioła, która dała rzeźbie bytność samoistną. Świat cały, według słów Muthera, jest jedną prowincyą artystyczną, której stolica zwie się Paryżem. Ztąd promieniują ożywcze prądy na wszystkie strony, sięgają Polski i w naszem życiu artystycznem powstają dzieła ogrzane ciepłem francuzkiego geniuszu, acz indywidualnie pojęte. I słusznie autor powiada, że znajomość sztuki obcej pozwoli nam trafnie i bez uprzedzeń ocenić sztukę własną. Tę konieczność zaznajomienia społeczeństwa polskiego ze sztuką rzeźby francuzkiej omawia autor we wstępie i dodaje ciekawy szczegół o swej książce, że co się tyczy artystów żyjących, wywody jego są wynikiem licznych rozmów z samymi rzeźbiarzami. Blizkie z nimi obcowanie dało mu możność wniknięcia w sam proces powstania dzieła, wtajemniczając go w misterya ich sztuki. Sądzi on, że jest ono pierwszem usiłowaniem ujęcia bogatej twórczości rzeźbiarskiej XIX i XX wieku w ramy ogólnego poglądu, pierwszą próbą jej historyi. Nie jest to ostatnie twierdzenie całkiem słuszne, albowiem już pięć lat przed nim napisał Karol E. Schmidt: „Französische Skulptur und Architektur des 19. Jahrhunderts“. Co zupełnie jednak nie czyni ujmy dziełu polskiemu, gdyż niezatarte piętno oryginalności poglądów

mówi wyraźnie o zupełnej niezależności polskiego autora, który nie tylko chronologicznie, ale szerszem ujęciem tematu rzecz bardziej pogłębił.

Ale co więcej, wyborna znajomość literatury francuzkiej kazała naszemu badaczowi plastyki trzymać za tętno bijące ruchu umysłowości francuzkiej i wykazywać duchowy związek między jednym a drugim objawem. W ten sposób powstała książka prawdziwej i trwałej wartości. Dowiedziałem i nauczyłem się z niej wiele. Indywidualizm autora przegląda z jej kart, co również mu za zasługę policzyć należy, aczkolwiek nie z każdym jego punktem widzenia mógłbym się godzić. Przynosi z sobą jakiś świeży, bezpośredni powiew z Zachodu, który przyczyni się do ożywienia tej dusznej atmosfery, jaka dotąd jeszcze u nas wszechwładnie panowała. To otoczenie ohydnej modnej tandety w brzydocie której, jak trafnie mówi autor, prawie każdy z nas się wychowywał, zaniknie może, skoro książki tej treści, co niniejsza, znajdą popyt między polską czytającą publicznością.

Jeżeli jaki poważniejszy zarzut miałbym zrobić sz. autorowi, to ten jedynie dotyczyłby języka. Budowa ciężkich, długich okresów aż nazbyt częsta, germanizmy nierzadkie. Że autor w przyszłości opanuje językowe trudności, w to ani chwili nie wątpię; mówią o tem barwne ustępy i jędrne wyrażenia licznie napotykane w książce n. p. gdy mówi o przedstawicielu drugiego cesarstwa Carpeaux, lub gdy uniesiony zapałem opisuje artyzm Dalou, jego mistrzowstwo w uplastycznieniu ruchu.

Książkę wydrukowaną na kredowym papierze zdobią doskonale odbite ryciny.

LEONARD LEPSZY.

NADESŁANE DO REDAKCYI:

Iwo Płomieńczyk (Maryla Wolska): Dziewczęta. (Nakładem Towarzystwa wydawniczego. — Lwów 1909). *Duży zbiór nowel, z których dwie drukował „Lamus“ w zeszycie pierwszym i drugim.*

Szelągowski Adam: Z dziejów współzawodnictwa Anglii i Niemiec, Rosyi i Polski. (Nakładem Towarzystwa wydawniczego. — Lwów 1910).

Kleiner dr. Juliusz: Studya o Słowackim. (Nakładem Towarzystwa wydawniczego. — Lwów 1909).

Ghil René: Oeuvre I: Dire du mieux, I: L' Ordre altruiste (Paris A. Messein sucr. 1909 — éd. nouvelle).

Wiśniowski Józef: Święto poety. (Jubileuszowe szkice o Słowackim).

Lubecki Kazimierz: Sonety Polskie (Kraków 1908).

*

Sfinks. Miesięcznik artyst. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

Dilo. *Illustrowany miesięcznik poświęcony sztuce, wydawany przez Tow. „Jednota Umelcu Vytvarnych w Praze“.* Red. Alois Kalvoda *(art. malarz). Ostatni zeszyt niezwykłej objętości poświęcony jest sztuce polskiej.*

Slovansky Prehled. *Miesięcznik poświęcony sprawom słowiańskim w zakresie literackim, naukowym i politycznym.* Red. Ad. Cerny.

La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de littérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

*

Część druga — Wczoraj.



Rysunki sułtana Abdul-Azisa.

Myśl wprawdzie nie nową, ale ważną i jasno sformułowaną, wypowiedział Okakuro Kakuzo, wiceprezes stowarzyszenia malarzy japońskich, kiedy się wyraził, że sztuka jest niczem, jeśli nie jest wyrazem ducha indywidualnego. Tak jest istotnie; sama sprawność techniczna nie wystarcza, trzeba jeszcze, by indywidualizm twórczego ducha za jej pomocą się przejawiał, a to już rzecz trudniejsza, aniżeli samo opanowanie danej techniki, do którego drogą nauki dojść można. Ztąd też tak wielu mamy malarzy, a tak mało wśród nich artystów. Artista si nasce, non si diventa...

Takim artystą z urodzenia, któremu jednak miana malarza przyznać właściwie nie można, był Abd-ul-Azis, trzydziesty drugi sułtan Osmanów, drugi syn sułtana Mahmuda II. Kilkadziesiąt jego szkiców, przechowanych razem w albumie, mogłem przez czas krótki oglądać, dzięki pośrednictwu Redakcyi „Lamusa", i nie tylko oglądać, ale rzeczywiście podziwiać, gdyż zasługują na to w całej pełni owe drobne, pospiesznie wykonane rysunki, budzące ciekawość już samem egzotycznem swem pochodzeniem.

Autor ich, Abdul-Azis, nauki rysunku nigdy nie pobierał. Urodzony w r. 1830-ym, żył w zacofanem otoczeniu haremowem i tam też odebrał „odpowiednie" wychowanie, jakie zdaniem ówczesnych sfer pałacowych przystało dla wyznawcy Islamu i przyszłego spadkobiercy tureckiej korony. Kiedy w czerwcu 1861 roku wstąpił na tron po bracie swym, który panował jako Abdul-Medżid lat przeszło dwadzieścia, starał się Abdul-Azis ująć mocno ster całych rządów

nad rozległem państwem w swe ręce i rozpoczął od szeregu reform i pożytecznych innowacyi. Postanowił poprzestać na jednej tylko małżonce, a listę swą cywilną zniżył z 75 na 12 milionów piastrów. Mając rycerski temperament i krew dawnych słynnych wojowników w swych żyłach, zajął się armią gorąco; nie tylko wzmocnił jej szeregi i zreformował poniekąd rozluźnioną jej organizacyę, ale wprowadził nowe umundurowanie i lepsze uzbrojenie, bardziej odpowiadające wymaga-

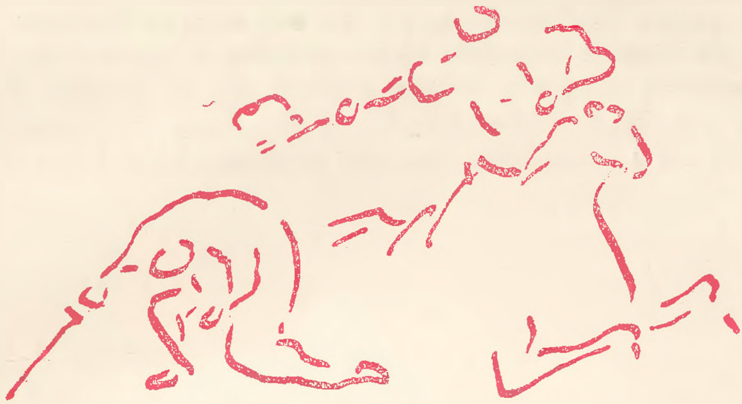


niom nowoczesnym. Z zamiłowaniem ogromnem urządzał wspaniałe polowania, a od czasu do czasu świetne manewry licznych wojsk swoich, które pochłaniały olbrzymie sumy, przekraczające o wiele najśmielsze nawet przewidywania budżetowe. Dając wyraz swym estetycznym dążeniom i pragnąc olśnić wschodnim przepychem, upiększał swą stolicę, przyozdabiał ją nowemi gmachami, starał się podnieść blask swej rezydencyi a przytem marzył ustawicznie o dawnej świetności swoich przodków, o minionej już potędze tureckiego państwa, które niegdyś w dziejach cywilizowanego świata odgrywało tak ważną a straszną i groźną zarazem rolę. Z czasem też w sułtańskim haremie przybywało coraz więcej pięknych niewolnic czerkieskich.

Potężnemu jednak i światłemu władzcy dokuczały coraz bardziej rozliczne pałacowe intrygi dworskich urzędników, wobec których czuł się poprostu bezsilnym. Marząc o wielkiej sile i wszechwładnej potędze, równocześnie czuł zacieśniającą się sieć intryg obłudnych; odczuwał je też Abdul-Azis coraz intenzywniej, a nie mogąc znaleść na nie żadnej rady, szarpał się bezskutecznie w swem osamotnieniu, aż wreszcie z końcem roku 1862 zaczął dostawać silnych ataków nerwowych, które przejawiały się w formie napadów wściekłości.

Nie licząc się zupełnie z obowiązującym tureckim zwyczajem, wybrał się w r. 1867 na powszechną wystawę paryską, zwiedził Londyn, spotkał się z pruskim panującym w Koblencyi i zabawił czas krótki w Wiedniu, a wskutek tej podróży po zachodniej Europie zaczął jesz-

cze usilniej przemyśliwać nad reformami, któreby dobrobyt i potęgę chylącego się do upadku państwa przecież podnieść mogły. Niestety jednak chlubnych swych zamysłów w czyn wprowadzić nie umiał i stan



finansowy coraz więcej pozostawiał do życzenia, aż wreszcie dnia 30 maja 1876 r. zmuszono go do zrzeczenia się tronu i osadzono jako więźnia stanu w pałacu Czyragan. W kilka dni potem, 4 czerwca tego roku, zginął, jak to później stwierdzono, zamordowany przez niewykrytych sprawców.

Z lat mniej więcej 1866—1870, a więc z czasu, kiedy sułtan Abdul-Azis nawet przeczuwać nie mógł smutnego swego końca, datują się jego rysunki, które powstały dzięki ścisłym stosunkom, jakie sułtan utrzymywał przez czas dłuższy ze Stanisławem Poraj Chlebowskim (ur. 1835 r. w Pokutyńcach, zm. w r. 1884 w Poznańskiem), niezwykle utalentowanym artystą polskim, malarzem świetnych pod względem kolorytu scen z życia Wschodniego i epizodów batalistycznych.



Sułtanowi, który w r. 1865 miał sposobność oglądać kilka obrazów olejnych St. Chlebowskiego, tak się owe płótna spodobały, że natychmiast zamianował go swoim malarzem nadwornym, dał mu szereg cennych zamówień i zaprosił artystę na mieszkanie do ślicznego swego pałacu Dolma-Bakcze, tuż nad uroczym Bosforem, gdzie kazał mu urządzić wspaniałe atelier malarskie, a nawet — rzecz jeszcze naówczas niezwykła — sam pozował mu do portretu. Wkrótce potem wykończył Chlebowski cztery obrazy historyczne, które spotkały się z najwyższem uznaniem ze strony Abdul-Azisa. Za-



chwycony niemi sułtan, kazał je zawiesić w swej sali tronowej, a wynagrodziwszy hojnie artystę, nadał mu jeszcze order Medżidje III-ej klasy.

Stosunki więc między Chlebowskim a sułtanem były jak najlepsze. Podobnie jednak jak Abdul-Azisowi, tak i artyście naszemu intrygi dworskie dobrze dawały się we znaki, do tego stopnia, że zniechęcony takim stanem rzeczy, a nadto okradany przez dworskich urzędników (z hojnych honoraryów sułtańskich dostawała się do rąk jego zaledwie cząstka), opuścił niezwykle światłego sułtana i w Paryżu potem kończył, zaczęty w Konstantynopolu, olbrzymich rozmiarów obraz, który miał przedstawiać wjazd sułtana Mahmuda II. do Konstantynopola. Przy malowaniu tej wielkiej kompozycyi spadł jednak w r. 1882 z wysokiego rusztowania i zmarł w dwa lata potem wskutek choroby, jaka się z tego powodu wywiązała.

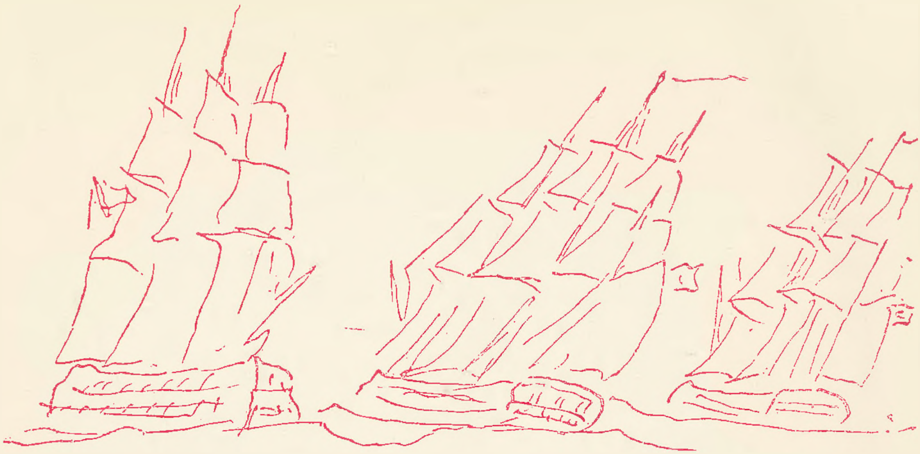
Tych lat jednak kilka, kiedy Chlebowski bawił przy boku sułtana, wystarczyło w zupełności do wykończenia całego szeregu obrazów, które, jakkolwiek tematem nam obce, chlubnie zapisały imię artysty



na kartach dziejów sztuki polskiej. Kilka z nich znajduje się w Muzeum Narodowem w Krakowie, cały ich szereg w posiadaniu rodziny przedwcześnie zmarłego artysty.

Podczas malowania zamówionych obrazów, zachodził Abdul-Azis często do pięknej pracowni St. Chlebowskiego i prowadził z nim niejednokrotnie dłuższe pogawędki artystyczne, roztaczał przed nim plany





i pomysły nowych kompozycyi, przedewszystkiem batalistycznych, gdyż te oczywiście dla sułtana największy przedstawiały interes, a nawet czasem własnoręcznie poprawiał szkice Chlebowskiego, kreślone przez niego ołówkiem do większych obrazów.

W albumie, o którym wspomniałem na wstępie, zachował się jeden taki rysunek Chlebowskiego, poprawiony przez sułtana. Jest to rysunek ołówkiem wykonany, oznaczony w jednym rogu sygnaturą artysty, przedstawiający defiladę zwycięskich wojsk tureckich przed wodzami, widocznie zaraz po odniesionym tryumfie. W kilku miejscach są uskutecznione ręką sułtana, czerwonym atramentem, małe poprawki, które jednak rzeczywiście wychodzą szkicowi temu na dobre. Tak np. większe pochylenie tureckiego proporca z księżycem i kilku jeźdźców na koniach, nadaje całemu oddziałowi wojska, kroczącemu na ostatnim planie, cech prędszego ruchu, obserwowanego z oddalenia.

Rysunek ten dowodzi, że Chlebowski pracował pod bezpośrednim wpływem sułtana i wspólnie z nim tworzył szkice do przyszłych kompozycyi. Stwierdza to również zachowany list jednego z urzędników Abdul-Azisa, który, poświadczając, że Chlebowski był malarzem nadwornym, nadmienia „...qu'il avait son atelier dans le Palais Impérial et qu'il travaillait sous la direction et l'inspiration du Sultan“ (list podpisany: Muzaffer, Maréchal, Aide de camp d. S. M. le Sultan, Gouverneur Général du Liban). W tem atelier Chlebowskiego powstały też owe szkice ręką sułtana skreślone, które zachowały się w liczbie 68, wraz z trzema kartkami zapisanemi w języku tureckim własnoręcznie przez Abdul-Azisa.

Łatwo też zauważyć można wybitne podobieństwo, jakie zachodzi



LAMUS - JE-
SIEŃ - 1909

między charakterem pisma tureckiego a śmiało i grubo zazwyczaj kreślonemi liniami szkiców sułtana. Szkice te tworzył sułtan w ten sposób, że siadał „po turecku“, owijał kartkę papieru na jednej ręce, a drugą, trzymając w niej trzcinę tępo zakończoną, umaczaną w czerwonym atramencie, rysował. Biały, dobrze satynowany papier, o nieznacznych prążkach, nosi markę wodną: Joynsons Improved Extra 1866. Rysowane na poczekaniu, pospiesznie, z myślą o artyście, który z nich miał korzystać, aby w ten sposób lepiej i dokładniej zrozumieć myśl sułtana i odpowiedzieć jego życzeniom, szkice te nie mają żadnej pretensyi do technicznej doskonałości, gdyż o to bynajmniej nie chodziło. Są to jakgdyby krótkie notatki stenograficzne, spisane w języku sztuki, malarzom całego świata, bez względu na ich narodowość, zrozumiałym. Środkiem, który służył tu sułtanowi do wypowiedzenia się, jest niemal wyłącznie linia, czysty kontur; szereg kresek, na pozór luźnie i bez wzajemnego związku ze sobą na papier rzuconych, składa się na te miniaturowe kompozycye batalistyczne. Przychodzi na myśl mimowoli sztuka japońska, a głównie Hishikawa Moronobu, który posługiwał się linią i kreską przedewszystkiem, przypomina się pisarz japoński z XVIII wieku Shuzan, który kontur stawiał ponad wszystkie inne sposoby tworzenia w malarstwie i rysunku.

Ideałem w sztuce, trudnym do osiągnięcia niezmiernie, jest wyrażenie pewnej treści zapomocą możliwie prostej, jasnej i nieskomplikowanej bez potrzeby formy. Abdul-Azis, którego nikt rysunku nie nauczał, ani mu reguł estetycznych nie dyktował, stanął ogromnie blizko tego ideału, dzięki szczerości, z jaką tworzył. Rysował to tylko, o czem ustawicznie śnił i marzył, co stanowiło główną treść jego życia psychicznego. I tworzył sułtan z radością prawdziwą i wielką, kiedy widział, że zapomocą rzeczy pozornie tak spokojnej i martwej, jak linia i kontur, może wyrazić coś tak żywego i ruchliwego, jak pęd galopujących koni z jeźdźcami, którzy tuż przed atakiem krzywą szablę do góry wznoszą i na wroga godzą, jak proporce szybkim i silnym podmuchem wichru targane, jak wiatrem wydęte żagle na okrętach wojennych i zwinnych łodziach, wiosłami niewolników gnanych po fali morskiej.

Znaczył więc linią i czystym konturem dwu jeźdźców w pościgu wojennym, oddziały godzącej na siebie lekkiej konnicy, ataki wojsk tureckich na obronne fortece, pędzących poprzez trupy ludzkie i końskie wśród chmur kurzawy i dymu, tak po mistrzowsku prawdziwie na niektórych szkicach jedną tylko, krzywą, wężykowatą linią zaznaczonych,

a tu i ówdzie notował sobie dorywczo całkiem kształt tylnych nóg końskich, odbijających się od ziemi w szybkim galopie, lub kilkoma kreskami szkicował rękę wzniesioną wraz z szablą do śmiertelnego ciosu, albo też wązką, cienką chorągiew, wijącą się wstęgą falistą wśród wiatru.

Prostota i szczerość, niezachwiana pewność ręki i śmiałość w kreśleniu tych szkiców, a nadewszystko nadzwyczajne poczucie życia i szybkiego ruchu, które z tych niewielkich rysunków z taką potęgą i siłą do widza przemawia, sprawiają, że te artystyczne fragmenty, stworzone z myślą o danej tylko chwili, dla jednego tylko człowieka, z równą intenzywnością zawsze na nieuprzedzonego widza działać będą.

Na tem też polega główne znaczenie i wartość artystyczna drobnych czerwonych szkiców, ręką nieszczęśliwego pod koniec życia władcy, sułtana Abdul-Azisa, skreślonych.

MIECZYSŁAW TRETER.



Z nieznanej spuścizny po Słowackim.

FRAGMENTA POEZYI I PROZY.

Powoli odnajdują się rozpierzchłe po świecie autografy Juliusza Słowackiego; poważną ich część udało się zebrać do zbiorowego wydania pism poety, które w roku bieżącym wspólnie z dr. Hahnem ogłosiłem. Niedawno znów otrzymała Biblioteka im. Ossolińskich we Lwowie zbiór autografów twórcy „Króla-Ducha"; przeważnie są to utwory już znane i drukowane po raz pierwszy bądź to przez prof. Małeckiego, bądź też przez redakcyę „Warty", ale są tam — prócz drobiazgów nieznanych — pierwsze rzuty poezyj i prozaicznych pism wielce ciekawe. Wszystkie te papiery ogłoszę w tomie dodatkowym do wydania zbiorowego; tutaj podaję dwa piękne urywki poetyckie i drobne notatki prozaiczne. Poezye pochodzą z lat po roku 1846, notatki zaś prozą przypadają również na ten czas.

BRONISŁAW GUBRYNOWICZ.

I.

. . . .

Król.

Cóż to za noc straszliwa — tu przez deszczu struny
Ciągle się pokazują — jakieś krwawe runy,
Tam nad Uralu grzbietem znikają pioruny
A niebo się przemienia w ogniach — jak smok stary
Lewijatan, który swoje kolory odmieniał
Na wietrze... jak latarnia... Grad zaciemnił drogę
Za mną — spnij ostrogami konia — czyś skamieniał?

4 znikają || (ciągle grzmią) *R*

Wódz.

Rznę mu bok... i cuglami ściągam... lecz nie mogę
Rzucić go na wiatr... podniósł kopyta i stoi.

Król.

Za mną w grzmot...

Wódz.

Wiatr mię porwał za hełm i wywraca.
Oczy mi grad zasypał i chłoszcze po zbroi.
Co to za krzyk?... Wiatr ustał — miesiąc się wyzłaca
I obłok czarny skrzydła ogniste rozwinął
I poleciał... jak szatan z błękitu zegnany.
Co to za krzyk był straszny, krwawy? — Czy król zginął?

Patrz — z konia jestem w burzy jak upior zerwany,
W piasek rzucony twarzą... straszne jakieś zjawy
Zaszły mi drogę... Patrzaj... czy widać to na mnie
Żem był tak potargany...

Jesteś cały krwawy.

Serce mi uderzyło w piersiach tak nikczemnie
Jak w tchórzu...

Czemu wtenczas przy tobie nie byłem?

W tym jest coś okropnego... krew mi ciekła z powiek,
Serce zadrzało we mnie jak dreszcz... i stchorzyłem.
Koń zwierzgnął mię — i krzyknął podemną jak człowiek,
Krzyknął — Jezu... i w ciemność poleciał... zwierzgnąwszy.

Królu mój —

Nie obcieraj krwi z mego oblicza
Jestem jak Saul...

II.

Nad Uralem ciągłe błyskawice, jak gdyby słońce nocne zapaliło się i trwało... | tu wiatr suchy i burza bez deszczu i bez gradu.

Pioruny ciągłe biją nad Kaukazem
I biją... gromy boże przez noc całą
Jak gdyby słońce się tam zapalało
W piorunów łonie — Widzisz — te trzy razem
Gwiazdy... w piorunach wbite gwozdzie złote,
Widzisz ten trójkąt... z gwiazd... Apolyonie...
Patrz... piorun Boży rozkrzyżował dłonie,
Rzekłbyś... że on chce znowu ciemnotę
Rozjaśnić krzyżem... jak dawniej... czerwonym;
Ale to przeszło już... przepadło w duchu...
Jedźmy...
Na złotym tam kiedyś łańcuchu
Był Prometeusz...
I sęp...
Nad straconym
Nimfy płakały...
A ty... złotym runem
Obrosły... z fałszu krwawemi oczyma
Coś czynił... kiedy cierpiało nad gminem
To serce...
Jam je roztrzaskał piorunem.
Chwała... litośnyś był... raz nad człowiekiem.
Jedźmy...
Stój... tam duch...
Gdzie...
Na twojej drodze.
Światły raz jeszcze do ciebie przychodzę.
Zlituj się jeszcze nad ludźmi — nad wiekiem
Nie kładź pieczęci...
Skąd jesteś?
Od Boga!
I przystoiż to wielkiemu Jehowie
Prosić — człowieka, który hełm na głowie
Nosi żelazny... kiedy burza sroga
Sił elektrycznych tyle — w ręku trzyma...

1 Kaukazem || (Uralem) *R.* 6 W piorunów łonie || (Jak smok — ognie) *R.* 10 Rzekłbyś że || (Jak dawny Chrystus) *R.* 16 Krwawemi oczyma || (okiem zyzowata) *R.*

III.

Glob to błyskawica.

Naprzód w ducha wchłonąć duch swiata — a potem cierpieć za swiat.

Metampsychoza, jak funt prochu dany dzieciom — a potem żołnierzom.

U m i z g — szatan polek.

Jak zły malarz chwiały swój obraz przed oczyma.

T h e m i s, satyra prawa.....

*

Pozdrawiam Panią.

Sługa dawny — i wierny — teraz szczęścia życzący — i spełnienia wszelkich nadziei.

Całym sercem proszę.

Strzeż Pani serca wielkiego — i panuj nad małościami w duchu prawdy i miłości.

Smutku mi ujmiesz, który mam [*autogr. uszkodzony*] wszystko co wielkie jest serdecznie — rosnąć nie chce —...*)

*

Charaktery.

Guta odmalował Rafael w obrazie transfiguracyi. — Kto go zna, ten pozna. — (Fałsz przykryty najrubaszniejszą otwartością).

N. chłopski duch — dobry — w gorącej organizacyi.

*

Wojaże obce.

Pani Kalderon w Mexyku — Cyprys Montezumy obwieszony mchu girlandami jak druid. — Kochanka Pizara Marina błąka się duchem w grotach pałaców kacyków... Hiszpanie lubieni — kobiety w brylantach — Santa Anna smętny i zamyślony, ambitny, bez nogi, w wiejskim pałacyku... Bustamente jego współzawodnik przy władzy — pospolitej postaci i leniwy w myślach... wszystko z wielką rozwagą przedsiębierze i wykonywa. — Dawny gubernator (anegdota). Sąd nakształt Sancho Pansy — kupiec zaparł się zastawionej szkatułki z dyamentami... gubernator spytał się, czy zażywa tabakę — i przyzwawszy go do siebie prosił o tabakierkę — i tę posłał żonie, niby

*) Jestto ołówkiem nakreślony brulion listu — prawdopodobnie do pani Bobrowej.

od męża, z poleceniem, aby szkatułkę, opisaną przez kobietę skarzącą, oddała — jakoż przyniesiono ją — a skarząca obaczywszy krzyknęła, że oto są jej kamienie, choć ją gubernator między innemi skrzynkami pokazał. — Tenże sam gubernator za zbójcą pędząc konno wpadł za nim do kościoła i przy ołtarzu zaaresztował, za co od księży oskarzony. (Opis pokuty). Mężczyźni w czarnych płaszczach w ciemnym kościele, gdzie tylko Chrystus oświecony — potem gaśnie i to światło a ksiądz opowiadający mękę krzyczy: *i ubiczowan był.* Na to słowo wszyscy zaczynają się do krwi bić w ciemnościach.

*

WARYANTY Z KRÓLA-DUCHA I BENIOWSKIEGO.

Mam przed sobą parę kart autografu Słowackiego, będącego własnością Pani Maryli Wolskiej we Lwowie. Są to fragmenta „Beniowskiego", „Króla-Ducha" i wiersza p. t. „Uspokojenie".

Podaję niżej wszystkie niedrukowane dotąd części tych fragmentów, któreby czytelnika Lamusa zainteresować mogły. — O ile chodzi o to, aby żadnej myśli poety nie stracić, i kolejne następstwo tych pomysłów w twórczości wyraźnie uwydatnić, należy inną obrać metodę niż przy rekonstruowaniu jednolitej organicznej całości większego tekstu. Metodę tę, którą tu zastosuję winienem bliżej objaśnić. Przedewszystkiem uważam że notowanie przez wydawcę przekreślenia samego w dopiskach bez bliższych informacyi choć ma może pewną wartość, jednak nierównomierną w stosunku do trudów odcyfrowywania rękopisu i niezaoszczędzania miejsca. Czytelnik przeciętny z tego nie będzie korzystał, a badacz któryby tok myśli poety studyował i tak musi do rękopisów zajrzeć. — Należałoby zatem obrać taką metodę, którąby i przeciętnemu czytelnikowi uprzystępniała dążenie za każdą myślą poety, a zarazem badaczowi zastąpiła posługiwanie się rękopisem. Zaznaczenie odmiany w przypisku nie daje jeszcze wrażenia k o l e j n o ś c i myśli poety. Przekreślenie każde, pozornie takie samo, bywa różną pobudką kierowane. 1° Przedewszystkiem ważnem jest kiedy przekreślenie nastąpiło, bezpośrednio po napisaniu wyrazu, czy też póżniej. Na to z wyjątkiem nielicznych wypadków może wydawca prawie zawsze odpowiedzieć. Dowodzi tego sens całego zdania następującego po wyrazie, częstokroć rytm i rym, dowodzi tego w dalszym ciągu sposób nadpisywania nowych wyrazów (u Słowackiego zwłaszcza decyduje to, czy nowy wyraz nadpisany zbiega póżniej do linii, czy nie, oraz czy odpowiedni odstęp jest między wyrazem skreślonym a dalszym ciągiem wiersza, czy też między wyrazem nadpisanym a dalszym ciągiem). 2° Ważnem jest między kilku odmianami skreślonemi jednego wyrazu, czy też zdania, chronologiczne następstwo odmian. To również prawie zawsze da się zbadać, i to przedewszystkiem: w całych wierszach odstępami międzywierszowemi, w poszczególnych wyrazach odstępami poszczególnych odmian. — Natomiast 3° obojętnym jest faktyczny wygląd

rękopisu, o ile logiczne jego znaczenie zostało przedstawione. Ponieważ n. p. poeta zastępując wyraz skreślony nowym wyrazem, musi objąć dźwiękowy związek jego z całym wierszem, przeto dla poprowadzenia czytelnika śladem myśli poety, należy cały wiersz powtórzyć, o ile zaś skreślenie jednego wyrazu pociąga za sobą ze względu na treściowy związek skreślenie równoczesne drugiego wyrazu w poprzedniem zdaniu czy wierszu, co zmienia sens całego zdania, należy cały ów okres rytmiczny i treściowy powtórzyć. Nazywam te pierwsze myślowe czy dźwiękowe próby zapędami. — To są zasadnicze motywy kierujące moją metodą. Uwydatniam je w ten sposób: Kiedy zapęd obejmuje więcej nad jeden wiersz podaję go w tekście, kiedy zaś mieści się w jednym wierszu, podaję go w przypisach. O ile pierwszy taki zapęd kilkowierszowy rozprasza wrażenie całości jakiejś zwrotki, wtedy dla ułatwienia czytelnikowi, podaję go kursywą, (zaznaczam zatem że kursywa nie ma tu jakiegoś odrębnego znaczenia). Aby więc praktycznie ująć tę metodę — należy w czytaniu postępować tak: przy każdej następnej cyfrze rzymskiej na marginesie należy skreślić w myśli ustęp oznaczony cyfrą rzymską poprzednią, a doczepić wątek następnego ustępu do ostatniego wiersza przed skreślonym w myśli poprzednim ustępem. Tak samo należy postępować odnośnie do podanych na marginesie cyfr arabskich i liter.

M. P.

*

Beniowski.

(Pieśń VII — początek).

Arkusz cienkiego papieru bez znaków wodnych wys. 25·9 cm, szer. 20·9 cm. Pismo drobne, naogół dosyć wyraźne, po dwie kolumny na jednej stronie — przeciętnie po 5 oktaw w kolumnie. — Rękopis cały podzielić można na cztery części: Część Isza obejmuje strof 17. Zaczyna się od wiersza: „Łzy strąca z oczu i klnie — a tymczasem“ — a kończy się na wierszu: „Oczy błyszczące jak żar — z pod rycerza. — ...“ Ta część rękopisu prawie na czysto pisana, gdzieniegdzie tylko widzimy wyrazy przekreślone i zmienione. Niema również większych, scilicet ogólniejszych skreśleń przez całe strofy. Tę część rękopisu drukował Małecki w wyd. pośmiertnem (1866) (t. II str. 29—33). Za wydaniem Małeckiego poszedł Gubrynowicz (t. III str. 189, w. 33—168). Ponieważ Gubrynowicz notuje że pieśń VII drukował według autografu użyczonego mu przez Małeckiego — z wyjątkiem wierszy 33—200, których w rękopisie brakło, przeto widocznie Małecki użył do pierwodruku niniejszego autografu, który był jego własnością, a zawiera właśnie brakujące części rękopisu. Na podstawie tych 17 strof autografu, należy w druku Małeckiego i Gubrynowicza poprawić: w. 115 (wyd. G.) zam.: *na igłach z lodu* ma być: *na igłach lodu*, w. 116 zam.: *duch swoję wyobraźnię* ma być: *duch moją wyobraźnię* w. 138 zam.: *serc stroskanych* ma być: *serc strzaskanych*, zresztą (prócz interpunkcyi) druk zgadza się z autografem. — Jako część 2gą rękopisu oznaczam kilka przekreślonych później ręką poety pomysłów, zaczynających się od tego samego wątku znajdującego następnie wykończenie w dalszym ciągu rękopisu, nieprzekre-

ślonym, który to dalszy ciąg oznaczam jako część 3cią. Część ta obejmuje 4 strofy, a zaczyna się od wiersza: „Siodła dziś takie w modzie — oraz z czaszek“ i kończy na połowie przedostatniego wiersza strofy czwartej: „Oszlifowany....“ Część tę drukuje Małecki i Gubrynowicz (w. 169-200). Prócz braku waryantów poszczególnych skreślonych wyrazów (i interpunkcyi), nie różni się druk niczem od rękopisu. Część 4ta zawiera kilkanaście pełnych i niepełnych strof, jak to poniżej widać, przekreślonych później ręką poety, który (jak to widzimy z druku Małeckiego i Gubrynowicza) powraca w dalszym ciągu rękopisu do wątku opuszczonego na ostatnim wierszu części nieprzekreślonej (3ciej).

cz. 1sza
(17 strof. Gubr. w. 33—168)

Łzy strąca z oczu i klnie — a tymczasem
   Potocki wielką gotuje wyprawę.
. . . .

. . . .
Człowiek co takie podroże ogromne
   Odbył... ten musi jezdzić jak ballada
Na upiorowym koniu.... siodło skromne
   Dwie kości na krzyż... a tam gdzie się siada
Mała czaszeczka ludzka.... co wyszczerza
Oczy błyszczące jak zar — z pod rycerza.—...

cz. 2ga

I

Sądzę... że takie fantastyczne siodło
   Za wszystkie, bardzo nagłe przenosiny
Odpowie. — Jednak bardzo mnie ubodło
   Że katolicki dziennik.. jak na drwiny
Angielskie daje moim rymom godło
   I przerażeniem już na twarzy siny...
Exorcyzmować chce we mnie....

II

Sądzę że takie fantastyczne siodło
   Za wszystkie moje nagłe przenosiny
Odpowie.... będąc jak morał i godło
   Powieści.... Rycerz więc moj z Ukrainy
1. W Krymie... a co go do Krymu zawiodło
   Już wiecie... Gdybym nie patrzał na czyny
A więcej dbał o sławę i o nowość
Zarazbym krymską opisał miejscowość

---

w. 1: 1szy zapęd: *Sądzę że takie siodło* | w. 5: 1szy zapęd: *Angielskie daje protestanckie* | w. 7: 1szy zapęd: *Z kropidłem.*

Jasne jak turkus niebo... brzegi złote...
Gory szafirem ciemne i purpurą...
Na srebrnych falach kołysaną flotę...
a. *Xiężyc na nowiu co jak srebrne pióro*
Na Czatyrdachu stał
b. Na Czatyrdachu srebrno jasne pióro
Xsiężyca.... lecz ja lubię rzecz — istotę
Człowieka... z całą gotycką strukturą
Jego cielesnej anatomii. — Boży
Twór, kiedy nozdrza zapału otworzy

Na krew uczutą gdzieś... i wicher czynu
Czuje zdaleka —

2. Ktorego wielkie przeznaczenie wiodło
Do Krymu, w lesie napotkał Litwiny
Dwoch było — trzeci Perkunas — a czwarta
Sarna na roznie ze skóry odarta.. —

III. Siodła dziś takie w modzie — oraz z czaszek
Robione w modzie są dzisiaj puhary

cz. *3a* (4 strofy Gubr. w. 169—200)

. . . .

. . . .

Każda z tych moich strof jak blady topaz
Oszlifowany.

cz. *4a* Pan Kazmierz... dąży więc... stępo i kłusa
Do Krymu... do tej czarownej krainy
Gdzie niebo jako z jednego turkusa
Może z szafiru — z szmaragdów doliny
Gdzie w murach wabi nie jedna pokusa
A z kobylego mleka.... są festyny

---

w. 16: 1szy zapęd: *Jasne i turkusowe* (?) *br* (?) | w. 20: 1szy zapęd: *Na Czatyrdachu wahał się* | w. 24: 1szy zapęd: *Anatomii* ×××××× *kości — nerwów...* | w. 25: 1szy zapęd: *Twój* | w. 3: 1szy zapęd: *Gdzie niebo jest* | w. 4: 1szy zapęd: *A ziemia* (Może zapewne w omyłce napisano: *Może)* | w. 5: 1szy zapęd: *Gdzie w murach płacze nie jedna pokusa* | w. 6: 1szy zapęd: *Za żelaznemi w drzwiach i oknach szyny,* 2gi zapęd: *Żelazne w oknach przeklinając szyny...,* 3ci zapęd: *Której żelazne w oknach strzegą szyny.* (Nie ma zupełnej pewności czy 3ci, czy też 2gi zapęd jest wcześniejszy; przypuszczenie opieram na tem że 2gi jest nadpisany nad tym, a Sł. zwykle n a d przekreślonem słowem, czy zdaniem pisał nowe; — 3ci zaś dopiero z powodu braku miejsca jest p o d 2gim).

A w piaskach wojska wielbłądzich szkieletów
A gory wszystkie mają kształt sonetów

Gdzie Kikinejs i Czartyrdach.... sterczą....
Ogromne jak dwa tomy in oktawo
Romansu — prozą pisane morderczą....
Z dezinwolurą ogromną i wprawą. —
a. *Góry które tak gorują nad Czerczą...*
Moją rodzinną: jak
b. Gory gdzie orły zagnieżdzone skwierczą
Z jakąś ogromną zaniebieską wrzawą
Gdzie gromy drzemią w kolebce z obłoków
I tęcze wiszą — na szarfie potoków....

1. Gory... O! gdybym był w Krymie przed laty
Inaczej sławiłbym cię... Czatyrdachu
I Kikinejsie. — byłem ja bogaty
W myśli koloru pełne i zapachu
Dziś nadszargałem trochę mojej szaty
Anielskiej...

2. Gdzie jezdziec, albo nie jezdziec.... poeta
Swój rozum, mułom powierzywszy skalnym
Zamyka oczy....

3. Gdzie jezdziec rozum swoj powierza osłom....
I spokojniejszy jest... zamknąwszy oczy....
Niż... ja co wierzę sejmowi i posłom...

4. Gdzie jezdziec rozum swoj powierza mułom
I tak spokojny jest... i spokojniejszy

---

w. 9: 1szy zapęd: *Gdzie Kikinejs i Czartyrdach...., stoją....* | w. 12: 1szy zapęd: *Ktore aby przejść........*, 2gi zapęd: *Na ktore aby wejść* | w. 13: 1szy zapęd: *Gdzie pielgrzym m* ╳╳╳ | w. 15: 1szy zapęd: *Gory gdzie orły dzikie zawsze skwierczą* | w. 17: 1szy zapęd: *Gdzie gromy wiszą* | w. 18: 1szy zapęd: *I tęcze wiszą na szarfach potoków...* | w. 20: 1szy zapęd: *Inaczej sławiłbym cię... Kikinejsie* | w. 21: 1szy zapęd: *I Czartyrdachu* | w. 25: 1szy zapęd: *Gdzie jezdziec, albo pielgrz*, 2gi zapęd: *Gdzie jezdziec, albo nie jezdziec — poeta*, 3ci zapęd: *Gdzie jezdziec, albo człowiek choćby wieczny* (zupełnie pewnem nie jest czy zapęd 3ci, czy też podany jako ostateczna redakcya w tekscie jest ostatnim) | w. 26: 1szy zapęd: *Powierzyć musi rozum mułom skalnym*, 2gi zapęd: *Swoj rozum mułom zupełnie powierzy* | w. 28: 1szy zapęd: *Gdzie jezdziec rozum swój powierza mułom* | w. 29: 1szy zapęd: *I spokojniejszy... jest niż filozofa* (?) | w. 32: 1szy zapęd: *I tak spokojny jest... jak* |

Niż bogacz... który zaufa szkatułom
Albo polityk....

5. Pod kolebkami gromów i przez bramy
Tęcz... co na srebrnych leżą kaskad włosach
Jedzie Pan Kazmierz.... i ci ktorych znamy
Litwini....

6. I pod łukami tęcz... już się przesuwa
Moja dziwaczna krymska ambasada....

7. Własnie... pod bramą jednej z tęcz... przechodzą
Rycerze... mojej krymskiej ambasady. —

8. Pod jedną z takich tęcz — co przeleciała
Kolorowemi skrzydłami parowy
I nad wąwozem.... swe arkady miała
a. *Potok... i cytryn złotorodnych głowy*
Pod sobą.... Własnie
b. A w dole potok, wąwoz... i palmowy
a. *Las... Własnie wtenczas jak pisała*
Kronika z ktorej czerpię...
b. Las... Takich arkad Syrja pełna cała
A wszystkie smiałe [?] boskiej są budowy
a. *Stawiane smiało z architektoniczną*
Prostotą
b. Bo je anieli Boscy ciągle klecą
Dla dusz, co idą do nieba i lecą...

9. Tak piękne i tak wabiące — że czasem
Pędziłem prosto na nie mego konia

10. Pod jedną z takich tęcz.... właśnie przechodzą
Rycerze moi.... dziwnie upiększeni
Sądzę ze pieśni mojej nie zaszkodzą
Skrzydlate konie i mosty z promieni...
W kraiu gdzie stare pomarańcze rodzą
Gdzie się rozowy laur z cytryną żeni. —

---

w. 37: Iszy zapęd: *Jedzie Beniowski* | w. 42: Iszy zapęd: *Rycerze mojej ambasady* | w. 52: Iszy zapęd: *Pełna.... a wszystkie* (we w. 51 *pełna* jest wtrącone później, co pociągnęło za sobą że wyraz ten w w. 52 musiał być skreślony) | w. 53: Iszy zapęd: *Trwalszej i śmielszej*, 2gi zapęd: *Architektury śmielszej* | w. 61: Iszy zapęd: *Naprzód Beniowski jechał.*

a. *Gdzie mój bohatyr... jeśli Bóg pomoże...*
Ożeni serce swe...
b. Gdzie moj bohatyr... zapowiadam z góry...
Musi mieć bardzo wschodnie awantury...

A jednak patrzcie... nie na miłośnika
Wygląda... wychudł w podróży nieborak,
Koń jego także często się potyka....
I tak się kłania niziutko jak dworak
Kamieniom... szkapa niegdyś była dzika
Jak Mahometa cudna klacz Elborak
Godna rycerze dźwigać i proroki
Teraz policzyć mozna palcem, boki. —

Minął czas... poselstw... dawnych złotokutych
Wychudły mego koń ambasadora
Idąc po drogach potokami psutych
A jako wiecie idąc nie od wczora....
Ni podków ani rzędów nie miał sutych...
I był podobny do konia upiora...
Widząc jak słania się, i często szłapie
Beniowski pieszo szedł folgując szkapie...

a. *I tak z wąwozu ciemnego wychodzi*
Pieszo za sobą ciągnąc — ow to szkielet
I b. Za nim wyjezdza ambasador drugi
Litewski Xięcia pana Radziwiła...
Był to ów Litwin ktory z pod kolczugi
Wyglądał... rzesko... i pił wódki siła...
Perkunas człowiek do wszelkiej posługi
Ktora Litewskich władz nie przechodziła
Kucharz.. czasami.... dziś siedział przed Panem
Na koźle... i wiozł z kozła — karabanem....

---

w. 65: Iszy zapęd: *W,* 2gi zapęd: *Gdzie... pod tęczami... mowię...,* 3ci zapęd: *A grób Potockiej... pod fontanną złotą* | w. 66: Iszy zapęd: *Utraci serce* | w. 72: Iszy zapęd: *Chudy jak szkielet koń* | w. 77: Iszy zapęd: *Minął czas... posły* (?) | w. 81: Iszy zapęd: *Stracił... żelastwo* | w. 86: Iszy zapęd: *Na dzień... a tęcze jak urągowisko...,* 2gi zapęd: *Pieszo za sobą prowadząc rumaka...* | w. 93: Iszy zapęd: *Kucharz.. na stepie.*

1. Przez perspektywę więc, moją co zmniejsza
Lecz [?] pokazuje wyraźnie przedmioty
Widzę... jak jedzie wozem pan Borejsza
Przebywszy wielkie w podroży kłopoty
Spiżarnia jego... była stokroć lżejsza
W×××××× tylko liść.... pozostał złoty...
A nektar... już się.... gdanski wylał wszystek
Zostało po nim wspomnienie! i listek....

a. Ten listek.. czułość mię jakaś napada
Jak gdybym pisać miał do imionnika
O listkach i o wspomnieniach....

b. Listek zwiędłego złota o! niestety
Gdzież wy jesteście dni młodości, czucia...
I kwiatów jasnych tak pełne bukiety!
Gdzie wy....

2. Przez perspektywę więc moją co zmniejsza
Lecz pokazuje wyraznie... i czyści
a. *Ze mgły... jak gdyby wcale nie dzisiejsza*
Soczewka — niech mi to przebaczą mgliści
Poeci.... Widzę... jak Litwin Borejsza
b. Ze mgły — soczewka wcale nie dzisiejsza)
Niech mi poeci to przebaczą mgliści)
Widzę — jak wozem jedzie pan Borejsza
a. *Przy uśmiechaniu się palmowych liści...*
Ktore
b. Pod bramą tęczy — śród palmowych liści
Ktore pomiędzy sobą... jak dziewice
Szepcą.... że widzą Farysa na bryce

a. Jeszcze na jakiej bryce... czarną skórą
Obbita... jakby na miarę korabla...
A z jednej strony wielką patrzy rurą

---

w. 96: 1szy zapęd: *Ale,* 2gi zapęd: *Lecz pokazuje nadzwyczaj wyraźnie,* 3ci zapęd: *Lecz pokazuje wyraźnie i czysto,* 4ty zapęd: *Lecz pokazuje wyraźnie nadzwy*(?) | w. 98: 1szy zapęd: *Tak się nażywał*(?), 2gi zapęd: *Ubrany dotąd* | w. 100: 1szy zapęd: *Niż jezuickie sumnienie* | w. 103: 1szy zapęd: *Uwiędły listek....* | w. 112: 1szy zapęd: *Ze mgły... rzecz wcale* | w. 122: 1szy zapęd: *Szepcą.... ujrzawszy Farysa na bryce.*

Strzelba... a z drugiej dzida albo [?] szabla...
Z przodu... z dwojaką fartych czarny dziurą

Tu S. widocznie zaniechał całego ustępu od wiersza 59 i na nowo (po raz IIv) ten wątek podejmuje, lecz skreśliwszy je znowu wraca do poniechanego ustępu

Pod jedną z takich tęcz ktora w przelocie
Parowom ciemnym zrobiła sklepienie...

b. Tu jezeli moj czytelnik pozwoli
Muza już sobie wiele pozwoliła
Wiele — zanadto już wiele... atoli
Do czytelnika się zawsze odsyła
Po sąd....

II Za nim jechali ambassadorowie
Litewscy... ktorym się czytelnik dziwił
Ujrzawszy w polu przy ciemnej dąbrowie
Przy ktorych głodny się rycerz pozywił...
Vide... pieśń V. — Jeden miał na głowie
Hełm... drugi czapkę... obu pan Radziwił
Wysłał.... do Krymu.... w poselstwie do Kana...
Jak rzecz w archiwach stoi opisana. — —....

w. 126: Iszy zapęd: *Strzelba... a z drugiej dzida sterczy z szablą...* | w. 127: Iszy zapęd: X X X X | w. 136: Iszy zapęd: *Litewscy... ktorych już czytelnik wid* | w. 138: Iszy zapęd: *Vide... pieśń V.—* | w. 141: Iszy zapęd: *Wysłał... do Krymu.... w politycznej sprawie,* 2gi zapęd: detto (?) | w. 142: Iszy zapęd: *A rzecz w archiwach dawnych opisana.*

*

Król-Duch.

I.

Dwie kartki papieru tęższego wys. 23 cm., szer, 17·8 cm., zapisane po obu stronach pismem cokolwiek silniejszem, wyrazistszem i nieco większem niż autograf Beniowskiego. Tekst drukowany w wydaniu Małeckiego (1866) str. 225—229 (Rapsod trzeci, pieśń III, strofa XXI—XXXIV). Gubrynowicz w tekst tej części rękopisu nie włączył, lecz podał w „Odmianach tekstu" (str. 428). Rękopis ten jest widocznie częścią rękopisu znajdującego się w Bibliotece Ossolińskich, gdyż Gubrynowicz notuje, że z powodu braku kart 52—53 (a tak właśnie znaczone są te karty) ustęp ten drukuje według odpisu z Biblioteki Dzieduszyckich.

Myłki druku:

Strofa XXIII w. 4 (Gubr. w. 28): Małecki podaje mylnie wyraz *debry,* ma być *żyta*, Gubrynowicz za nim prawdopodobnie idzie, dając w nawiasie obok wyrazu *debry* wyraz *żyta.*

Strofa XXX w. 6 (Gubr. w. 86): Małecki podaje mylnie *Chciałaby uśpić,* Gubrynowicz zgodnie z rękopisem poprawia *Chciała aby spał.*

Ponieważ zresztą rękopis z wyjątkiem drobnych zmian pod przekreśleniami jest zgodny z drukiem, podaję tylko nieznaną pierwszą redakcyę początku strofy XXXII

On szedł.... Z podziemia — z nocy — i z oddali
I z widnokręgu — naprzod ognik mały
Potem ognisko z powietrznych korali
I złota... potem jak pożar wspaniały
Szedł...

II.

Jedna strofa Króla-Ducha wykrojona widocznie z większego rękopisu, niewiadomo do którego Rapsodu należąca, ofiarowana pani W. M. przez Kornela Ujejskiego:

Kiedy ton lasy i ziemie porywał
I po mgłach toczył się — jak straszne grzmoty
To krąg słoneczny z ziemi wylatywał
I brzmiał jak wielki — brzmiący obręcz złoty
Ze skał się dziwny chorał wydobywał
Inny kamienny ton szedł z każdej groty
Z każdej kamiennej groty chorał inny
Czysty — jak dziecko zywy — i niewinny

W. 2: 1szy zapęd: *I mgłami* | w. 5: 1szy zapęd: *A miesiąc wschodził zdziwiony,* 2-gi zapęd: *A miesiąc niby zdziwiony przybywał* | w. 6: 1szy zapęd: *Inny ton z każdej.*

*

W Sztambuchu Z. R.

I.

Wszyscy Cię Pani w hart chcą zbroić męzki
I błogosławią do cierpień i boju. —
Ja Pani życzę szczęścia i spokoju,
Przyjazną dłonią zażegnywam klęski.

Życzę, by Pan Bóg wiotkie twoje kroki
Spokojną powiódł, bez cierni drożyną,
Życzę, by Anioł Stróż Twój jasnooki
Skrzydłem zmiótł chmury, co nad Tobą płyną.

Życzę — bo walki nierównej się boję
Słabej dziewicy z dziką burzą losów;
Życzę — bo chciałbym, aby oko Twoje
Świeciło ziemi obrazem niebiosów.

Życzę — bo szczęście szlachetnych nie psowa,
Jak słońce wiosny wonie w kwiatach budzi;
Życzę — bo chciałbym, byś wiosną różowa,
Stała nam wonna wśród świata i ludzi.

Bo wiem, że w duszy cicha i spokojna
Po burzach losu skroń podniósłszy białą,
Błogosławionem działaniem dostojna
Chlubą Ty naszą zostaniesz i chwałą.

Bo wiem, że szczęście żadne tego świata,
Wielkiego smutku z duszy Twej nie zmiecie,
Że prawe, smętne, Wielkiej Matki dziecię
Nigdy żałobna nie opuści szata.

Ale tym smutkiem miłosnym natchniona,
Wtajemniczona w myśli naszej głębie —
Wśród orlich skrzydeł skrzydła Twe gołębie
Świecić nam będą na drodze — gdzie Ona. —

We Lwowie 1862. *JÓZEF SZUJSKI.*

II.

Są szczęśliwi, co mogą słowa pożegnania
Kreślić na listkach róży lub konwalii wonnej —
Ich nie trwożą o przyszłość tych kwiatów pytania,
Bo są pewni pamięci jasnej i dozgonnej.

Lecz ja któremu w ręku każdy kwiat się kruszy,
I jasne listki koron lada wiatr rozgania,
Niemam dosyć błękitów i pogody w duszy,
Bym mógł słoneczną myślą błysnąć w dzień rozstania...

Dlatego nic nie życzę widząc postać jasną,
Co ma czystych błękitów i światła tak wiele,
Że może innym świecić gdy w ciemnościach gasną;

I nic nie mogę znaleść w swej duszy popiele
Godnego jej wspomnienia, więc szarpiąc pierś własną,
Wywołując Ojczyzny widmo — niem się dzielę.

We Lwowie 1870. *ADAM ASNYK.*

III.

Księga otwarta — to dusza otwarta —
I serce czyste, tak jak biała karta
Niczego jeszcze w życiu się nie lęka
Póki je trzyma miłościwa ręka.
Więc czego życzyć i sercu i karcie
Gdy przyjdzie z losem i ze światem starcie? —

Aby duch czysty ślad po karcie znaczył,
A Bóg na sercu i karcie żywota,
Aby to tylko sam wypisać raczył:
Czem w Bogu serce — w życiu stoi Cnota...

1860 — w Humieńcu. *WINCENTY POL.*

IV.

Ciebie chcą ściągnąć na ziemię
Nitko z przędzy Matki Boskiej;
Na tobie chcą wieszać brzemię,
Walk powszednich marne troski.

Ty wij się dalej błękitem
Ponad nasze smętne wody,
Ponad biednych ludzi żytem —
Zwiastunko długiej pogody!

Ty wij się dalej nad nami,
Biała, lśniąca w ciągłym locie —
Czasem się uwieś myślami
Na moim samotnym płocie.

Nazwą Ciebie pajęczyną,
Lecz ja, człowiek z prostej wioski
Wiem, że jesteś nad krainą
Śliczną przędzą Matki Boskiej!

KORNEL UJEJSKI

Z listów Artysty

(„Wojna“).

II.

5 września Środa o 11tej wieczór.

...Co to będzie z tego wszystkiego co mi się po głowie marzy, to nie wiem? — Czy coś w końcu, jak po burzy, wypłynie na spokojne lustro bezdennego morza fantastycznych domysłów i przypuszczeń moich? Czy wreszcie doczekam się tej radosnej chwili, w której idąc długo i długo za złotą nitką marzenia, w końcu doszedłszy do kłębka zawołam uszczęśliwiony: Mam — już go mam — już on moim! — Ach gdybym przewidział jaki los czeka w przyszłości wszystkie moje obrazy, które ja w duszy jedne już utworzył a drugie już przeczuł?!

. . . .

...Słuchaj...: — Wszak czytałaś Dantego? — Wszystkie i okropne i cudowne obrazy jego Komedyi, jeszcze żywo stać Ci muszą w pamięci — więc przeczuwasz ważność tego dzieła dla dzisiejszej ludzkości a cóż dopiero dla swojego wieku. — A gdyby dziś Dante z grobu powstał albo duch jego narodził się po raz drugi i tak samo zawołał do ludzkości?... A gdyby tym drugim Dantem [być]?!... doprawdy byłoby waryactwem coś podobnego tak obcesowo o sobie wypowiedzieć — a cóż za niemądrość w podobne słowo uwierzyć? — Nie.... [piszący] się tylko w żarcie z Dantem porównał, ale to zrobił dlatego, bo przedmiot który sobie wybrał na teraz, radbym w obrazach zupełnie podobnie obrobić — jak to w słowach Dante uczynił. — Dante-Filozof, przejął się myślą swoją, mając na celu Włochów, rodaków

swoich, słowem gorzkiej prawdy do opamiętania się pobudzić. Poematem swoim zamierzył on nietylko rozprzęgnięte wówczas stosunki socyalne, ale nawet podupadającą ogólnie moralność, podźwignąć i poprawić. Obrał sobie za zadanie nie boskiemi ale ludzkiemi zupełnie usty, nie z przebaczeniem w duszy, ale z całą żółcią i nienawiścią zwyczajnego śmiertelnika powiedzieć to, o czem nas już od 15tu wieków nasza religia pouczała. To wszystko było w planie jego i wszystko to wykonał. Było to jednem z najświetniejszych zadań jakie sobie kiedykolwiek Artysta do wykonania obrał i dokończył... Oto w kilku zarysach o tem co Dante zrobił a teraz w ten sposób o tem co [ja zamyślam]: — Wojna i Wojna! — Wojna dynastyczna. — Czem ona się stała dla ludzkości o tem mówić nie potrzeba. Krótko powiedziawszy: Plaga dzisiejszej ludzkości, najobrzydliwszy zabytek średnich wieków — żywioł, którym się wszyscy brzydzą i przed którym jak najdalej uciec by pragnęli a przecież taki, który do dzisiaj w nas samych żywimy i cierpimy. Dużo o tem pisano ale przecież nigdy nie malowano. Kontentowano się na przedstawieniu pojedynczych oderwanych momentów, które są już ostatecznym wynikiem i skutkiem, poprzedzających je nieochybnych katastrof. Przedstawiono straszną i okropną bitwę lub rzeź, ale nikt jeszcze nie postawił obrazu wojny przed oczy biednych ludzi z takiem wrażeniem, jakie my w życiu przez całe trwanie tej strasznej plagi odbieramy. — Pomyśl teraz a raczej posłuchaj: — Gdyby ...teraz otworzył się przed [piszącym] cały świat nieznanych mu widoków... jeden po drugim ...a [on] stał... smucił [się] straszył, przerażał i wzdrygał?! — ...Jak Ci się to wydaje?

6go września.

Głowa pełna myśli i obrazów...... Pójdę w trop za okropną wojną, która groźna jak rycerz niezłomny pociągnęła w świat przed nami, aby ludzi w spokojnej zaciszy szczęśliwie żyjących o ich szczęście przyprawić! — Pociągnęła tam do nich aby ich do zbrodni i bezprawia a nakoniec do rozpaczy i zwątpienia przywieźć. Biedni ludzie... Jakie to obrazy być mogą!? — A co Ty powiesz, że może ich będzie jedenaście?! Radbym żeby ich mniej było, ale wszystkiego nie mógłbym tam powiedzieć o czem zamilczyć nie mogę... Do połowy Listopada skończyć je muszę, będę choćby i nocą pracował aby co tydzień przynajmniej dwa takie obrazy wypracować. Cały plan do tego już gotowy — już wszystkie obrazy ożyły, już je wyraźnie widzę...

Piątek 7 września 7a wieczór.

Do tej chwili siedziałem przy robocie; teraz, świecę zapaliwszy, dopisuję listu mojego. Dziś wieczór naszkicuję sobie pierwszy obraz do „Wojny“ a wyjechawszy w poniedziałek na wieś, do następnych się zabiorę.

Sobota 8 września rano.

Otóż wczoraj wieczór pierwszy obrazek do „Wojny“ już sobie naznaczyłem. Przedstawia on chwilę w której... Geniusz ukazuje się Artyście i woła do siebie a ten padłszy przed nim na kolana załamał ręce i z uwielbieniem patrzy w jego anielskie oblicze! — Tym rozpoczynam szereg moich obrazów, dlatego ażeby postacie te, ukazane później na każdym obrazie, miały swoje wytłómaczenie... I tak razem staną na granicy krainy wojną porażonej a potem dalej i coraz dalej postępując, obrazy: obawy, strachu, przerażenia — okropnej zapamiętałości a wreszcie rozpaczy i smutku zobaczą, tak że aż sami zapłaczą.....

Po obiedzie.

Przedpołudniem robiłem szkic do „Wojny“ i Pana siostrzeńca leżącego na dywanie i przewracającego się na wszystkie strony. Co to za prześliczny dzieciaczek — jakie prześliczne kształty, to doprawdy odpatrzeć się temu niemożna...... Za chwilę jedziemy do Zabierzowa na skałę. Do widzenia wieczór.

9 września, niedziela.

...Moja Wojna spokoju mi nie daje. Od chwili jak oczy otworzę aż do późnej nocy snują mi się najrozmaitsze postacie po głowie, układają w grupy i obrazy, uciekają z pamięci jeżli nie po myśli mojej, ustępują z miejsca drugim lepszym... I taki ruch i takie życie gorące i żwawe w owym wiecznie przetwarzającym i odradzającym się świecie wyobraźni mojej, że mi się nieraz zdaje, jak gdyby tam gospodarza nie było — jak gdyby tam tylko sama czeladź dworowała... Ale to

nie na długo. Jeszcze czas jakiś tak tam pohula i poswawoli, pobuja i poboli a potem znowu uciszy i uspokoi... Jutro wieczorem a raczej po obiedzie jadę do Poręby do Bobrowskich.

Poręba 11 września o 12 o północy.

...Od wczorajszego wieczora jestem w Porębie... Dziś miałem cały dzień zupełnie dla siebie, bo gospodarzów w domu nie było a ja też bez żadnej najmniejszej przeszkody mogłem sobie siedzieć w moim pokoiku i rysować do późnego wieczora. Pierwszy obrazek do „Wojny" już na tyle podłożyłem, że jeżeli jutro tak posiedzę to i skończyć potrafię. Ale inny jak ten... o którym Ci pisałem. Przedstawia Artystę w chwili, w której, siedząc przy pracy, naraz się głęboko zamyślił a zamrużywszy oczy, w duszy zaczął wywoływać obraz myśli swoich — a wówczas zjawiła się przed nim Beatrix jego. Dlatego w ten sposób rozpoczynam, aby wszystkim następnym obrazom wolno mi było nadać barwę, nie namacalnej i realistycznej prawdy, ale strasznego marzenia, — ciężkiej zmory. Zdaje mi się, że w tym kolorycie wszystko trzymając, najprędzej na imaginacyą a przez to na serce patrzącego oddziaływać można, pominąwszy tę wielką korzyść, że nie uwłaczając ani efektowi ani tendencyi, narzuca się mu niejako poetyczne, czysto uczuciowe a nie materyalistyczne, poziome zapatrywanie się na wojnę. Jeszcze sam nie wiem ale zdaje mi się że wszystkie obrazy wypadną w nocy, raz od księżyca a raz od ognia oświecone... Przez to tem łatwiej rzecz cała jako senna mara wystąpi. —

...Mógłbym Ci dużo jeszcze powiedzieć o Pani Bobrowskiej, o jej dzieciakach — o pięknym ogrodzie, przecudnych różach i ogromnej wielkości sowie... Ale wszystko to zostawiam na jutro.

13 września czwartek 12 po północy.

...Przez dzień wczorajszy i przez dzisiaj do południa skończyłem już pierwszy obrazek do mojej Wojny i dosyć z niego kontent jestem... Do wieczora naszkicowałem sobie następny. — Przedstawia chwilę w której sama „Wojna" przelatuje... Jest to postać kobieca, herkulicznej pięknej budowy ciała, do pół w żelazo odziana, w prawej [ręce] z mieczem a w lewej z pochodnią, z gęstym długim grzywiastym włosem na głowie, uniesionym od wiatru, siedząca na rozpędzonym

dzikim rumaku... Tak jakby ją prześcignąć chciały, tuż przy niej, w szalonym locie, towarzyszą jej trzy postacie: — Nędzy, Śmierci i Rozpaczy. Niebo jakby ołowiane zaciężyło i cała okolica smutna i złowroga. Tylko tam gdzie się niebo z ziemią zetknęło, jeszcze ostatni słaby promień światła się przedarł i blado ziemię oświecił. Na przodzie obrazu, po prawej stronie, stoją obaj wędrowcy zadumieni i w stronę przelatującego widma patrzą... Oto treść rozpoczętego obrazu. I ten drugi jest tylko prologiem do mającego się odegrać strasznego dramatu...... Jeżeli zadaniu temu podołam to będzie coś bardzo porządnego...

Piątek 14 września po 12tej po północy.

...Po czterodniowem nieustannem siedzeniu poszedłem sobie wieczorem na spacer, aby się troszeczkę przeciągnąć i poruszać. Przechadzka udała mi się... Cały czas myślałem sobie... o Dyniskach. Okolica podobna do Dyniskiej, bo zupełnie taka sama równina a w oddaleniu sosnowe lasy, potem pogodny wieczór i zachód słońca bardzo jakiś rozkoszny, to wszystko razem przywołało mi to na pamięć a więc też nasycałem się dzisiejszym wieczorem z całej duszy...

Sobota 15 września.

...Pytasz mnie... jaki jest mój porządek dzienny: — Wstaję o 8ej i siadam do roboty. Śniadanie jem o 12ej a potem siadam do roboty. Obiad jem o 5ej a potem siadam do roboty ale już aż około 8ej. Herbata o kwadrans do 10ej a potem pogadanka do 11tej. Potem siedzę u siebie i piszę do 1ej zwykle, bo się nie obejdzie bez innych nieznośnych liścisków... Ot i wszystko. Najgorsze to, że mnie znowu z siedzenia ciągle pochylonego, trochę krzyże i łopatki bolą, ale to spodziewam się prędko przejdzie, jak się do tego przyzwyczaję.

Niedziela 16 września 11ta wieczór.

...robota idzie mi dosyć prędko. Czy dobrze to rzecz inna, o której, niestety, nigdy nic pewnego powiedzieć nie mogę, ale wątpię aby była najgorszą... Dziś pod wieczór przeniosłem się ze sztalugą do sa-

loniku, gdzie się zwykle wieczorem siaduje i herbatę pija. Zrobiłem to dla poczciwej naszej gosposi, która się nieposiada z radości jeżeli się może komuś rysującemu przypatrywać... Ja przez to skorzystałem, bo na zwykłą ową herbatę i konwersacyę już czasu nie straciłem. Nie uwierzysz... jak ja się cieszę, że tutaj właśnie z „Wojną" moją zjechałem, bo tylko u Stacha jednego równie dobrze mi było a jedno tu w Porębie czego tam przecie miećbym nie mógł tj. modela, którego mam na każde zawołanie. Potrzebuję tylko wybrać czy to między mężczyznami czy fraucymerem domowym a wszyscy są na usługi moje. Bardzo rzadko zdarzało mi się stykać z osobami prywatnemi, któreby tyle zmysłu i poszanowania miały dla wszelkiego artyzmu, jak są Bobrowscy. Z prawdziwą przyjemnością zapuszczam się z nimi w dyskusyę o tej materyi, bo się nawzajem zawsze pojąć i zrozumieć umiemy. — Ale też tu doprawdy wyglądało dziś wieczór, jak w pracowni jakiejś akademicznej. Bobrowska zatrudniona snycerstwem, wraz z Ludwikiem Gołuchowskim kuzynem, Bobrowski pisał komedyę a ja rysowałem „Wojnę". Przytem piła się herbata a w ciągu roboty nieustawała interesująca a czasem bardzo zabawna konwersacya. Trzeba Ci wiedzieć, że Bobrowski jest bardzo obiecujący komedyopisarz. Jedną jego sztuczkę grano już w Krakowie z ogromnym sukcesem, nad drugą właśnie pracuje. Podziwiam go nieraz z jaką on łatwością wierszem potrafi bardzo prędko napisać kilka scen pełnych dowcipu i rzadkiego humoru. Bobrowska znowu jest doskonały snycerz. Z bukszpanu, orzecha, z gruszkowego drzewa i innych, wyrzeźbia bardzo piękne ramki, ozdobne sztalugi na fotografie, noże do książek, konsole i wazy.

17 września niedziela o 11tej wieczór.

Oprócz godziny przechadzki już nad samym wieczorem, to od rana siedziałem i siedziałem nad moją robotą aż do tej chwili... Jedno mnie bardzo zabawiło a to że przy całem wytężeniu z jakiem podczas rysowania oddaję się myśleniu, przecież roztargniony jestem, kiedy o jednej bardzo ważnej figurze w obrazie rozpoczętym zapomnieć byłem w stanie. Tą jest postać Niewoli. Jakkolwiek się to zdarza, że i bez wojny nawiedzić może niewola, to przecież w poczcie wojny jest ona konieczną... Myślałem o tem długo dlaczego właśnie o niewoli zapomniałem. A teraz wiem dlaczego, — bo Polak jestem, a chociaż jako taki mam może więcej prawa do zdania o tej rzeczy, aniżeli Francuz albo Niemiec, to właśnie w poczcie wojny nie domyślałem

się jej odrazu, bo tam częściej jej przeciwną Wolność, albo widziałem albo się jej spodziewałem, a Niewolę raczej po stronie mającej cierpieć ludzkości byłbym był przeczuwał. Otóż przybyła ona do grona towarzyszek Pani Wojny — i bardzo jej za to wdzięczny jestem, bo postać jej znacznie się przyczyniła do lepszego zaokrąglenia głównej grupy obrazu. Ale muszę Ci powiedzieć... że mnie już dawno robota tak nie męczyła jak właśnie ta którą mam pod ręką. Jak to raz szczęśliwie skończę, to następne obrazy będą o wiele łatwiejsze. To co mi wszystko utrudnia jest okoliczność, że wszystkie figury tego obrazu jako symboliczne muszą być trzymane w duchu antyków — w duchu posągowym — właśnie w tym, z którym najmniej obznajomiony jestem. A przytem każda z tych figur musi być zastosowana do pojęć dzisiejszych, więc wszystkie te czynniki, któremi się posługiwali Grecy dla obudzenia pewnych wzruszeń moralnych u widza owoczesnego, mnie służyć nie mogą — i zastąpić je muszę nowemi własnemi. Otóż największy kłopot! —

Wtorek 18 września, przed południem.

...Dziś siadłszy do sztalugi nie mogłem długo zrozumieć, dlaczego podczas gdy reszta figur orszaku Wojny są przerażające, sama Wojna najmniej z nich wszystkich efektu robi? Wszakże nie mogłem tego ścierpieć. Zacząłem też po zwyczaju moim wycierać i poprawiać, aż wióry leciały i z papieru i mojej nieszczęśliwej radyrki, ale po dwugodzinnem eksperymentowaniu stanęła Wojna taką, jaką być powinna. Pochyliłem ją bardziej do konia, wyciągnąłem rękę z mieczem więcej poza siebie, pochyliłem naprzód głowy a w miejsce rozczochranej grzywy zrobiłem jej szyszak rzymski zamknięty, tak, że jej ani twarzy ani oczów ani uszów nie widać. Na ślipie są tylko dwie szpary. I nietylko że postać ogromnie przez to zyskała, ale przystrojenie jej odpowiada więcej charakterowi wojny — bo czyż ona nie jest i ślepą i głuchą na wszystko, choćby najwyraźniejsze wołanie, do głębi oburzonego uczucia ludzkości?!

Czwartek 20 września, o 11tej wieczór.

...Jutro drugi obraz będzie już gotowy a pojutrze zacznę trzeci z rzędu.. będzie taki: ...rodzina przed domem zebrana, już późno

wieczór, patrzy na niebo gwieździste a pomiędzy milionem tych migocących iskierek, jednę bardzo dużą groźną, bo ognisty ogon za sobą ciągnącą, tam w górze wypatrzyła i posmutniała... Czy ma on być drugim, a Wojna trzecim? — Czy przeciwnie? — Mnie się zdaje że drugim być by powinien. Bo wówczas dopiero nieubłagana straszna Wojna o wiele na grozie zyskuje. Zaraz po niej mogą następywać obrazy bezpośrednio pod jej wpływem będące.

Piątek 21 września, o 12tej po północy.

...Parę godzin porysowałem przy lampie i już mnie oczy tak zbolały, że do jutra tę resztę odłożyć muszę...

...Dziś znowu dużo było gości. Salon oświetlony jak u Żydów na szabas, bo i pająk wielki i wszystkie kandelabry a to dla Lituaniki, która wczoraj tu przyjechawszy, dziś solennie oglądać się raczyła pozwolić. Wyobrazisz sobie jak przyjętą została, chociaż Ci więcej nie powiem tylko to co z drugiego salonu dosłyszałem, oczywiście urywane, bo gwar był przy tem wielki, zwyczajnie jak tam gdzie wiele kobiet jest razem: A-a-a-a- aaaa! ...gwar .....superbe!... gwar ...prześliczne! ...Ach jakież te poduszki! ...gwar ...charmant! ...znowu gwar... i znowu: Ta rynka i ten dym! — ...cudowne! ...Co za pomysł! ...gwar ciągle jeszcze ...Ale proszę Państwa — Melle Melanie! regardez cette łatka z tyłu! ...Co za łatka! Co za wypukłość! — ...gwar ...Gdzie Artysta!? ...Aaaaa Panie Grottger, ah que c'est beau! ach prześlicznie Panu dziękujemy, c'est ravissant, to bardzo cudowne! —

Zakrawało na to doprawdy, ale przyznać muszę że niezupełnie tak jak to powiedziałem, bo w towarzystwie było bardzo dużo osób, które pojęły i zrozumiały i przejęły się myślą moją — ...niepotrzebowałem komentować, podobnie jak ów menażerysta swoje małpy i hyeny, miejsce moje zastąpiło gospodarstwo i wywiązało się świetnie... — Ja się potem wyniosłem do mojej Wojny gdzie aż dotąd przesiedziałem.

Sobota 22 września, o 11tej wieczór.

...Dziś jednak przekonałem się jakiem wielkiem dobrodziejstwem dla zdrowia jest dłuższa przechadzka po kilkudniowem bezustannem siedzeniu. Byłem na polowaniu, łaziłem doprawdy jakby na zapas od 10tej do 5tej, prawie bez przerwy — i w tej chwili trochę znużony

jestem, ale za to taki lekki i zdrów jak dawno nie byłem. Zdawało mi się, że mi się piersi rozrastają a przytem powietrze było przepełnione taką miłą jakąś kwiatową wonią, że z całej duszy oddychałem i cieszyłem się, że potem tem ochotniej będę znów siedział przy robocie — Mój Boże — Nieraz to myślałem, jakby nam na świecie dobrze było, gdybyśmy zamiast z ludźmi pełnymi obłudy i nieszczerości — potrafili poprzestać na przyjaźni pogodnego nieba, rozkosznie i zawsze do nas tak mile uśmiechającej się, kwiecistej łąki — na przyjaźni naszego ojczystego, nad wszystkie najpiękniejszego krajobrazu! — Jakażby to szczera i niczem nie zamącona przyjaźń była. — Czyżbyśmy doznali gorzkiego uczucia zawodu albo rozczarowania? — Czyż owo pogodne szafirowe niebo nasze, nasze zielone postrojone łąki, nasze góry i ciemne poważne bory, nie są tymi jedynymi, zawsze niezmiennymi przyjaciółmi w zabawie a pocieszycielami w smutku? — ...nigdy one [piszącego] nie zawiodły! — W chwilach kiedy był bardzo smutny ...uciekał do nich, przed nimi się poskarżył, a one nie skąpiąc, ale pełną ręką i od serca mu dając, pocieszały go i godziły z koniecznym i nieubłaganym losem... one są lepsze jak ludzie...

Niedziela 23 września, po obiedzie.

...Już byłby drugi obrazek gotowy, gdyby nie jedna draperya, w którą Nędzę przyodziałem a którą już najmniej 15 razy wytarłem i na nowo zrobiłem, a której zawsze jeszcze zostawić nie mogę... Czy to nie jest już nie do wytrzymania? — Jeżeli z nią jutro do ładu nie przyjdę, to zostawiam na później z bólem serca wprawdzie, ale bez odwołania, bo dłużej się nią martwić i złościć już nie myślę.

12ta po północy.

...Powróciliśmy właśnie z Osieka, gdzie bardzo mile przeszedł nam dzisiejszy wieczór. Stary Baron Larysz był jedną, wnuczka jego młodziutka, bo 13to letnia Panna Marynia drugą, a Panna Anna Mycielska bardzo muzykalna, była trzecią osobą, która się przyczyniła do mojej zabawy. Osiek leży w prześlicznej podgórskiej okolicy, o $1^1/_2$ mili od Poręby. Ma p r z e ś l i c z n y park i oryginalny pałac, bo w stylu moresk. Park szczególniej piękny, bo ogromne wzgórza i jak zielony dywan porozścielane łąki należą do jego obrębu. Stary Baron jeden

z owych, których się już czasem tylko napotyka, — człowiek bardzo żywy, uprzejmy a dla dam jeszcze zawsze niewyczerpany w komplementach, oprowadzał mnie sam po parku, przyczem się nie obeszło bez całej fury wzajemnych grzeczności a przytem bardzo zabawnej konwersacyi. Byliśmy w oranżeryi, u jedwabników, które u siebie hoduje i w różnych miejscach, które się albo widokiem ładnym albo celem swoim zalecały. Patrząc na niego, jak z wyciągniętą, a szeroką krawatą podwiązaną szyją, prosto jak świeca się trzymając, co chwila mile uśmiechając i przy sposobności grzeczności prawiąc, takim właściwym sobie kołysającym krokiem przechadzał się z nami po ogrodzie, przychodziło mi na myśl, że mu tylko białej peruki, żabotu a w ogrodzie kilku różowych robronów i strzyżonych alei brakowało, a byłby wiernym obrazem starego legitymisty z czasów Ludwika XVIgo. Bardzo lubię takich miłych grzecznych, żywych a przytem uczciwych staruszków. — Panna Marynia, milutkie białe i czarnowłose stworzeńko... Wychowana w Paryżu. Zdaje się że powietrze nadsekwańskie tak silnie nawet na jej powierzchowny rozwój wpłynęło, że zrobiła wrażenie najrodowitszej paryżaneczki.

...Trzecią której głównie zabawę moją zawdzięczyć mogę, była Panna Anna Mycielska, już nie młoda ale bardzo a bardzo muzykalna osoba. Uczenica sławnej Pani Viardot. Nie dziw że nam prześlicznie spiewała. Zakończyła Schumanna „Ich grolle nicht“ co przepięknie odspiewała. Przedtem słyszeliśmy mnóstwo francuzkich aryi, serenad i piosnek, najwięcej Gounoda, między innemi także jedną hiszpańską, bardzo zręcznie i dowcipnie odśpiewaną.

Środa 26 września po 11 tej wieczór.

...Przez dzień dzisiejszy cały obrazek podłożyłem sobie, tak dobrze, że zapewne żadnych poprawek robić nie będę... Jest na nim dużo figur — i tak, jest dziadek i babka, trzy córki, dwoje wnucząt i zięć... Wszystko razem, stojąc przed domem zadumane, patrzy w górę na kometę. Tylko Artysta i Geniusz jego, nie ku niebu, tylko na główną scenę obrazu oczy mają zwrócone. — ... W samym środku obrazu najwięcej w głębi jego, siedzi na ziemi Matka, pochylona w zamyśleniu nad dzieciną swoją, która rozpowita, leżąc przy niej, rączki do niej wyciąga a nóżkami bryka. Około niej siedzi trochę starsze ze złotemi rozburzonemi włosiętami i jako roztropniejsze patrzy za przykładem starszych na gwiazdę z ogonem. Za Matką, na ławce pod gan-

kiem na słupkach, obwieszonym dzikiem winem czy powojami, siedzi babka i wnuczka-podlotek. Babunia się zasmuciła i w niebo patrząc, ręce jakby do błagalnej modlitwy złożyła. Przy niej wnuczka, przedtem szyciem bielizny zajęta, zamyślona, także oczy na gwiazdę złowrogą zwróciła i jakby przeczuwając że to straszny prognostyk, na twarzy zesmutniała. Za niemi w ganku, staruszek oparty o słupek, także podniósł głowę, ale nie z ciekawości, ale z grozy, że może jeszcze niejedno nieszczęście będzie on musiał widzieć i zaznać. Po tej samej stronie... ale bliżej ku przodowi, sam gospodarz, rzemieślnik przy fartuchu, wyszedłszy na podwórze i on w górę popatrzył, ale potem pochylił głowy i mocno się zadumał. Na jego ramieniu wsparła się żona i smutna patrzy się w gwiazdę, jakby w jej blasku tajemniczą przyszłość wyczytać chciała. — ...Po lewej stronie obrazu, obok studni, wśród drzew i krzewów kwiecistych, widzisz Artystę-wędrowca i przewodnika jego. I oni się zadumali i z politowaniem patrzą na biednych ludzi a litują się nad niemi, bo wiedzą co ich czeka już w najbliższej przyszłości. — Cały obraz oświeca zorza po słońcu, które niedawno zaszło. W oddaleniu widać kościółek o smukłej wieżyczce, kilka starych lip w pobliżu, kilka drzew, kominów i potem równinę a na niej, jak przez mgłę, porozsypywane wioski i miasteczka. — Na całym obrazku dużo drzew, kwiatów, rozkwitłej i bujnej natury a nadewszystko cisza i smętek. —

Piątek 28 września, po 12tej.

...Nieraz się tak dzieje, że człowiek zamyśli się głęboko i tam w tem bezdennem morzu zatonąwszy, czegoś szukać i czegoś znaleźć zapragnie. Ale to morze głębsze jak mu się na pozór zdawało, w coraz to straszniejszą otchłań porywając go z sobą, nareszcie zaciągnie tak głęboko, że już utraci nadzieję aby kiedyś wypłynął i zawaha się. I w ówczas w całej niezmierzonej wielkości i potędze, stanie mu na myśl — że jest niczem! — że mniejszy aniżeli ziarnko piasku, że więcej bezsilny aniżeli słabość sama a na koniec pomyśli na ogrom stworzenia, na przedwieczną mądrość Twórcy i niezachwiane prawo Jego i — zapłacze nad sobą! — Czy wobec takiej chwili miałby on jeszcze tyle śmiałości aby podniósł oczy i pomyślał na siebie, na życie swoje i szczęście...? — Ach niestety na to odwagi mu braknie, do tego prawa on się nie poczuje. — A przecież ja doznawszy takiej chwili, nie zapłakałem! — Nie, bo w ówczas jakby z za jakiejś

przeźroczystej opony mignął mi się mglisty obraz: — przyszłość... I popatrzyłem na ten obraz i serce mi rosło i rosło i było w końcu tak wielkie, że naraz z całej piersi zawołałem: Nie! — nie, ja nie jestem Niczem, ja nie jestem ziarnkiem piasku! — Ja jestem człowiekiem — ja mężem doskonałym, twardym jak żelazo a potężnym jak kawał Boga samego!!

. . . .

29 września.

...Wczorajszy wieczór przeszedł nam bardzo zabawnie, bo po herbacie Bobrowski przeczytał ostatnią pracę swoją. Czteroaktową zabawną komedyę pod tytułem: Szarada. Bawiliśmy się tak dobrze jakby na samem przedstawieniu, bo po mistrzowsku ją odczytał...

...Dziś jako w dzień Śtego Michała, patrona sąsiedniej parafii w Włosiennicy, odbył się tamże odpust, dokąd na sumę i obiad wszyscy zaproszeni byliśmy... Było tam wiele ludu z całej okolicy. Ale mniej ładny jak nasi Rusini. Między kobietami nadzwyczajnie rzadką jest ot taka niby przystojna a mężczyźni wszyscy prawie, jeden brzyszy od drugiego...

Poniedziałek 1 października, o 10tej wieczór.

...Wyobraź sobie, że [piszący] dał się namówić i wczoraj, w towarzystwie Bobrowskiego, Potulickiego Franciszka i Gołuchowskiego, o zachodzie słońca, wyruszył z mantelzakiem na plecach, na piechty do ...Krakowa. Ja już teraz sam nie wiem jakim sposobem się to stało, że w nas myśl ta postała a potem do skutku przyszła. To tylko jest mi wiadome, że w godzinę po zrobionym projekcie już wszyscy byliśmy w drodze... Z Poręby do Krakowa jest mil 7 ale opętanych i przyznam się, że przed tą cyfrą miałem niemały respekt, wiedząc z góry że prawie ciągle po murowanym gościńcu pójdziemy, ale teraz po powrocie respekt mój a raczej moich pedałów niema granic. Zarzekłem się bowiem na wszystkie czasy podobnej wycieczki już nigdy nie robić. — Dała nam się wszystkim niemało we znaki. O 10tej wczoraj przyszliśmy na noc do Spytkowic do P. Wolskiego, którego na nieszczęście w domuśmy nie zastali. A ztamtąd, przespawszy tylko 3 godzin od 1szej do 4tej zrana, ruszyliśmy dalej w drogę; o 12tej

w południe byliśmy w Krakowie. Wyglądaliśmy prześlicznie bo wszyscy jak kaleki i obtargańce... Przebrawszy się trochę poszedłem do Szwagrów na obiad, gdzie się ...dosyć wydziwić nie mogli. — Od 8ej jestem napowrót w Porębie a w tej chwili znowu przy stoliku piszący do Ciebie, ale zmęczony jak nie wiem co.

Wtorek 2 października, wieczór.

...Obudziłem się zupełnie tak rzeźwy i wypoczęty, jak gdybym nigdy nie był przedtem znużony. I bardzo na dobre mi poszła nasza wycieczka, z tym jedynie wyjątkiem, że cały dzień Wojnie mojej ukradła... Ale za to Ci powiem, że dzisiaj nie tylko byłem tak silny jak zwykle, ale usposobiony do roboty tak dobrze, że mi wszystko jak z rękawa poszło. I proszę Cię — z tym trzecim obrazkiem najmniej jeszcze dwa dni będę się musiał borykać, a myślałem na pierwszego być z nim gotowy.

o 12tej z północy.

Dziś wieczór było czytanie. Gosposia nasza przywiozła ze sobą z Krakowa książkę ...pod tytułem „Miscelana" a której autorem jest X. Biskup Łętowski w Krakowie. Kilka ustępów z niej usłyszeliśmy i pod względem prostoty w stylu, nadzwyczajnej humorystyczności i doskonałego obrazowania, trzeba jej przyznać wiele zasługi, ale co do wyboru treści czasem skandaliczna, tem bardziej że przez Biskupa napisana. Są w niej takie historye i historyjki, że się od zarumienienia wstydliwego powstrzymać nie można. Takie ustępy, których nietylko pannom ale nawet mężatkom czytaćby nie wypadało...

Środa 3 października, wieczór.

Jutro już z pewnością dokończę mój trzeci obrazek, bo znacznie wiele dzisiaj zrobiłem a na jutro tylko Dant, Beatrice, powoje, dzikie wino i inne rośliny i krzewy na przodzie obrazu zostały. —

...W tej chwili zaczyna mnie korcić w miejsce dwóch już skończonych obrazów zrobić dwa inne... Co Ty na to? Wszak prawda, że ostatnia praca powinna być zawsze lepsza jak przedostatnia.

2 godzin później.

...W miejsce kometowego obrazka naszkicowałem drugi podobny, składający się tylko z pięciu figur — o dużo lepszy od tamtego.

Czwartek 4 października, wieczór.

...Zdecydowałem się nakoniec, jeszcze po raz drugi zrobić dwa już skończone obrazy, mianowicie jeden przedstawiający Wojnę a drugi kometę. Serce mi się kraje jak się popatrzę na tyle pracy, wprawdzie nie zmarnowanej, ale napróżno podjętej! — Jak sobie pomyślę, że trzy tygodnie czasu poświęciłem na coś takiego czego użyć do Wojny nie mogę... Zrozpaczony jednak nie jestem, bo dziś porobiwszy sobie szkice do wszystkich następnych i dwóch pomienionych obrazów, jestem pełen nadziei... Staraniem mojem będzie o ile możności ograniczyć się co do figur... Przez to bowiem uwaga widza będzie więcej skupiona i wrażenie dlatego tem silniejsze. Chodzi mi najwięcej o to, aby prawda okropna którą chcę wypowiedzieć, nie wieloma pięknemi a tylko kilką prostemi a wyraźnemi słowy była wypowiedzianą. — [Piszący] kiedy się zabierał do Wojny to myślał, że taki mądry, że już się nad niego nie znajdzie taki, a dzisiaj przekonał się ...co jest może najwięcej ważne to jest: zasada wyrażenia się jasnego a prostego, nie kwiecistego, — wyrażenia się, że tak powiem, ewanielicznego. — Tej się trzymając najkrótszą drogą trafiamy do serca.

. . . .

Czwartek 4 października, wieczór.

...Mam także zamiar obrazy te nie wykończać tak bardzo niewolniczo, tak po niemiecku, ale przeciwnie robić je w ten sposób, aby w technicznem ich wykonaniu dać poznać zapał i gorycz z jakim się temu zadaniu poddałem. Na nowym komecie są tylko kobiety i dziecko; mężczyzny nie wprowadziłem, dlatego, bo tylko kobietom właściwy jest dar przeczucia ...i bo one tylko z gwiazd lub znaków niebieskich o wyrokach bożych czytać potrafią.

Piątek 5 października, wieczór.

...Pytałaś mnie co do obrazka z kometą, jakim sposobem jest na nim dosyć światła, podczas gdy to już późno wieczór być musi, skoro

kometę widzieć można? ...Gdybym się trzymał wiernie prawdy, to nawet twarze musiałyby być zupełnie niewyraźne, a cóż dopiero krajobraz i inne dalsze przedmioty. Ale ja myślę, że gdzie chodzi o wyraz pojedyńczych twarzy, takiego kłamstwa pozwolić sobie można. Wieczorami przechadzając się teraz, robię moje spostrzeżenia a z każdym dniem przekonuję się, że zupełnie zgodnie z naturą przedstawić tego nie można, bo nawet najbliższe szczegóły o tym czasie stają się bardzo niewyraźne. — Jeżeli obrazek wykonam tak jak on na to zasługuje, to ten [błąd] jego nikomu na myśl nie przyjdzie. Dziś nad jego drugą poprawną edycyą pracowałem.

Wtorek 9 października po 11tej wieczór.

...druga edycya komety do której wszystkie następne zastosuję, jest bez żadnego nawet porównania lepsza, jak ta pierwsza. Ludzie zupełnie nie mający zmysłu wyrobionego pod względem sztuki, wydziwić się nie mogą dlaczego, obrazek który ma mniej o cztery figury i bardziej ścieśniony, daleko silniejsze i piękniejsze wrażenie robi na oko, jak tamten pierwszy. Na to ja odpowiadam: że różnica między temi dwoma obrazkami jest zupełnie ta sama, jak między dwojakiem wypowiedzeniem jednej i tejże samej myśli, np.: co jest silniejsze i zrozumialsze, czy jak ja powiem: daj chleba — czy jak powiem: mam honor przyznać ci się, że byłoby to życzeniem mojem, abyś mi raczył dać chleba. ...Wyobraź sobie głowa mojej Beatryxy cały dzień dzisiejszy mi zabrała. ...Jutro przyjdzie Dant i krzak róży...

Środa 10 października o 10tej wieczór.

...[Piszący] bardzo ze siebie kontent, bo dziś skończył obrazek... Najwięcej cieszę się z tego, że tylko siedem dni nad nim robiłem i mam nadzieję że i następne więcej czasu nie zabiorą... — Po obiedzie naszkicowałem sobie następny. Muszę Cię uprzedzić że w pierwszem założeniu, miał po nim przyjść z porządku, obraz przelatującej Wojny. Po gruntownem rozmyśleniu tej kwestyi, decyduję się na to, aby tę myśl zupełnie zarzucić, a to z takich powodów: Najgłówniejszem było przygotowanie i poznajomienie widza z treścią obrazu, którą jest wojna, bo przypuścić należało, że niejeden będzie je oglądał nie znając ich tytułu a w ówczas z nich-że samych powinien się

onego domyślić. Otóż więc przyszło mi na myśl, czyby w miejsce tego fantastycznego, służącego niejako za objaśnienie następujących, nie można znaleźć odpowiedniego zupełnie co do myśli a mającego oprócz tego jeszcze i tę zasługę, że będzie z życia z pośród nas samych wyjęty? — Dziś rano ...węzeł gordyjski sam [mi] się w głowie rozwiązał: oto przedstawię losowanie podczas branki i chwilę w której zawezwany do assenterunku właśnie los taki [ma] wyciągnąć. — Otóż więc na obrazie będzie stół, przy nim komisya wojskowa, na nim urna, a przy niej młody chłopiec w chwili kiedy ręką sięgnął po ...karteczkę. Może być obrazek, chociaż skromny w samem założeniu, bo wszystko tylko w jednej figurze będzie skupione, ale bardzo dużo mający dramatyczności... W głębi obrazu, z za filara, będzie wyglądał smutny Dant i jego Beatryx...

Czwartek 11 października o 11 tej wieczór.

...Mój obrazek przedstawiający losowanie, dziś jest z grubsza podłożony... Cała waga obrazu będzie w młodzieńcu a po nim zaraz w matce jego. Stoi [ona] za żelaznemi sztachetami, które w sali gdzie się odbywa rzecz cała, służą za przepierzenie między ludźmi zainteresowanymi a komisyą assenterunkową, — uchwyciła się konwulsyjnie dwóch takich prętów żelaznych i ...patrzy pełna okropnej niepewności na jedynaka swojego. Za nią młode dziewczę ....Bardzo pięknie wyda się przy niej postać pełna stłumionego i utajonego niepokoju, na pozór zupełnie niewzruszona, jej syna w białej koszuli i z jasnym długim włosem... Prawie w środku obrazu ale w głębi w półcieniu już, stoją nasi wędrowcy, na pół ukryci za filarem. Po lewej stół a za nim trzech ludzi — olbrzymiej budowy groźnego oblicza i pełni rubaszności, właściwej wszystkim synom nieubłaganej wojny. ...Być może że w szczegółach jeszcze jakieś odmiany porobię — w myśli zaś już tak z pewnością zostawię...

Kraków, Sobota 13 października wieczorem.

...jestem oczarowany kompozycyami Władka Żeleńskiego. W tej chwili wyszedł po kilkugodzinnej wizycie. Przegrał nam wszystkie najnowsze swoje utwory, między innemi operę „Dziwożona“, kilka triów, walców na skrzypce i fortepian i Sonatę... Jestem uniesiony, bo grał i śpiewał

tak cudownie, że Ci tego wypowiedzieć nie mogę... Muzyka to jest nie ludzki ale boski wynalazek. — Jestem jak odrodzony, jakiś szczęśliwy, pełen siły i odwagi — taki pełen wiary w dobrą przyszłość — ...aż lepszy, jak [byłem] przedtem...

Dziś o 6tej wyjechałem z Poręby na dzień do Krakowa, bo miałem kilka pilnych interesów do załatwienia.

Niedziela 14 października wieczór.

...Przyjechałem wieczór napowrót do Poręby i już siedzę znowu w moim pokoiku.

Poniedziałek 15 października, wieczór.

...Wyobraź sobie, że ja cały dzień dzisiejszy nad j e d y n ą głową młodzieńca losującego przesiedziałem i nic a nic więcej nie zrobiłem. Nawet tę odrobinę niezupełnie skończyłem... Gdyby tak dalej poszło to prawie za trzy lata byłaby Wojna moja gotowa! — Dzięki Bogu, to się rzadko wydarza. Najgorsza jest ta okoliczność, że w budowie obrazu zapewne znaczne porobię odmiany a to dlatego, bo robi wrażenie raczej jakiejś sceny inkwizycyjnej aniżeli assenterunkowej. Miałem dziś wizytę — był kapitan jakiś, przyjaciel Bobrowskich, który zobaczywszy ten obraz zapytał, a właściwie tak jakby uprzedzając moje tłómaczenie, powiedział: „A, to jest winowajca przed sądem!" — Osądzenie obrazu tą razą fatalne, ale, jak się przekonałem, bardzo naturalne. Dosyć mi tego aby go w wielu miejscach pozmieniać i poprawić. Będę się starał wyraźnie tu scharakteryzować assenterunek, a czem się posłużę, jeszcze sam dobrze nie wiem. O czas! — o czas chodzi mi najwięcej, którym nielitościwie w ten sposób szafuję! — ...Do 15tego listopada musi być siedem obrazów gotowych z których dwa dopiero ukończyłem a jeszcze pięciu nie dostaje. Ja nie wiem doprawdy, jak sobie tego czasu przedłużyć. Będę od jutra wstawał tak rano, aby od świtu, od 6tej być już przy robocie a tak dwie godzin zyskanych codzień, uczyni w miesiącu sześćdziesiąt! — Jeszcze to jedyny ratunek. Wyobraź sobie szczęście moje, że mój najukochańszy przyjaciel, Władek Żeleński, jedzie do Paryża, a kto wie może się z nami razem zabierze... Ach — ...to jedyny muzyk którego zupełnie i w s z ę d z i e pojmuję i rozumiem i dlatego nad wszystkich

go wynoszę. Kiedyś nietylko ja jeden będę mu przyznawał wyższość nad wszystkimi naszymi dzisiejszymi koryfeuszami w muzyce...

Wtorek 16 października, wieczór.

...przez dzień dzisiejszy wyrósł przecież bohater mojego teraźniejszego obrazka... Gdybym kiedyś zobaczył takiego żywego tobym go pokochał z całej duszy... Oprócz tej figury przybyły dwie inne a raczej trzy, tylko jedna dopiero naznaczona. W głębi obrazu za losującym, drugi, już od losu do żołnierki przeznaczony, właśnie pod miarą i żołnierz zapisujący wzrost jego. A po prawej stronie losującego, nie sztachety tylko drzwi a z przodu żołnierz wzbraniający wstępu nieszczęśliwej Matce... Oczywiście, że tak jak w pierwszem już założeniu staraniem mojem będzie na figurę najgłówniejszą najwięcej dać nacisku, aby reszta figur zupełnie myśli na niej skupionej nie odrywała. — Czy dobrze tak? —

...Dwie godzin doprawdy oszczędziłem, chociaż właściwie półtory, bo dopiero o ½ do 7mej jest dosyć światła do rysowania. Na przyszły tydzień dostanę lampę, więc i wieczór najmniej dwie godzin więcej rysować potrafię. I tak jakoś się to zrobi do 15go Listopada... Zdaje mi się, że prócz postaci Artysty i jego Geniusza, nie będzie żadnej fantastycznej figury w obrazach moich. Wszystko się na to zanosi... Prawda że w ówczas obrazy wiele stracą na poezyi, ale co do celu będą mu o dużo bliższe. — Żałuję tylko dwóch myśli, których już dla tej przyczyny nie będę mógł użyć a bardzo byłbym szczęśliwy gdyby po gruntowniejszem rozpatrzeniu okazało się, że i one zastosować się dadzą.

Środa 17go o 12tej po północy.

...Przybyło dwóch synów Marsa, siedzących za stołem, jeden tak głupowato a przytem drwiąco podśmiechujący się, drugi zaś starszy, kwadratowy, krótko-karczysty, z gęstą strzępiatą szpakowatą brodą, okiem jak u starego żbika a wyrazem twarzy pełnym surowości i srogiej bezwzględności, prawdziwie żołdackiej. Dwa bardzo wybitne a w tym obrazie bardzo szczęśliwie zastosowane typy... Ten obraz najmniej jeszcze ze sześć dni roboty mozolnej zabierze...

18 października czwartek wieczór.

...Dziś [piszący] smutny, bo sumienie gryzie go niemiłosiernie, że się dał namówić na polowanie i najpiękniejsze a do pracy najsposobniejsze chwile przewałęsał po lesie za głupiemi zajączyskami i sarnami... P. Wincenty tak przyparł, że mu się w żaden sposób wykpić nie mogłem a wreszcie polowałem już dzisiaj aby nie uchodzić w Porębie za nudziarza, czem mnie już sekować zaczynają. Ale koniec końcem dzień straciłem, i już go nie odzyskam. Ach szkoda, szkoda! ...Jest to wprawdzie na zdrowie, zważywszy, że ciągle siedzę a siedzę, ale dziś tego ruchu jeszcze zupełnie nie potrzebowałem... Żeby mi za to jutro robota lepiej i prędzej poszła, tobym się uspokoił i wreszcie pogodził z nieprzebłaganą koniecznością... Bardzo mi ciężko na sercu i czuję, że mi się zbiera na gorzkie żale i narzekania, więc na dzisiaj przestaję. Dobranoc...

19 października piątek po północy.

...W obrazku moim o krok dalej poszedłem. Dwie figur przybyło, które są dosyć dobre... Niestety bardzo powoli to idzie — ale niema rady. Lampy jeszcze niemam a na dniu więcej nie wyproszę, bo prócz połowy godziny, którą w południe na drugie śniadanie poświęcam, cały dzień od roboty nie wstaję. Wszystkiemu winny poprawki, których mam zawsze bez liku. — Jeżeli Bóg da, że na tyle czasu będzie, to przed wyjazdem do Paryża na dzień jeden we Lwowie, chciałbym Wojnę wystawić... Chyba, że mnie nieprzewidziane trudności zaskoczą i koniec dzieła przeciągną na kilka dni później.

21 października sobota, późno wieczór.

Już doprawdy bardzo późno, bo dziś, czytając głośno po herbacie, dłużej siedzieliśmy jak zwykle, a jakkolwiek lektura była bardzo miła to przecież już niespokojnie czekałem na dobranoc... Po obiedzie, dziś po raz pierwszy po ośmiodniowem — ale nie, mylę się, bo przecież raz na polowaniu byłem — ale zawsze po kilku dniach bezustannego siedzenia, wyszedłem na spacer, aby troszeczkę nogi i krzyże wyprostować. Biegałem naprzód po polu a potem po całym ogrodzie i wzdychałem do księżyca który dziś był taki czysty i jasny. Mój

Ty Boże, ile to już miesięcy, tygodni, dni i godzin upłynęło... Ile to razy ten sam księżyc zawsze się powracał, przypominał, pocieszał i smucił?! — ...a [mnie] serca... tylko przyrosło a może i kilka białych włosów więcej na mizernej czuprynie... Jeszcze dziesiątek takich białych rzeczy na głowie, jeszcze na czas jakiś siły i wytrwania...

Ach bardzo mi żal poczciwego Antosia Zaleskiego. Oby Bóg dał żeby tak źle nie było a człowiek ten pełen najpiękniejszych nadziei, uchował się na pociechę przyjaciół swoich i wszystkich Polaków! — Jakież to dziwnie niezgłębione są wyroki Nieba! — Jak często wywołują w nas pytanie: Czy też to doprawdy Bogu się tak podoba — i czy my mimo wiedzy nie jesteśmy zależni li tylko od przypadku? — Czy też ...nie zawarł ze śmiercią ugody, że jej co roku pewną liczbę ofiar przeznaczy, zostawiając jej samej wybór z pośrodka biednych ludzisków? — Kiedyś dowiemy się o tem...

Nie pisałem Ci nic, że przedwczoraj wielki spektakel mieliśmy w Porębie. Zjechała bowiem wielka buda a w niej komedyant, komodyancica i dwoje małych komedyanciątek. Był to jakiś podróżujący Magik z familią. Urządziliśmy małą scenę na prędce i mieliśmy bardzo ciekawe widowisko. Mnóstwo kunsztyklów pokazywał, to z kartami, to jajami, to pieniądzmi, to gałkami — ale największy był jednak ten, który z nami wykonał, bo nas do patrzenia na to pokusił.

Wczoraj byliśmy w Oświęcimiu ale już na przedstawieniu teatralnem, dwóch sztuczek „Adam i Ewa" — i „Chłopi Arystokraci", odegranem przez członków trupy Pani Łobojkowej. Nie wdaję się w bliższą krytykę, bo niestety zgadniesz a raczej domyślisz się jaką być może.

Poniedziałek 22 października, wieczór.

...Dziś czwarty obrazek rozpocząłem a myśl do niego jest bardzo szczęśliwa a przyszła w ostatniej chwili. Pomyśl sobie, że jesteś w lesie, przy samym krańcu jego, zkąd rzuciwszy okiem po okolicy, dostrzegasz w oddaleniu palące się miasteczko. Ujdź parę kroków ku lasowi, tam gdzie się już trochę zagęszcza, a w cieniu starego dęba okaże ci się... pod drzewem Matka staruszka, troje dziatwy drobnej i młoda dziewczyna. Uciekły wraz z dziaduniem z domu w pobliskie lasy... Matka płacze, bo kto wie, czy tam męża nie zostawiła a dziatwa głodna prosi a prosi chleba. Młode dziewczę wyjęło z koszyka bochenek i oto rozdziela go między biednych zgłodniałych...

23 października późno wieczór.

...Assenterunek zupełnie dokończyłem. Niby to jestem z niego kontent, bo w samej rzeczy dosyć dobry a nawet lepszy jak poprzednik jego, ale boję się w to uwierzyć, bo dotąd ja sam jeden byłem twórcą i krytykiem jego. Daj Boże, aby się później nie okazały jakie dziś dla mnie ukryte wady, bo może być zapóźno. Wracam do tamtego... W głębi obrazu ...oglądający się i przerażony dziadek o kiju, — przy nim pies wierny, sługa i przyjaciel. — W odległości palące miasto i w porządku bojowym przesuwające się kolumny wojska, zaś w głębi lasu pod starym dębem... Dant i Beatrix. On z załamanymi rękoma patrzący na wpół ciekawy, na wpół losem biednej matki żałośnie przejęty, a ona poważna i spokojna ale twarz nieznacznie ręką sobie przysłaniająca. Za tło obrazu służy las...

...[Piszącemu] zaczynają się oczy sklejać, czupryna jeżyć, a nos coraz bardziej pochylać na papier. Za chwilkę będę z nim już tak blizko, że w miejscu pióra użyję go może do podpisu... O 7mej można już rysować dlatego się pospieszam. Teraz już raz nosem zawadziłem! Więc dobrej nocy życzę...

Piątek 26 października wieczorem.

...[W Krakowie] byliśmy wszyscy na Paziach Królowej Marysienki! — Nadzwyczajnie milutka muzyka a tem milsza że utworu rodzinnego. Jakaś przejezdna artystka opery warszawskiej występowała w roli Janusza a J. Borkowski w roli Jana III. Paziki dosyć przystojne, figurki, garderoba niezła, spiew dosyć zadawalniający, ale muzyka — raczej orkiestra — niżej krytyki! — Podziwiałem zimną krew autora operetki, z którą on przewodził tym fuszerom. Oprócz Paziów grano także doskonałą jednoaktową sztuczkę, zdaje mi się „Najstraszniejsza próba“, w której kobiecą rolę miała, dziś w Krakowie ogromny mir i wzięcie mająca, Pani Modrzejewska. W samej rzeczy nietylko aktorka doskonała, ale kobieta bardzo piękna i nadzwyczajnie wiele poczucia piękna mająca artystka. Gra jej była mistrzowska — chociaż rola zupełnie nie świetna — bo nadzwyczaj naturalna a jej tualeta i zaczesanie włosów prawdziwie przegustowne.

...Dowiedziałem się że mój poczciwy Władek Żeleński jest już w Osieku... Cieszę się nadzwyczajnie że go znowu posłyszę i na chwilę odrodzę się zachwycony utworami jego. Ach gdybym to z nim razem do Paryża mógł jechać!

Sobota 27 października wieczór.

...mój najdroższy, poczciwy Władek Żeleński był dziś w Porębie i cały wieczór grał i śpiewał nam i pieśni i większe utwory swoje. Podziwialiśmy to genialne chłopczysko, pełne fantazyi życia i ognia, a przytem tak głębokiego poczucia wszystkiego, co najszlachetniejszą cząstkę stworzenia naszego — co serce nasze bliżej obchodzi i porusza... Ach... przyznam ci się, że mnie jeszcze żaden z muzyków, tak nie poruszył aż do głębi duszy a zarazem porwał i uniósł gdzieś pod niebiosy! Nie zauważałem u żadnego z pieśniarzy i dawniejszych i nowszych, ażeby u którego pieśń z towarzyszeniem fortepianu stanowiła tak nierozdzielną a prześliczną całość. — Szczęśliwy jestem, że to krew polska, — że tak jak z rodu tak i z utworów swoich jest on wszędzie Polak, pełen siły miłości i najżywszego uniesienia artystycznego. A jakiż on oryginalny swój własny, świeży w każdej choćby najdrobniejszej myśli! —...

Wtorek 30 października późno wieczór.

....już w moim pokoiku jestem a tą razą nie sam jeden, mam bowiem dzisiaj poczciwego Władka Żeleńskiego u siebie na kwaterze. Chodzi sobie po pokoju i od czasu do czasu coś sobie albo pod nosem mruczy, jakieś urywane motywa kompozycyi swoich przypomina, albo się do mnie odezwie i przyszedłszy aż do stołka, na którym siedzę, pochyli się nad głową i jakiś niezbity dowód albo zasadnicze prawo z kodeksu artystycznego do ucha wykrzyczy! — Niepodobieństwo pisać — ciągle, bo co chwila przestając, myśli zebrać nie mogę. Władek właśnie mnie o coś pyta...

Środa 31 października przedpołudniem.

W samej rzeczy nie dał mi pisać, musiałem przestać i wdać się w żywą artystyczną rozprawę, która przeciągnęła się aż do w pół do trzeciej po północy.

31 października wieczór.

....Władek Żeleński dziś nas odjechał. Jutro wyrusza do Pragi a ztamtąd do Paryża, gdzie kilka miesięcy zabawić zamyśla. Niezmiernie

się też z tego cieszę, bo w Paryżu będę miał człowieka, przed którym z całej duszy będę się mógł wygadać i wyskarżyć... W pośród tego zgiełku rozmaitego luda, co chwila to w jedną to w drugą stronę pociągnięty, jakże ja samotnie i od wszystkich opuszczony będę! ...Niedarmo to myśl o Paryżu, nietylko mnie nie zabawia ale nawet nieraz bardzo zasmuca. Pojadę bo muszę — ale wracać będę jak szalony!

Środa 21 listopada o 11tej w nocy.

....Z listu który dziś od Matki dostałem, dowiaduję się, że poczciwy Revertera w Petersburgu, przy okazyi jakiejś uroczystości u dworu, wszystkich poddanych austryackich, będących w niewoli na Syberyi, od dalszej kary wyprosił. Otrzymali najobszerniejszą amnestyę. A więc i mojego poczciwego Jarka, średniego brata, tak może za trzy miesiące, z powrotem już spodziewać się możemy! — Ach Boże, jakaż to będzie radość, jakie nasze przywitanie. — Daj Boże, aby tylko zdrów i krzepki przybył do kraju a w ówczas przecież raz może wszyscy trzej bracia zdybiemy się razem, bo wystaw sobie, od czasu naszego dzieciństwa jeszcze nigdy wszyscy trzej nie byliśmy razem. Zawsze albo dwaj jedni, albo dwaj drudzy.

25 listopada o 11tej wieczór.

...W Porębie wreszcie ucichło. Wczorajszy wieczór był jeszcze ostatecznym błyskiem tego... płonącego ognia wesołości i zabawy. Jutro już zaczynam się powoli wybierać. Kufer zostanie opatrzony... Schowek na rysunki także się zbudować każe, aby na środę do dnia być w zupełnej gotowości.

*

(Paryż).

Paryż 25 grudnia o 10tej z rana.

.....Już wczoraj wieczór chociaż bardzo późno powróciwszy do domu, chciałem pisać... ale mi tak było w łapy zimno a w mojej kwaterze pod dachem a raczej w dachu, tak mało ciepło, że to na dzisiaj

odłożyć musiałem... Na kominku się pali, ale mimo tego tak zimno, że zaledwie pióro w ręku utrzymać mogę. Otóż więc jestem w tym tyle razy obmyślanym, ogadanym... Paryżu!... Mam ci opisać pierwsze wrażenie? — Czy warto? — Doprawdy że nie. Nieprzebrana liczba domów, jeszcze więcej ludzisków chodzących, włóczących się, albo spieszących. Turkot i hałas bez końca, a w nocy, a najwięcej nad rankiem, taka wrzawa, że mnie na szóstem piętrze mieszkającego obudzili! — Zerwałem się na równe nogi, bo mi się zdawało, że się tam na dole ludzie ze skóry obdzierają. Tymczasem byli to szanowni Panowie Studenci wesoło niby z zabawy powracający. Przykro mi było bardzo, kiedym wpośród tego dzikiego śpiewu nawpół pijanych mężczyzn, także i cieniutkie alty i soprany dosłyszał. Mieszkam w Quartier Latin, Boulevard St. Michel 3. Hôtel d'Harcourt, wprawdzie nie w środku miasta, ale w samem centrum prawdziwie paryskiego życia, życia, które mi się w tej chwili zupełnie nie podoba!

Byłem zanadto ciągłą moją jazdą znużony, aby zasnąć i odpocząć. Leżałem na łóżku, rozmyślając smutno i żałośnie... Martwiłem się... wszystkiem bardzo a bardzo, pomimo, że mnie nadzieja nie odstępowała, że moja wycieczka do Paryża tylko bardzo pomyślne... skutki mieć musi... Około dziewiątej zaszedłem do Władka*) i ten mie zaraz o wszystkiem zainformował. Kilku znawców tutejszych i kilku najpopularniejszych dziennikarzy — i P. Gerôme byli u niego — oglądali Lituanikę i — byli bardzo zainteresowani, jak on powiada zachwyceni. P. Gerôme zażądał najsolenniej ażebym tu przyjechał i był u niego a sam zaręcza o tem, że w najkrótszym czasie wyjdę „na człowieka", za jego pomocą i protekcyą... Ale wracam do rozpoczętego opowiadania o dalszych sprawach moich dnia wczorajszego. Koło południa wyszliśmy wraz z Zygmuntem Sawiczewskim na śniadanie. Byłem zgłodniały zziębły i spragniony. W jakiejś polskiej knajpie w Quartier naszem, zwanej: „u Janka", mówię polskiej, bo i gospodarstwo i służba Polacy, uciszyłem o pokarm wołające ciało moje, a potem wraz z nimi poszedłem szukać sobie jakiejś kwatery, bo choć i na krótko szkoda płacić w dwójnasób w hotelu... Zygmunt i Władek uradzili, że dla moich przyszłych stosunków... muszę mieszkać w środku miasta i to bardzo porządnie... Jakaś Pani Wdowa znajoma Zygmunta, a bardzo wielu Polakom odnajmując już dawniej mieszkania, przyjęła i mnie na kwaterę. Że było już ciemno więc nie przypatrzyłem się dobrze, czy pokój mój będzie miał na tyle światła, aby tam małą

---

* Ś. p. Sawiczewskiego szwagra artysty.

wystawę Lituaniki urządzić. O 6tej byliśmy już na Batignolach u Zienkowiczów starych na Wilii. Poznałem tam obu jego synów i córeczkę, małą dziewczynkę i jego żonę. Podzieliwszy się starym obyczajem opłatkiem, zasiedliśmy do skromniutkiej uczty, przy której niewiele jadłem i piłem ale dużo o Lwowie... myślałem... O 11 tej pożegnawszy się, poszliśmy na bulwary rozglądnąć się po Paryżu, który tu i o tej godzinie jest najwięcej ożywiony i najwięcej wykwintny. Ale niestety zbudowany nie byłem! — Wszędzie przepych, lubo wystawa nadzwyczajna, ruch i życie ogromne, ale we wszystkiem jakaś dziwnie w oczy bijąca powierzchowność, jakiś niby brzydki fałsz, przepiękną prawdą obleczony.

Piątek 28 grudnia z rana...

...Otóż u Gerôme'a byłem. Przyjął mnie „cordialement“ jak kolegę, uczciwie i serdecznie. Pokazał mi wszystkie skończone i niedokończone roboty swoje i zachwycił. Niech go kule biją jak umie malować i rysować! Obrazy jego wszystkie są małe, bo żadnego ani na łokcie ani na stopy nie mierzyć, ale za to tak skończone pod każdym względem, mają taką wartość nietylko pod względem swojej skończoności mistrzowskiej technicznej, ale i ze względu swojej nadzwyczajnej psychologicznej zasługi. Pokazywał mi „Moliera na obiedzie u króla“, kilka obrazów ze Wschodu, ale nakoniec jeden, jeszcze niezupełnie gotowy, który mnie oczarował! Przedstawia on Dantego przechadzającego się po zachodzie słońca po zielonych zamiastowych łąkach Florencyi. Nazwał ten obraz „Człowiek który z piekła powrócił“. Najbliżej ku lewej stronie obrazu widzisz Dantego, jak w głębokiem zadumaniu, w żalu i boleści nad upadkiem ludzkości, dla wszystkich niepojęty, od wielu spotwarzony i dlatego już dla wszystkich zamknięty, już cały tylko sobie i miłości swojej oddany, przechadza się po białej ścieżce. Po lewej i prawej stronie obojętnie mijając i Matki i dzieci i piękne dziewice... on tak jest cały żałośnym myślom swoim oddany, że nawet nie słyszy, jak kilka tych kobiet i dziewic wskazując nań palcami wołają śmiejące: „Oto człowiek co z piekła powrócił!“ — Jedno dziewczątko małe podniosło się nawet i podbiegło aby mu się lepiej przypatrzyć. W dali wieżyce Florencyi we mgle złocistej zachodzącego słońca, potem zielone drzewa i krzewy a z przodu tylko łąka... Na całym obrazie spokój i cisza i okropna jakaś żałoba, chociaż niebo przecudne, łąka rozkoszna i cała natura przybrana, jakby urągając się ludziom, w najwspanialszą szatę! Mój Boże, jakie to prześliczne dzieło —

ile w niem prawdy, ile okropności w myśli, chociaż dla oka tak zupełnie ukrytej, a tylko duszą zrozumiałej!

[....Gerôme] człowiek to jeszcze młody, dopiero w połowie trzydziestki a więc w sile wieku. Oko pełne wyrazu rysy twarzy bardzo piękne... Wąs strzępiaty polski prawie, przysłania piękne, wyraziste i uprzejmie uśmiechające się usta. Wzrostu miernego (mojego) i pełny spokoju i wdzięcznej układności w ruchach... I Gerôme pogodził mnie trochę z Paryżem, chociaż jeszcze długo będzie mi on nieznośny zanim się do niego przyzwyczaję. Wczoraj byłem w Cluny, ruinach jakiejś łaźni z czasów Cezara, później zamieszkałej przez jakiegoś możnego Francuza w średnich wiekach a teraz zamienionej w Muzeum średniowiecznych starożytności. Prześliczne tam pamiątki począwszy od strojów i sprzętów najrozmaitszych, aż do tworów industryi i sztuki owoczesnej. Historyę tego miejsca przeczytam sobie dziś w Gidzie, bo nie znam jej jeszcze. Do Władka Żeleńskiego dopiero dziś się wybieram. Nieznośny jest Paryż dla nadzwyczajnych odległości swoich. Chcąc kogoś po drugiej stronie miasta odwiedzić, najmniej pół dnia na to poświęcić trzeba. Jak się raz zamknę, co zapewne za dwa dni nastąpi już, w swojem mieszkaniu, to, oprócz do Louvru nigdzie mnie nikt nie wyciągnie. Zabiorę się do zrobienia naprędce kilku szkiców z życia ulicznego paryskiego i będę się starał je wystawić a może pozbyć, aby ten mój kilkutygodniowy pobyt w Paryżu przynajmniej mi się wypłacił.

Lituanika nie sprzedana i amatora jeszcze niema... będzie zaraz po Nowym Roku wystawiona albo u Goupila albo w Klubie najpierwszych znawców i artystów, w klubie Mirliton, którego prezesem jest Pan Gerôme... Jak się już w mojej kwaterze urządzę, która będzie nie tam, gdzieśmy ją niby najęli, (bo wczoraj za dnia tam będąc przekonałem się że bardzo jest ciemno) tylko tu w hotelu bo tu doskonałe północne światło — to mam pójść do Gerôme'a i zabrać go ze sobą dla pokazania tego, co ze sobą przywiozłem i posłyszenia jego szczerego i otwartego zdania... które mi przyobiecał.

29 grudnia.

...[Mój] pokoik na szóstem piętrze w dachu, zimny ale widny, bo ztamtąd nic więcej nie widać jak tylko kominy i dachy i ogromne niezmierzone, szare, ciągle chmurne niebo francuskie. Proszę Cię, od czasu jak tu jestem raz tylko słońce świeciło, chociaż deszczu niema.

Klimat bardzo łagodny, dlatego pieców nie znają, a przy jednym kominku, który jest i w najmniejszej izdebce, oczywiście że zawsze chłodniej jak na dworze. Wogóle tu nie znaleźć owej tak zwykłej, tak miłej zaciszności naszej i dlatego, zdaje mi się, owego domowego życia... myślę i rozpamiętuję i tak mi smutno za wszystkiem co odjechałem — za naszem niebem, naszą zimą, naszem powietrzem, tak mi żal za naszą biedą, naszymi ludźmi, za naszym spokojem i ciszą, że się w tym żalu utulić nie mogę! Nadsłuchuję i uważam i zamiast tego coby mi tak miłem było, słyszę hałas i turkot z ulicy, wszystkich ożywionych, wesołych, ledwie że nie tańczących, podczas kiedy mnie tak samotnie i żałośnie. — Ach, Paryż nie dla Polaka!

...30 grudnia niedziela wieczorem.

...To co Niemcy zowią Heimweh, a na co my Polacy nazwiska nie mamy, chociaż my najbardziej za Ojczyzną tęsknimy, — to Heimweh, zdaje się, że mnie nie opuści aż do chwili, gdy raz na polskiej ziemi stanę i naszem powietrzem odetchnę...

Dziś jednak zeszło mi lepiej, jak wszystkie poprzednie. Cały dzień bowiem, bo aż do 4tej byłem razem z Władziem Żeleńskim, w którego towarzystwie ja zawsze odżywam a przynajmniej o wszystkiem zapominam co boli. Wczoraj wieczór odszukał nas, był na kolacyi i został nawet na noc, a dziś zrana zaprowadził do siebie i grał i spiewał i całą biedę... chociaż na czas jakiś zagrał i zaśpiewał! Za dwie godzin a właściwie aż o 9tej, idziemy razem do Xiężny Marceliny Czartoryskiej, osoby mi nieznanej, prócz tego, że jest jedną z najlepszych uczennic Szopena a więc artystką. Cieszę się bardzo na ten wieczór, bo znamienity tutejszy violonczelista Francon, będzie tam także i razem z Władkiem odegra jego Walca cudownego.

...Jak się tylko sprowadzę na inną kwaterę, wtenczas się zabiorę do roboty. Ani nad Wojną, ani nad inną jaką dawniej rozpoczętą pracą, ale aby zrobić nowy rysunek, który, jak mi się zdaje, bardzo zainteresuje Francuzów. Chcę zrobić rysunek dosyć duży, bo jak trzy razy moje zwykłe największe, węglem, przedstawiający ten moment, kiedy właśnie na stacyę na Syberyi przybył Etap, złożony z biednych naszych mizeraków, wyciągnięty w długą linię, stoi przed baraką mającą im służyć za więzienie a i mieszkanie a komisya miejscowa robiąc przegląd, właśnie czyta i wywołuje każdego po nazwisku. Ponad nimi wszystko zimne i ciemne, pod nimi biało a przy nich żałobnie

i czarno. Cieszę się na kilkadziesiąt tych pięknych wynędzniałych a pełnych rezygnacyi i odwagi, na cały szereg owych postaci mizernych z pozoru a tak wspaniałych na duszy! Czuję, że się uspokoję a chociaż nie pocieszę, to przynajmniej zyskam na rezygnacyi jak się raz zabiorę do roboty...

Na [chodzącego] w baraniej czapie i uczciwym polskim kożuchu tak się głupie nieznośne Francuziska oglądali, że wczoraj musiałem sprawić sobie kapelusz i paletocinę, aby mieć przynajmniej coś do wyjścia na ulicę. Zdawało mi się, że tylko Niemcy umieją się gapić, ale widzę że Francuzi przewyższyli ich o wiele. — Jednem słowem Paryż nieznośny jest dla mnie. Kto chce żyć po swojemu, chce się oddać pracy, ale mieć przy niej przyjemności cichego, spokojnego, familijnego pożycia, do jakiego się od dziecka przyzwyczaił, to nie ma tu co długo popasać. Francuziska tego nie znają i nie rozumieją... Gdzież tu więc znaleźć zaciszę domową? Gdzie miły kącik przy kominku, gdzie owo towarzystwo serdeczne i prawdziwie miłe, w którem gospodarz dzieli się z gościem nietylko kawałkiem chleba ale i szczęściem domowem?! —

3 stycznia czwartek wieczór.

Po trzydniowej przerwie — nie — właściwie tylko dwudniowej — piszę dalej. Bardzo mądrze sobie postąpiłem, że „wczoraj“, nie usiadając do listu, rzuciłem go w morze niepamięci. Byłem, jak jeszcze i dzisiaj, pod smutnem wrażeniem Paryża, podwojonem ostatecznym wyjazdem Władka do domu. Wczoraj wyjechał zostawiając mnie na pastwę żalu i tęsknoty za wszystkiem co musiałem opuścić! — O, wczorajszy wieczór nie prędko zapomnę!...

...Ale niema rady, trzeba cierpieć, raz już zamilknąć i korzystać ze wszystkiego co mi się kiedyś przydać może... [więc] poszedłem sobie na cały dzień do Luwru. Jakie tu Weronesy, Rubensy i Tyciany widziałem, tego Ci wypowiedzieć nie mogę. Rozkoszowałem sobie patrząc na ich obrazy, pieściłem się ich czarującym widokiem i doprawdy, że zupełnie swe wszystkie smutki zapomiałem. Do zmierzchu zeszło mi tak prędko, że nie wiedziałem kiedy. Ale nieraz i niecierpliwić się musiałem, bo odwiedzających Galeryą było tak wielu, że do niektórych obrazów ledwie się można było docisnąć. Wogóle nie cierpię dużo ludzi w takiej Galeryi! Najpiękniej ona wygląda i najwspanialej, kiedy się nikt po niej nie szwęda a te przecudne pomniki najświe-

tniejszej dla sztuki epoki, w cichości i spokoju jaśnieją na ścianach, na chwałę Bogu i twórcom swoim! Jest tu także ogromny zastęp kopistów do widzenia, dziwne że więcej kobiet aniżeli mężczyzn, a między niemi nawet bardzo milutkie zgrabne i bardzo wykwintne panienki. Swoją drogą jest dużo starych i brzydkich, pozujących na wielkie artystki, o długich włosach, strasznie mądrych pyskach, fałdzistych sukniach, którym znać na czole ale nie palec Boży, — tylko ich własny, niechcący powalany jakąś farbą. Jeżeli mi jeszcze jutro zamówionego kartonu dla moich Sybiraków i sztalugi nie przyniosą, to pójdę znowu do Luwru, gdzie zdaje mi się, z niektórymi Tycianami i Weronesami miłosne zawiążę stosunki.

4 stycznia.

Kartonu nie przyniesiono więc przestaję [pisać] aby pójść do Louwru.

7a wieczór.

...Byłem u moich ukochanych Tycianów, Rembrantów, Wandyków i Rubensów. Nacieszyłem się nimi tak bardzo, że mi to dni kilka wystarczy... Kilku nowych kochanków mi przybyło a między temi jedna Madonka Fiesoli i jedna kobieta na obrazie Palmy. I tą razą, chociaż Ci o tem zdaje mi się nie wspominałem, dziwiłem się niezmiernie, że prócz trzech indywiduów, które dobrze kopiują i w samej rzeczy piękne obrazy — reszta wszycy okropni pacarze i dziwne, że także do mniej dobrych a nawet dosyć lichych obrazów mają szczególniejsze upodobanie... O szóstej jeszcze wczoraj, z Żelem rendez vous dawszy sobie w kawiarni, poszedłem ...ztamtąd z nim razem do Théatre Lyrique na „Freischütza". Znowu raz piękną muzykę posłyszałem. Władek bardzo był niekontent z orkiestry i jej niedelikatności z jaką niektóre miejsca odegrać miała, ale ja za mało na tem się rozumiejąc, byłem zachwycony, kilka razy nawet ckliwo pod sercem mi się zrobiło. Obie spiewaczki... dobrze i pięknie spiewały, szczególniej Agata. Bawiłem się dobrze, bo też przecie znów parę godzin przysłuchując się tej prześlicznej muzyce, albo z Władkiem o niej tylko rozmawiając, zapomniałem, że nie sama ona na świecie, że są tam i ludzie źli, paskudni a nawet obrzydliwi. Przykro nam było jak zasłona zapadła i zakryła przed nami świat ten ideałów a oddała

nas znowu temu zmysłowemu — niestety jako jego własność! Jeszcze długo potem do domu wróciwszy, myślałem o Maksie, Agacie, Kasprze ...aż przyszedł stary, poczciwy, czasem jedyny przyjaciel strapionych — Morfeusz — zamknął mi oczy i kazał sobie marzyć aż do rana.

6 stycznia niedziela późno w nocy.

...kazali mi być koniecznie na balu w Operze i także w Casino Cadet, pierwszem po balach w Operze. Wczoraj właśnie był bal w tym Casino, więc zaproszony nań przez Zygmunta ...poszedłem.

Wyobraź sobie salę bardzo piękną, przepełnioną mnóstwem ludzi, mających głowy jakby powybierane, najpaskudniejsze, między nimi połowę kobiet strasznych, bo bez wyjątku, czy młode czy stare, najstraszliwiej pomalowane blanszem i różem; bardzo ich wiele z kropkami po twarzy a zaczesanych czasem jak waryatki... Wyobraź sobie że każda z nich ma twarz najszkaradniej zwiędłą i dziwnie bezwstydną. W czem to właśnie leży, to nie wiedzieć — dosyć, że tak jest. Mniej więcej wszystkie nieduże, bez wcięcia a takie czasem grube jak baryłki. W ruchach, jeżeli się przechadzają, niezgrabne i okropnie blasé, co innego w kadrylu! Tak sobie łażą po sali na prawo i lewo z całą ospałością głupiego i lamparckiego usposobienia, zaglądając w oczy to jednym to drugim mężczyznom. Gdy naraz zagrzmi muzyka, zagrają kadryla wszystkie jak opętane lecą po tancerzy swoich. Wówczas doprawdy tak wygląda jak z pewnością wyglądało, kiedy się żenił Lucyper z Lucyperzychą... ja stałem jak słupek, wytrzeszczyłem oczy i nie wierzyłem im — a z tego przerażenia ocknąłem się gdy kadryl skończono. Wtenczas mnie strasznie serce zabolało, myślałem o ludziach uczciwych, przypomniałem nasze polskie kobiety — ...i w duszy zapłakałem nad nami wszystkimi, bo czyż nie jest to wielkie nieszczęście powiedzieć: „i ci są nasi bliźni — to także ludzie, tej samej ziemi!“ — ale najokropniej było mi przykro, gdy Zygmunt zaręczył, że wszyscy ci mężczyźni którzy tańcowali, a którzy niemniej po mistrzowsku swawolili — są to ludzie którzy z tego tyko żyją... stosownie do doskonałości i dowcipu, z jakim tańczą, mniejszą lub większą otrzymują zapłatę. Dlatego też uważałem że wszyscy wychudli i bladzi i żaden nieśmiejący, ale przeciwnie smutny i znudzony ma wyraz twarzy, — a i kilku jegomości którzy jak na szyldwachu spacerowali przy kolumnie tańczących a Zygmunt mi powiedział, że to są agenci właściciela Casina, którzy uważają,

czy wszyscy najęci tańczą i czy starają się dobrze tańczyć. Czy to nie jest okropne!!? I powiedz teraz czy dla miasta, które wypielęgnowało ten żywioł kankana, które się w nim kocha, któremu on stał się już niezbędny, pytam, czy dla takiego miasta są stworzeni artyści?! Nie — nie tu ich miejsce! Ztąd uciekać oni powinni, bo dzisiejsze społeczeństwo paryskie a nawet i francuskie nie zrozumie ich i może wyśmieje...

Po 10tej wieczór.

...O Lituanice dopiero teraz po Trzech Królach można coś pomyśleć. W tych dniach doniosę Ci o widzeniu się ostatecznem z P. Gerômem i jego decyzyi, ma on bowiem córkę P. Goupila za sobą, jest w świecie artystycznym jedną z najpierwszych figur i doprawdy od jego orzeczenia losy Lituaniki... zależeć będą. Wstyd i hańba dla miasta, gdzie o zaletach artysty nie jego praca, ale reklama rozstrzyga! — Niestety tak jest. Swoją drogą i bez niej mógłbym się obejść, jeżeli mam rzeczywiście jakoweś zasługi, ale ileż to czasu przemarnować bym musiał?! —

...Dowiedziałem się wczoraj od Zienkowicza, że Panna Pustowojtów bawi tu w Paryżu i tyle o niej prawdziwie pięknych rzeczy, że na przyszłą sobotę postanowiłem pójść z nim do PP. Janowskich, u których ona mieszka, aby z nią zrobić znajomość i odrysować sobie jej głowę do Twojej książki.

8 stycznia wtorek wieczór.

...Okno [mego nowego mieszkania] wychodzi na szeroki bulwar a więc do rysowania albo malowania bardzo dużo światła. I dziś po raz pierwszy korzystałem z niego i powiedzieć mogę, że to p i e r w s z y d z i e ń m i ł y w P a r y ż u! — Od rana do ciemna rysowałem nie przestając i całe niebo na moim Sybirze już zrobiłem. I dosyć z niego kontent jestem. Jeszcze o budowie rysunku tego i jej częściach pojedynczych nic nie piszę, bo być może, że jak zwykle, coś zmieniać będę.

... Na zbytek towarzystwa wcale uskarżać się nie mogę, bo prawie ciągle sam jestem [a] przecież dzisiejsza samotność była mi nadzwyczajnie miłą. Gdy się zmierzchać zaczynało żałowałem, że mi to koniec tego ukochanego dzionka zwiastowało. Spodziewam się że ich więcej mieć będę, bo postanowiłem zupełnie już nikogo nie odwie-

dzać ani nie przyjmować, aby raz przecie przyjść trochę do siebie. Już się dawno o tem przekonałem że ja dopiero jasno widzieć, czuć i pojmować zaczynam, jak jestem czemś zajęty i że dopiero wtedy prawdziwie żyję i zdrów jestem na ciele i duszy.

...Bardzo kontent byłem dowiedziawszy się, że właśnie na Nowy Rok... „Wieczory zimowe“ dostałaś. Ale nie martw się... i nie myśl że ja jakieś tam rysunki nie od serca robić będę... Teraz o tem wcale nie myślę i zostawiam to jako ostatni środek do życia... Bakę świecić panom Paryżanom? — albo może robić rysunki à la Gavarni? ...Niema kwestyi, że w ten sposób może wkrótce dorobiłbym się grosza, bo na tyle talentu jeszcze się zdobędę, ale gdzie wówczas... Dante? ...Czy ja potem, raz jako taki rysownik dawszy się poznać, mógłbym wystąpić z poważniejszem jakiem dziełem? Czy nie dopatrywanoby w mojej pracy zawsze tylko tego dowcipnego rysownika z ulicy? Czy wówczas nie byłbym w tem samem położeniu, co komik który wyrzekłszy się powołania swego, występuje jako bohater w Tragedyi albo Dramacie? Bądź co bądź z taką pracą mnie na pierwszy ogień nigdy puszczać się nie można. — Z tego naprzód dać się poznać Francuzom, mnie zupełnie nie przystoi, jeżeli artystyczną powagę u nich zachować pragnę. — Kiedyś — kiedyś później, jak się lepiej poznamy, to będzie nawet bardzo dobrze raz sobie żarcik jakiś pozwolić... Słusznie to nazywam „żarcikiem“ — bo o ile smak Paryżanów dotąd poznałem, to aby się prędko stać popularnym i zyskać sobie względy tutejszej publiki a nawet i korzyści materyalne, trzeba być.... takim Stańczykiem w artyźmie. —

...Jeżeli mateczka*) jest jeszcze we Lwowie, to proszę Cię, abyś Jej rączki odemnie ucałowała i przebłagała, jeżeli się słusznie gniewa że się do Niej ani razu nie odezwałem. Mam nadzieję że Ją jeszcze we Lwowie zastanę... Ach Dyniska, Dyniska! — Powiedz Jej, że w mojem sercu są one zawsze takie przecudne, wiosenne, jak w czasie, kiedy je poznałem, że żadna tam drzewinka, żadna róża nie zwiędła — że wszystko kwitnie i wonieje jak wówczas!

9 stycznia środa wieczór.

...Na rysunku trzech biedaków ze śniegu wyrosło. Będzie ich mniej więcej ze trzydziestu kilku tak dużych, że w głowie każdego napisać

---

*) Ś. p. Izydora Skolimowska przyjaciółka Artysty. Patrz „Lamus“ zeszyt III.

coś wypadnie. Zadanie dosyć trudne jedną myśl trzydzieści razy napisać a zawsze inaczej... Nie wykończam tego rysunku tak jak Wojny, bo dla myśli którą ma ów obrazek lepiej że będzie pobieżniej śmielej a namiętniej zrobiony. Żałuję że tak samo i Wojny nie mogłem traktować, chociaż mi na chęciach nie zbywało, ale kiedy ją rozpoczynałem, jeszcze zanadto Lituanika siedziała mi w głowie i dałem się niepotrzebnie unieść popędowi wykończania. Muszę sobie powiedzieć, że byłem trochę albo dziecinny, albo małoduszny jako artysta. Wszakże muzyk chcąc jakąś większą myśl tonami wypowiedzieć, nigdy nie używa wówczas ani jakichś pięknych sznerklów i tryllerów, ale prostych szerokich akordów.

Nieznośny Paryż, choćby tylko dlatego że ciągle pochmurno, co chwila deszcz pada, wieczne błoto a od czasu jak tu jestem dopiero dwa razy po godzinie słońce świeciło! Nie darmo to w Paryżu polskie buty w modę przychodzą. Bardzo często widzieć je już można, ale zgadnij wiele tu takie kosztują. — 70—80 franków a nawet i więcej. Tu można z całą pewnością „poznać Pana po cholewach". U niektórych także kobiet widziałem albo buty, albo kapcie takie kozackie, co znajduję bardzo praktycznem. Ale coby ...Pan powiedział, przyszedłszy do kawiarni tu w Quartier Latin, gdyby tam zobaczył, jak ja to co dzień po kilka razy widzę, że tam kobiety same przychodzą zupełnie tak jak mężczyźni, każą sobie dać cygaretów albo z własnego kapciucha je robią, kawy albo czego innego i np. kart albo szachów? Ćmią tytuń jak studenci i tłuką się w ...pikietę jak szulery z professyi. Nie wchodźmy wszakże a raczej nie pytajmy o ich zatrudnienie albo prowadzenie. ...Jaki ten Paryż być musi, jak owa demoralizacya musiała się tu rozrość i wszystko przesiąknąć, kiedy taka osoba tak postępując już nikogo nie zraża!

Pod wieczór odwiedził mnie poczciwy Żeleński. Po zmierzchu wyszliśmy na przechadzkę w okolicy i byliśmy w dwóch kościołach z których Panteon jest prześliczny. Byłem zachwycony tą kolosalną i nadzwyczaj poważną budową tem więcej, że nosi równie piękny napis na fasadzie „Aux grands hommes la Patrie reconnaissante" są tam bowiem groby różnych sławnych mężów. Niestety jest zapóźno, aby je zwiedzić, a potem pójść na kopułę, z której ma być przecudny widok na miasto. Ztamtąd poszliśmy do kościoła St. Etienne, gdzie słyszeliśmy organy bardzo piękne.. Sam kościół w stylu popsutym, mieszany barok z gotyką.

13 stycznia wieczorem.

Dnia dzisiejszego poszedłem do kościoła — do Notre Dame. Ale cóż ...przyszedłem do ...sali prześlicznej ozdobnej w piękne lampy i dywany, do sali w której 10 centimów za wstęp trzeba było zapłacić, aby usiąść albo uklęknąć, w której siedzą kobiety albo mężczyźni jak bilieterowie w czapkach i odbierają pieniądze, wpuszczając do miejsca gdzie siedzieć można — gdzie usiadłszy widzi się różnych jegomościów ubranych w złote suknie, z długiemi świecami w rękach, ruszających się dosyć pociesznie i gdzie słyszy się muzykę bardzo piękną à la Verdi albo Meyerbeer! — Śliczny spektakl! — I ja też tam poszedłem, zapłaciłem 10 centimów, usiadłem w krześle dla mnie przeznaczonem i posiedziawszy chwilę, pierwszy raz w życiu, serce mnie zabolało z takiej przyczyny i tak bolało, [żem] zapłakał. Przed sobą widziałem wnętrze prześliczne w stylu gotyckim dawnym, chociaż takie, jakby wczoraj dopiero zbudowane, około siebie ludzi-gapiów i szwajcara z halebardą, w kapeluszu, ciągle pukającego swoją pałką, którą w ręku trzyma, dalej [owych] jegomościów... w złotych sukniach, ruszających się bardzo dziwnie, tam i nazad, a na koniec usłyszałem muzykę nadzwyczaj szumną i głośną, ale tak bez duszy bez powagi i myśli, że, jak mówiłem, bardzo smutno i tęskno robiło mi się na sercu. Ale gdym naraz spojrzał na bok i w rogu w cieniu zobaczył Chrystusa ukrzyżowanego, nagiego, kurzem i pyłem okrytego, niewidzianego od nikogo — takiego opuszczonego — biednego naszego Boga, to wówczas tak mnie coś w sercu zabolało, że musiałem w cichości trochę popłakać. — Boże — pomyślałem — Ty, któremu my nędzni wszystko zawdzięczamy, bo nasze życie prawdziwe i wiedzę o Bóstwie, o najwyższej doskonałości — Ty, który przykładem dotykalnym, nauczyłeś nas ocenić i pokochać najwyższe dobro, Ty mój Boże, jesteś tu niewidziany, niesłyszany i niepojęty! — I wówczas przeżegnałem się i zmówiłem pacierz szczerzej, jak kiedykolwiek w życiu. Tak było dziś i tak jest zawsze w Notre Dame i w każdym francuskim kościele... Jakże się zdziwisz jak wchodząc do środka kościoła zdybujesz ludzi wychodzących z czapkami i kapeluszami na głowie. Nie byłem nigdy ani dewotem ani papistą, ale tą razą oburzyłem się na to co widziałem. Możesz mieć teraz wyobrażenie co jest duchowieństwo francuskie, jeżeli ono mogło do tego stopnia zobojętnienia doprowadzić lud. A jeżeli to duchowieństwo jest takie, jeżeli doprawdy żadnego już wpływu wywrzeć nie może,

cóż myśleć o prostaczkach, dla których mądrość za daleka, a Boga nie kochają, bo im go obrzydzili?!

14 stycznia.

...Miałem wczoraj także kilku gości... którym Lituanikę i Wojnę i resztę musiałem pokazywać i komentować. (Żałujesz mnie...?) — Ale co mi najmilsze, że już wczoraj ...mój rysunek skończyłem... Jest dwudziestu kilku biedaków, dwa psy i kilku innych na obrazie... Dziwne że tą razą nic nie wymazywałem, ani nie poprawiałem. Wszystko tak jak po raz pierwszy naznaczyłem, zostało. Ciekawy jestem co powie o tem Gerôme, który w sobotę o 2-iej ma mnie odwiedzić, bo dziś po obiedzie poszedłem do niego, aby go do siebie zaprosić. Właśnie coś robił około tego mojego najmilszego obrazeczka, tego Danta... Bardzo mi się podoba Pan Gerôme, nietylko z obejścia, które jest nadzwyczajnie uprzedzające, ale z zachowania wobec swojej pracy. Nie dostrzeżesz w nim żadnej zarozumiałości, ani próżności artystycznej a tylko skromność, która mnie bardzo dla niego ujęła, zważywszy, że to wobec mnie fuszera początkującego. W naturze ma głowę nierównie piękniejszą jak na fotografii, gdzie nie widzisz życia. Cieszę się na sobotę..

15 stycznia z rana...

... Wczoraj przechodząc bulwary wstąpiłem do magazynu mającego wystawę obrazów na ulicę i pytałem o kondycye jakieby robił, gdybym chciał coś u niego wystawić. Na to mi powiedział, że jest tylko jedna, aby nie było nic politycznego! — wówczas popatrzyłem za okno, przy którem stały obrazy aby się dowiedzieć co on myśli przez to „niepolityczne" i widziałem... nic więcej tylko kobiety mało ubrane! — Oto jest Paryż!..

...Przed chwilą wprawdzie mówiłem... że koniecznie z Paryża wyjechać muszę i że wyjadę, ale przychodzi mi na myśl: A gdybym nie mógł? ...To byłoby doprawdy bardzo smutne i ja sam sobie tego powiedzieć nie chcę i nie wierzę w to, aby tak być musiało. Ale gdyby tak było? Gdyby moja znajomość bliższa z Gerômem i przez niego zawiązane stosunki okazały konieczność pozostania czas jakiś w Paryżu — a to dla niezawodnych korzyści? Gdyby mi się otworzyła sposobność pozbycia jakiejś większej pracy, któraby nie kilka dni ale kilka tygodni szczerego zajęcia wymagała? — Czy mam wówczas pozostać?

O 9tej wieczór.

Łaziłem kilka godzin i zmęczony powróciłem właśnie do domu. Byłem także u poczciwego mego Władka... Ach powiadam ci że jeżeli kto, to on poczciwiec jest tu w Paryżu jedynym człowiekiem z którym ja mówić i którego słuchać mogę... Od godzinki siedzimy sobie przy kominku i gawędzimy i staramy się nawzajem zapomnieć że jesteśmy w fatalnym Paryżu.

Paryż 16 stycznia.

...Szelmy Francuzy — draby i paskudniki — nie cierpię ich — ale swoją drogą przyznać im trzeba co im się słusznie należy. Jestem zdziwiony nadzwyczajnie ale przekonałem się, że w kunszcie malarskim, w jego części technicznej a nawet i intelektualnej przewyższyli i Niemców i Włochów! — Byłem w galeryi luxemburskiej. Właśnie ztamtąd powróciłem, odurzony... wrażeniem, które na mnie sprawiła ta kollekcya. Jest tam tylko coś 200 obrazów malarzów współczesnych francuskich, ale wyjąwszy kilka jest to zbiór najciekawszy jaki kiedykolwiek widziałem. — Wszyscy najpierwsi są tu zastąpieni i w samej rzeczy dziełami nadzwyczajną wartość mającemi. Przed kilkoma dniami narzekając, zanadto pospieszyłem się z orzeczeniem wyroku na artystów francuskich. Odmówiłem im bytu, sądząc z tego co po ulicznych wystawach widziałem — ale dziś, z całą skruchą powiadam, że byłem wówczas wielki... a raczej mało mądry, wyrażając z delikatnością, bo Francya ma artystów i wielkich mistrzów między nimi.

Zastanowiwszy się nad tą galeryą nie możesz dokładnie orzec o kierunku dzisiejszej sztuki francuskiej... Każdy możliwy ma tu swojego przedstawiciela. Zwróciwszy uwagę na duchową stronę najnowszych tych utworów, przekonasz się, że sztuka dzisiejsza malarstwa we Francyi, jest właśnie w pewnem przesileniu — jest przedświtem do jakiejś nowej Epoki w swojej historyi, albo Epoki upadku albo wzniesienia się jeszcze większego. Jest to pasowanie się między klassycyzmem i naturalizmem po jednej a między Poezyą i realizmem po drugiej stronie. Każda z tych idei postawiła po równej sile, równie dzielnych zapaśników. Jedno tylko jest im wszystkim wspólne a tem jest mistrzowskie, nie zawsze poczucie kolorów, ale władanie pędzlem. Gapiłem się, jak Niemiec, bo było nad czem. Tak, — dziś przekonałem się, że Francuzi mają Artystów... Przykro mi tylko, że im stronność przypisać muszę, bo Niemców tam nie wi-

działem tylko samych Francuzów. Przyszedłszy do tej galeryi znajdziesz wszystko cokolwiek od malarza... zapragnąć. Tylko krajobrazów w proporcyi jest zamało a portret tylko jeden. Zacząwszy od idylli, a skończywszy na najsurowszej rzeczywistości, widzisz wszystko. Dosyć powiedzieć nazwiska: Ingres, Couture, Meissonier, Courson, Flandrin, Fleury, Delaroche, Delacroix... i mnóstwo innych których nazwiska pierwszy raz tu czytałem. Nie dziw, że wyszedłszy miałem mały zawrót głowy, bo prawie w każdym widziałem mistrza i w każdym nowe, właściwe tylko sobie indywiduum. Dlatego jeszcze o żadnym spokojnie wyrokować nie mogę, dokąd się trochę nie rozpatrzę, ale wyniosłem z sobą to przekonanie, że jeżelibym potrafił prostą moją kredką wyrysować obrazek tak, aby go nikt lepiej nie wyrysował, to i na mnie w Luxemburgu miejsce by się znalazło.

Widziałem także rysunki najsławniejszego tutaj Bidy — ale z najzimniejszą krwią i bez najmniejszej przechwałki mogę sobie powiedzieć, że lepsze rysować umiem. Powróciwszy do domu i popatrzywszy na własną robotę, zupełnie nie zwątpiłem, przeciwnie co do Wojny nabrałem tyle otuchy jak nigdy jeszcze... ale dużo poprawiać będę musiał! Niestety, jak myślałem tak się stanie — będę musiał dużo poprawić aby jej część pierwsza wyrównała drugiej, która będzie i musi być bardzo dobra! Najwięcej mnie to ucieszyło, że w tym duchu w jakim Wojnę rozpocząłem — realizm może być podniesiony do ideału — a jeżeli mnie niezupełnie rozumiesz: — mogę być realistą w szczegółach, aby być poetą w całości, — co uważam za najwłaściwszą drogę tegoczesnego Artysty. Ach... jaki dziś jestem dziwnie zadowolony, jak widzę jasno, jak wiem dobrze czego mi niedostaje! Niemam „kacenjameru" moralnego, którego się spodziewałem...

18 stycznia.

Miałem dziś kilku gości... Był także stary emigrant Kwiatkowski malarz — aby Ci go scharakteryzować powiem Ci, że mnie upewniał, że Szopen komponował natchniony jego obrazami, — Pan Couture jest z nim ami cochon — z Mickiewiczem jadł z jednej miski — Bohdanem Zaleskim spał w jednem łóżku — z Wielkim Pawłem na ławie a z Piotrem pod ławą leżał, i t. p. Zresztą dosyć poczciwy stary. Jeszcze zapomniałem Ci powiedzieć, że Aubér byłby dla niego operę napisał, gdyby się był śpiewowi a nie malarstwu poświęcił, etc. etc.

Jutro wieczór dostanę od Mickiewicza komentarzyk francuski do Lituaniki, aby do wystawy gotową była.

19 stycznia sobota o pierwszej.

W tej chwili wyszedł Gerôme. Wojna bardzo mu się podobała, także Sybiracy i szczerze od serca powinszował mi, zaręczając, że najlepsze mogę mieć nadzieje. O wystawie Lituaniki u Goupila dziś jeszcze będzie mówił i ma mi o tem napisać... Cieszyło mnie bardzo, że patrząc na obrazy do Wojny zupełnie myśl moją zrozumiał. Gerôme dodał mi odwagi i ochoty — mogę powiedzieć, że mnie orzeźwił swojemi odwiedzinami i wszystkiem co mówił... A więc z Bogiem naprzód!

21 stycznia.

Widzę swą drogę przedemną w przyszłości mojej, jak w dziwnie pięknym chociaż smętnym krajobrazie, rozwiniętą wstęgę. Po jednej i po drugiej stronie rozścieliły się wszystkie pociechy i szczęśliwe godziny, niby kwieciste łąki i zielone niwy, a tak jakby wielkie góry i strome czarne skaliska: przykrości i smutki. Moja biała droga kręci się i wije i przez jedne i drugie przechodzi, ale jej końca nie widać — więc poszła daleko a ja też po niej przejść mogę...

....Jakżeż prześliczną pamiątkę — jaką dziś drogą i nieoszacowaną, miałem wczoraj w rękach! Wyobraź sobie maleńką w czerwony safian ze złotemi brzeżkami [oprawną,] zużytą bardzo i całą wierszykami różnemi i notatkami o wydatkach i przychodach literackich zapisaną a w wielu miejscach własnoręcznemi winietami esami i floresami ozdobną książeczkę, własność niegdyś 18-letniego Juliusza Słowackiego! — Mój złoty... jakżebyś się cieszył patrząc na nią, albo czytając niektóre z tych pierwszych utworów Jego! Jakie prześliczne są tam niektóre ulotne wierszyki i romance! Zachwycałem się tą biedną książeczką! W podróży przez Niemcy zostawił ją gdzieś Słowacki i w tych czasach, nie wiem jakim sposobem, od jakiejś Niemki dostał ją . . . . Jest ona zupełnie jeszcze nieznana — i jeżeli o fundusz się postaramy, będzie wydana jako autograf w takiej samej wielkości i zupełnie takiej oprawie. Mój Boże, jakież ciekawe są w niej zapisy rozchodu i przychodu za literackie utwory mło-

dzieńca-poety! Zawsze traci po 50 i 100 zł. na każdem wydaniu i zabawnie jak zawsze, z całą sumiennością, zrobiwszy w końcu bilans podpisuje: „A więc straciłem 100 albo 50 złotych“. Bardzo piękny na ostatniej stronnicy zapisek cudzej ręki, a data trochę późniejsza: „Z prawdziwą przyjemnością, chociaż mimo wiedzy Twojej, czytałem prześliczne te utwory... Szczęść Ci Boże na Twojej drodze! Sława Twoja będzie kiedyś większa aniżeli skromność! I. P.“. Mówił... że to zdaje mu się napisał Puzyna znany Autor.

ARTHUR GROTTGER.

Na wyjezdnem

(z Konstantynopola do Trebizondy).

Więc znowu żegnać! — Niestety — więc znowu
— — Ja, którym żegnał tych, co nie powitam —
Tak dziś własnemu nie dowierzam słowu,
Że: czy cię żegnać — serca o to pytam. —
A serce mówi: nie żegnaj! — Złowrogi
Masz głos pożegnań, — więc dla odwrócenia
Złej wróżby, powiedz: „szczęść wam Boże drogi —
I do prędkiego prędko zobaczenia!"

Pera 11/23 kwietnia 1865. *R. W. BERWIŃSKI.*

Pacierze.

MODLITWA.

Ciężar niedoli nas stłoczył,
Przed nami leży świat nagi;
Bym się w krwi własnej nie zbroczył,
Boże! odwagi, odwagi!

Straszno! czas wrócił Heroda,
Stryczkiem poduszą nas cary!
Że przezwycięży swoboda,
Boże! tej wiary, tej wiary!

Obcy, pomiędzy obcemi
Błądzim wśród losów zawiei;
Że się połączym ze swemi,
Boże! nadziei, nadziei!

Z odwagą, wiarą, nadzieją,
Żeby się dobić wolności,
Niech się w nas, Boże, przeleją
Twojej płomienie Miłości. —

URYWEK.

Ksiądz błogosławił w wiejskim kościele
Na straszny oręż przekute kosy;
Na uzbrojonej gromady czele
Staruszek wieśniak stał srebrnowłosy:
Czterech mam synów, weź ich o Boże!
Choćby nas zwalił grom nieprzyjaciela, (sic)
Kości do kości! a kiedyś może
Da Bóg z nich Polsce Mściciela!

Działa zamilkły; wróg się rozpiera
Na polu bitwy okrucieństwami;
Bagnet rannego skłuł kosyniera
Pomiędzy czterech synów zwłokami.
Konając jęknął: wrogu! ta blizna
Bogu święcona! z niej życie strzela;
Kości do kości! moja Ojczyzna
Z kości mieć będzie Mściciela!

Bębny zagrały: w paradnym szyku
Zwycięzkie wrogów szeregi stoją;
Z szyderstwem gwarzą o buntowniku,
Co z stryczkiem szyją zaręczy swoją.
Męczennik spojrzał z pod szubienicy
Na grób sromotny wzrokiem wesela:
„Kości me wrogu złożysz w kostnicy
Co zrodzi Polsce Mściciela!“

Kości do kości! lud biedny woła,
Aż się kopalnie trzęsą Nerczeńska;
Kości do kości! zemsty Anioła
Święta krew nasza zrodzi męczeńska!
Rośnie i rośnie stos naszych kości
Jak śniegiem niemi kraj się zabiela,
A my wołamy pełni ufności:
Boże, dasz Boże Mściciela!

* * *

KAROL BRZOZOWSKI.

UWAGI PO ZAMKNIĘCIU NUMERU.

Rozpoczynając ankietę w sprawie „Galeryi miejskiej" we Lwowie w drugim zeszycie Lamusa zaznaczyliśmy, że zaprosimy raz jeszcze powołanych znawców do głosu w tej sprawie. W myśl tej zapowiedzi wysłała redakcya zaproszenie do inicyatorów „Galeryi", z zapewnieniem że każdy wybitniejszy historyk sztuki lub zbieracz którego by inicyatorowie „Galeryi" ze swej strony uprosić chcieli, lub wydelegowali, znajdzie w Lamusie najżyczliwszą gościnność. Niezależnie od tego wysłaliśmy zaproszenia do współudziału w ankiecie do wielu wybitnych znawców, ci jednak częścią od głosu się wymówili, częścią nieodpisali wcale, częścią zaś obiecali że „może" napiszą. Ponieważ i ze strony inicyatorów „Galeryi" dotychczas odpowiedzi nie mamy, przeto kończąc rocznik Lamusa uważamy na razie ankietę za zamkniętą.

Redakcya.

Sprostowanie: Z pochlebnej recenzyi „Krytyki" (październik) o drugim zeszycie „Lamusa" wyniknąć mogłoby pewne nieporozumienie, które może nie leżało w intencyi recenzenta: „........nie można zaliczyć redaktora Michała Pawlikowskiego; podpisane literami J. B. K. sonety świadczą o zwycięzkiem wyzwoleniu się z pod wpływu Staffa etc." Ponieważ w dalszym ciągu recenzyi omawianie poszczególnych artykułów oddzielane jest kropką, mogłoby się zdawać, że autorem sonetów podpisanych J. B. K. jestem ja. Jakkolwiek przypuszczenie takie pochlebiło by mi bardzo, — jednak lojalność moja wobec autora (który utwory swoje drukuje po raz pierwszy) wymaga abym zastrzegł się przeciwko temu. *M. P.*

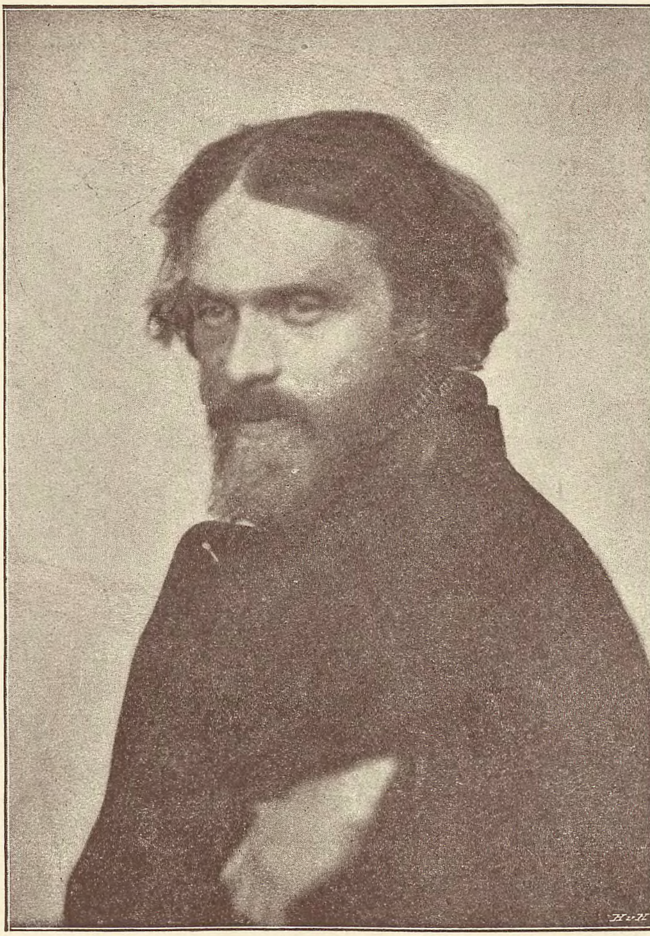
Okładka: Zamek w Podhorcach. — Wzniesiony przez Stanisława Koniecpolskiego, hetmana w. k. w l. 1637—1640. (inżynier Beauplan?) Staje się siedzibą Jana III-go, którego syn Konstantyn sprzedaje go w r. 1720 Rzewuskim. Wacław Rzewuski, hetman w. k. („brodaty") otacza staraniem wielkiem zamek, sprowadza znakomite dzieła sztuki, — które do dziś dnia stanowią jedną z najprzedniejszych galeryi, — a po bezdzietnej śmierci brata swego Seweryna, właściciela Oleska, każe przenieść ztamtąd do zamku pamiątki po Sobieskich (między innemi sławny stół, na którym chrzczono Jana III-go). W r. 1764 odbywa się w Podhorcach ślub X. Karola Radziwiłła „Panie Kochanku" z Teresą Rzewuską. W r. 1767 doznaje zamek częściowego zniszczenia przez wojsko rosyjskie — potem przeszedłszy przez ręce syna hetmana, smutnej pamięci Seweryna, dostaje się tegoż synowi, Wacławowi, sławnemu „Farysem" Mickiewicza i „Dumą" Słowackiego — emirowi złotobrodemu. Pełnomocnik jego Remiszewski, a później i następca tegoż niejaki Długoborski, niszczyli i rabowali co mogli. Dopiero po latach Leon Rzewuski, wróciwszy po ogłoszonej amnestyi do kraju, wyrzucił przygodnych gospodarzy i o ile mógł zrujnowanym majątkiem dokonywał restauracyi zamku, wkońcu jednak sprzedał Podhorce Sanguszkom, obecnym ich właścicielom, dzięki którym dopiero zamek doznał gruntownej restauracyi i ocalała część zbiorów podhoreckich. — Pamiątki z pod Chocima i Wiednia, mnóstwo portretów, a przedewszystkiem liczne dzieła najznakomitszych mistrzów sztuki — czynią z zamku podhoreckiego jedną z najdroższych pamiątek, pozostałych z naszego narodowego dobytku. (Dokładniej: Wł. Kryczyński: „Zamek w Podhorcach — Bibliot. Powszechna nr. 135/6). — W Podhorcach odbył się chrzest Euzebiusza Słowackiego (ojca poety), którego tablicę pamiątkową chciano tego roku wmurować w kościele podh., na co jednak właścicielka z niewiadomych dobrze powodów odmawia pozwolenia.

Str. 578. Z tych 4-ech wierszy drukowany był tylko wiersz Ujejskiego w jego wyd. zbiorowem. — Patrz również M. Romanowskiego wyd. zbiorowe „do Z. R."

Str. 581. Listy Grottgera przygotowano do druku opuszczając w nich wszystko to, co miało charakter więcej osobisty, albo nie miało większego znaczenia artystycznego lub biograficznego. Listów tych seryę I-ą („r. 1866") drukował Lamus w zeszycie trzecim (lato 1909).

Myłka druku str. 502, strofa XXX w. 7-y ma brzmieć: *Dyabli że was też do chrztu obydwu trzymali.*

*







Dzieje cywilizacyi w Polsce. I. Zaprowadzenie chrześcijaństwa.

Julian Klaczko
rys. z natury
L. Wyczółkowski



Własność Muzeum
Feliksa Jasieńskiego


ZORZA KRAKÓW



LAMUS



LAMUS - JESIEŃ
1909